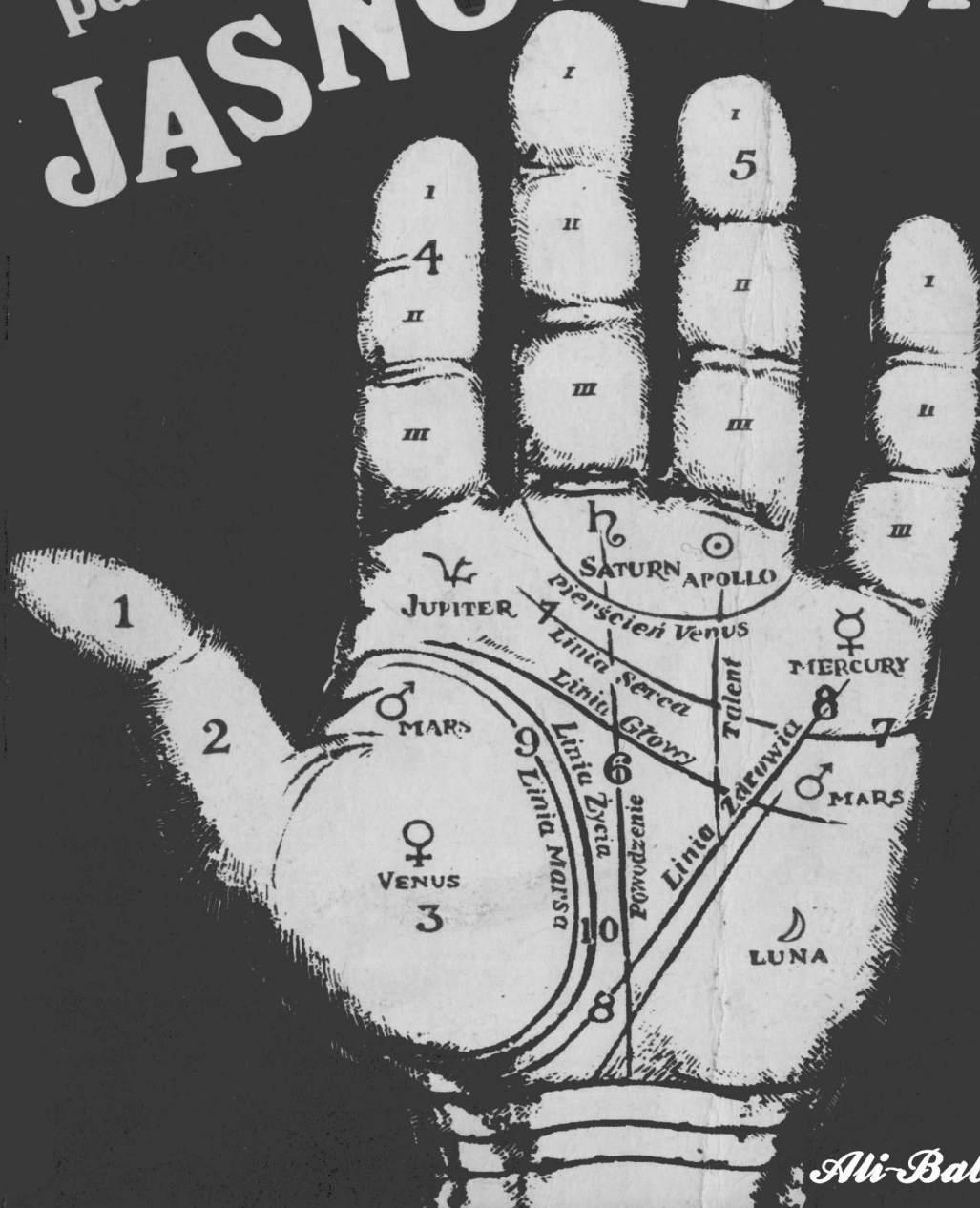


Akhara Jussuf Mustata

pamiętnik

JASNOWIDZA



Ali-Baba

O, nieszczęsna ciemnoto jasnowidzów!

Wergiliusz: Eneida.

Akhara Jussuf Mustafa
pamiętnik
JASNOWIDZA

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza
Warszawa 1985

SŁOWO WSTĘPNE

To sprawy jak świat stare; mówiąc o wróżbiarstwie, jasnowidzeniu, astrologii, chiromancji itp., z pełnym prawem zaczynać można od słynnego i tak często nadużywanego zwrotu — już starożytni Grecy... Tak, starożytni Grecy — pamiętamy przecież chociażby słynną Pytię delficką — ale przed nimi jeszcze Chaldejczycy i Bahilończycy, przed tymi zaś — starożytni Chińczycy... Ci ostatni pozostawili w spadku po sobie wielki pomnik literatury wróżbiarskiej, księgę „I Ching” (czy też w innej transkrypcji — „Yi King”) — co znaczy: „Księga zmian”. Jest „I Ching” tyleż zbiorem wróżb, co filozoficznym traktatem, którego anonimowy autor czy też raczej — autorzy snują rozważania o naturze bytu i prawach egzystencji człowieka. Wyrażają oni przekonanie, że zmiana (stąd właśnie ów tytuł — „Księga zmian”) dotyczy wszystkiego, co materialnie istnieje; zatem wszystko, co istnieje, musi przemieniać się w czasie; zatem — istnieje możliwość odchylenia zasłony czasu i ujrzenia — przy pomocy wróżb — chociażby rąbka przyszłości... Tak to filozofia w owych zamierzchłych czasach współlistniała z wieszczbiarstwem, racjonalne mieszało się z irracjonalnym, magiczne obrzędy z trzeźwym poglądem na świat, astrologiczne manipulacje z rzeczowymi- astronomicznymi obserwacjami, wróżbiarskie praktyki z odkrywaniem zasad psychologii. Tak jak to jest w prastarej księdze „I Ching”, pierwiastki logiczne i alogiczne splątane były z sobą, to, co dziś nazywamy wiedzą, nie oddzieliło się jeszcze od tego, co byśmy dziś najogólniej nazwali wiarą. Trwający wiekami postęp cywilizacyjny polegał — przynajmniej w naszym kręgu kulturowym — na oddzielaniu się elementów racjo-

nalnych od irracjonalnych, na stopniowej emancypacji nauki, która, długo krępowana względami religijnymi itp. — zdołała w czasach nowożytnych wyzwolić się całkowicie, by zacząć święcić tryumfy jedynej i niepodzielnej władczyni ludzkich rozumów i sumień. Tak się przynajmniej wydawało.

Bo okazało się oto, że sama w bezprzykładnie szybkim tempie rozwijająca się nauka poczyna anektować obszary, oddane niegdyś w pacht pseudouczonym, wzgardzonym szarlatanom i cyrkowym magikom. Wystarczy wspomnieć o zjawisku telepatii, uznawanym do niedawna przez oficjalną naukę za niegodną uwagi sztukę — dziś nad telepatią przeprowadza się poważne i kosztowne badania naukowe. Rzecz w tym, że nie wszystko, co uznane zostało niegdyś za irracjonalne, w istocie nim jest; słowem, jak to ktoś powiedział — świat ciągle jeszcze jest większy niż prawda o nim.

W samym człowieku istnieją lądy nie znane i nie zbadane. Jak stwierdzono, w stanie czuwania zaledwie 1/10 mózgu ludzkiego jest aktywna. Co dzieje się z pozostałymi 9/10? Czy mogą istnieć stany, w których cały mózg jest aktywny? W rezultacie postawienia takich i podobnych pytań z dnia na dzień niemal wyrosła nowa gałąź nauki, zwana parapsychologią czy też, przez analogię do elektroniki i nukleoniki — psychotroniką. Nie ma ona nic wspólnego z okultyzmem i tzw. fałszywymi naukami — wprost przeciwnie, jej celem jest demistyfikowanie i naukowe eksplorowanie dziedzin, którymi zajmowały się dotychczas wyłącznie pseudonauki. W samych Stanach Zjednoczonych istnieje dziś kilka ośrodków, w których prowadzi się badania z dziedziny psychotroniki: Rand Corporation dysponuje takim ośrodkiem w Cleveland, Westinghouse w Prienshop (Maryland), General Electric w Schenectady, Bell Telephone w Bostonie, zaś w centrum naukowo-badawczym armii w Redstone (Alabama) laboratorium zajmujące się problemem telepatycznego przekazu myśli znajduje się w odległości 500 m od kierowanego przez Wernera von Brauna

laboratorium astronautycznego...

Równocześnie zaś w stopniu dotychczas nie spotykanym zaczął rozkwitać okultyzm i wszelkiego rodzaju pseudo-nauki. Okazało się, że opierająca się na ściśle pragmatycznych zasadach cywilizacja, której ideałem jest gromadzenie dóbr materialnych wyłącznie, wytwarza coraz liczniejsze zastępy psychicznych inwalidów, ludzi, którzy, jak to celnie określił niemiecki psychiatra G. Lomer, są „chorzy na swój los”. Niesłychane przyśpieszenie cywilizacyjne wielu ludzi przypląca rozstrojem duchowym, na który nie ma lekarstwa — jego ersatzem natomiast jest przepowiednia wróżki czy horoskop astrologa, uśmierzający niepokój przed niejasną przyszłością.

W samych Stanach Zjednoczonych działa około 30 tysięcy astrologów, jasnowidzów i wróżów wszelkich maści, 20 pism o półmilionowym nakładzie poświęconych jest wyłącznie astrologii i okultyzmowi, zaś ponad 2 tys. dzienników prowadzi stale rubryki porad astrologicznych, które mają około 20 milionów czytelników. Podobnie jest we Francji, gdzie działa około 40 tys. jasnowidzów, wróżek, czarowników i znachorów; roczny globalny budżet całego tego biznesu wynosi około 300 mld franków — która to suma znacznie przewyższa sumy przeznaczane przez państwo na rozwój nauki... Sondaże, przeprowadzone przez francuskie instytuty badania opinii publicznej, wykazały, że liczba osób studiujących rubryki astrologiczne w gazetach wzrasta ciągle: 53% w 1963 roku, 60% — w 1968...

Władza duchowa astrologów i jasnowidzów rozszerza się w świecie zachodnim tak gwałtownie, że uczeni poczuli się zmuszeni do działania. W lecie 1975 roku 186 uczonych, w tej liczbie 18 laureatów Nagrody Nobla, opublikowało deklarację, stwierdzającą m.in.:

„Astrologowie są szarlatanami i ci, którzy ślepo akceptują ich rady i przepowiednie, mogą być pewni, że są usypiani”.

Nie można wyraźniej i lakoniczniej powiedzieć, w czym rzecz.

Tak oto odradza się wojna, która trwała od dawna. Kep-

ler, który w XVI wieku zmuszony był do sporządzania horoskopów, by zarobić na życie, wyszydzał równocześnie „głupotę astrologów”. Było to na długo przedtem, nim Colbert zakazał we Francji uprawiania astrologii. Astrologia przetrwała jednak epokę scjentyzmu i odzyskuje dziś utracone pozycje. To właśnie przeraża uczonych. „Boję się, że publiczność, oddana na pastwę oszustom, zacznie kierować się pretensjonalnymi przepowiedniami astrologów”, oświadczył jeden z sygnatariuszy „Deklaracji 186”, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, Hans Bethe.

Znamienne, że zarówno uczeni, jak sami astrologowie dostrzegają podobne przyczyny rozkwitu astrologii i okultyzmu:

„Żyjemy w niespokojnej epoce. Zamieszanie ciągle się powiększa. Ludzie poszukują przewodników — stąd ucieczka ku okultyzmowi” — oświadczył astronom Bart Bok, główny autor „Deklaracji 186”. Podobną diagnozę stawia słynna paryska wróżka Madame Soleil, która jednak na tej podstawie wysuwa wniosek odmienny — o konieczności zaspokojenia społecznego zapotrzebowania na astrologów, jasnowidzów i wróżów mianowicie.

Jak na tym tle prezentuje się rodzime nasze wróżbiarstwo i jasnowidztwo? Powiedzieć trzeba, że nad wyraz skromnie. Szerokie „społeczne zapotrzebowanie” na wróżów, jasnowidzów, chiromantów i astrologów, na które powołuje się Madame Soleil, nie istnieje po prostu. Wofno wyrazić przypuszczenie, że przemiany społeczno-ekonomiczne ostatnich dziesięcioleci w walnej mierze przyczyniły się do tego; szczegółowe badania socjologiczne mogłyby zapewne objaśnić mechanizm tego procesu. Nie znaczy to zresztą, że problem nie istnieje zupełnie. Bądź co bądź niektóre popularne pisma drukują (czy raczej przedrukowują z prasy zachodniej) horoskopy; myślę się może, ale bodajże są one traktowane przez ogromną większość czytelników nie inaczej niż jako zabawa tylko. Owszem, zdarzają się sporadycznie sensacje w rodzaju tej z nadwornym jasnowidzem tygodnika „Literatura” — przypuścić jednak można, że był to raczej

przypadek sztucznego pobudzania zainteresowania społecznego niż zaspokajanie go.

Autentyczne zapotrzebowanie zaś zaspokajają kilka wróżących z ręki w miejskich parkach przygodnym klientom Cyganek i nieliczni już weterani i weteranki sztuki wróżbiarskiej, którzy debiutowali w „dawnych, dobrych, przedwojennych czasach” jeszcze. Zaś następców brak — z czego można wyciągnąć bodaj taki wniosek — że profesja, tak niegdyś atrakcyjna, jest dziś nieopłatna po prostu.

Jednym z owych weteranów jest autor niniejszych wspomnień, Józef Marcinkowski, czyli Akhara Jussuf Mustafa. Nazwisko to znane jest dobrze warszawskim amatorom wróżenia \z kart lub z ręki, jako że po dziś dzień Akhara Jussuf Mustafa jest czynny „zawodowo”; o ile wiem, ma u swych klientów m'ocno ugruntowaną pozycję ko^pś, kto na swoim fachu zna się wyśmienicie.

Ten oto człowiek.na progu starości chwycił za pióro, by spisać swoje wspomnienia.

Powiada się, że każdy człowiek jest potencjalnym autorem jednej książki — książki o doświadczeniach swojego życia. Jest tak zapewne, zauważmy jednak, że stosunkowo niewielu ludzi możliwość tę wykorzystuje; muszą zaistnieć określone okoliczności, by wynikła potrzeba sformułowania swoich przeżyć, odczuć i wrażeń.

Cóż mogło skłonić do zajęcia się żmudną robotą formułowania swoich myśli kogoś, kto nawykł do odczytywania z linii rąk czy układu kart losów ludzkich?

Akhara Jussuf Mustafa czuje potrzebę wytłumaczenia się wobec innych, a może i wobec-samego siebie, z racji podjęcia ni stąd, ni zowąd tak szczególnego przedsięwzięcia.

Pół żartem, pół serio przyrównuje się do jednego ze swoich klientów, podejrzanego typu, opętanego manią opublikowania za wszelką cenę swojego grafomańskiego dzieła, które winno mu przynieść sławę, a przy okazji także — „zbawić świat”. Skłonny jestem przypuszczać, że próbuje Mustafa w ten sposób wykipić się i przed swoimi czytelnikami, i przed samym sobą bodaj także.

Bo w istocie rzeczy jeśli Mustafa przed czymkolwiek pragnie ocalić świat, to przed jasnowidzami. I spisuje swoje wspomnienia po to, by zdać sobie samemu przede wszystkim sprawę z tego, kim jest i jakie jest jego miejsce wśród innych ludzi.

Profesja, którą się Akhara Jussuf Mustafa para, bynajmniej nie jest moralnie obojętna. Człowiek, który podejmuje się przepowiadać innemu człowiekowi jego los, jest podobny do lekarza, stawiającego pacjentowi diagnozę: poprzez ten akt bierze na siebie część odpowiedzialności za dalsze koleje jego życia. Niekiedy, w przypadku gdy ma się do czynienia z człowiekiem słabym lub też podatnym na wszelkiego rodzaju sugestie, jest to odpowiedzialność bardzo poważna, jako że jedno słowo zaważyć może w sposób istotny na kolejach życia innego człowieka.

Jussuf Mustafa jest tej odpowiedzialności wobec innych ludzi całkowicie świadom; wie też, że każdy mniej lub bardziej przypadkowy klient jest najczęściej człowiekiem, który właśnie, podług celnego określenia G. Lomera, jest „chory na swój los” — poszukuje rady, zachęty, pociechy, otuchy. Poczucie moralnej odpowiedzialności każe Mustafie roztrząsać każdy przypadek, w którym podejrzewa, że wypowiadając jedno słowo za dużo, mógł przyczynić się do czyjejś krzywdy; jest to znowu postawa zgodna z lekarską zasadą „primum non nocere” — przede wszystkim nie szkodzić. Przez całą książkę przewija się motyw tak pojętej odpowiedzialności i zastanowienia równocześnie nad swoją tak szczególną rolą w społeczeństwie; dręcząca niepewność co do sensu i istotnego znaczenia swoich poczynań nie opuszcza Mustafy ani na chwilę; nie darmo jako motto do swoich wspomnień użył cytaty z Wergilego: owo przewrotne westchnienie: „O, nieszczęsna ciemnoto jasnowidzów” wydaje się być jego dewizą. Wolny jest Mustafa od zadufania w sobie — jego cechą jest stały moralny niepokój. Powątpiewa w siebie nieustannie, jest wróżem, który, zdawałoby się, najchętniej pragnąłby zostać zwolniony ze swych obowiązków.

Ta książka dlatego właśnie jest tak ujmująca, że ani przez chwilę nie pobrzmiewa w niej ton wieszczący; nie pragnie też Mustafa rozwdzić się o swoich wróżbiarskich przewagach. Chce, i co ważniejsza potrafi, być szczery. Nie mistyfikuje swojego zawodu, do mistyfikacji przecież idealnego, zamiast mówić o powołaniu, mówi o konieczności, która skłoniła go do podjęcia takiej roboty, jaka się akurat nadarzyła. Nie uważa się za wieszca, uważa się za rzemieślnika, który jął się wieszczbiarskiego fachu z przyczyny tak banalnej, że mówić hadko — dla chleba po prostu. Nic go nie predestynowało do zajęcia się wróżbiarstwem poza tą jedną, arcyważną, ale prozaiczną zupełnie okolicznością: że był bezrobotny, był głodny, nie miał gdzie spać.

Mustafa umie opowiadać, wie, jak trzyma się pióro w rękę. W trakcie obcowania z jego tekstem przychodziło mi nieraz na myśl, że gdyby nieco inaczej potoczyły się losy bezrobotnego młodego człowieka, który dorywczo zarabiał statystowaniem w warszawskich teatrach, gdyby któregoś dnia trafił na takiego patrona, jakim dla Henryka Worcella był Michał Choromański — to kto wie, czy Józef Marcinkowski nie byłby dziś równie tegim prozaikiem, co autor „Zaklętych rewirów”. Niektóre karty niniejszej opowieści, zwłaszcza kapitalne relacje z czasów dzieciństwa i niektóre sceny obozowe, skłaniają do takich przypuszczeń. Ma Józef Marcinkowski — Akhara Jussuf Mustafa — świetne wyczucie słowa, umiejętność plastycznego zarysowania sytuacji, oddania przy pomocy kilku kresek postaci człowieka, wreszcie, co nie mniej ważne, dar obserwacji, niezmiernie ważną dla piszącego cechę.

Losy naszego autora ułożyły się jednak inaczej — zrzeczeniem przypadku stał się kolegą po fachu osławionego Szyllera-Szkolnika, wróżki Pary-Banu i innych równie malowniczych postaci, wszedł do wróżbiarskiego światka przedwojennej Warszawy, który barwnie i sugestywnie, a ironicznie zarazem w swojej książce opisuje. Jest młody, jest zielony, nie ma żadnego „fachowego” doświadczenia — niemniej udaje mu się wytrzymać konkurencję z wróżbiar-

skimi znakomitościami — o tyle przynajmniej, że z zarobionych wrózeniem pieniędzy jest w stanie zapewnić sobie minimum egzystencji i przenieść swoją sypialnię z dworcowej ławki do wynajętego pokoiku.

Tu wynika pytanie, którego nie sposób sobie nie zadać w trakcie lektury „Pamiętnika jasnowidza”. Brzmi ono: kim w istocie rzeczy jest autor tej książki? Czymże jest jego książka — może kolejną wersją wyznań hochsztaplera po prostu? Pytanie jest brutalne, jednak trudno go nie zadać; trudniej jeszcze odpowiedzieć na niejednoznacznie

Jak już wspomniałem wyżej, pytanie: „kim jestem?” przewija się ciągle w toku opowieści MuStafy. Mustafa tyleż wierzy, co powątpiewa w siebie; odżegnuje się od terminów takich, jak „wróż”, „jasnowidz”, uważając, że nie jest ani jednym, ani drugim, stwierdzając jednak równocześnie, że udaje mu się niekiedy „wyczytać” coś z układu kart lub linii rąk: postawa, zauważmy, dość paradoksalna. Jeśli jednak zastanowić się, to taką tylko zajmować może ktoś, kto trudnił się wieszczbiarstwem niejako wbrew swojej woli, kto parął się profesją wróża pod groźbą nędzy i głodu przez długie lata, którego potrzeba znalezienia jakiegoś modus vivendi z samym sobą zmusiła do wyszukania jakiegoś subiektywnego czy obiektywnego uzasadnienia dla uprawiania tego właśnie zawodu. Rzemieślnik, nie roszący sobie pretensji do żadnych natchnień i iluminacji, pragnie jednak Mustafa być rzemieślnikiem solidnym, który wykonuje swoje obowiązki podług najlepszych swych zdolności i umiejętności. Studiował więc Mustafa tak psychologię, jak i techniki wróżbiarskie — jest z całą pewnością z tych, którzy najlepiej znają arkana swojego fachu. Jeśliby zaś świadectwo niżej podpisanego mogło mieć jakąś wagę, to stwierdzić mogę, że obdarzony jest Akhara Jussuf Mustafa czymś, co — by nie wkraczać w ciemne ciągle regiony psychotroniki — nazwać by można swoistą nadczułością psychiczną, wrodzoną czy też nabytą zdolnością rozszyfrowywania charakterów ludzkich, wyczuwania „drgnień duszy” innego człowieka; słowem, tym czym rozporządza

wyposażony w cały aparat wiedzy psycholog — Mustafa instynktownie dysponuje nieokreślonym „czymś więcej”. Jeśli zaś wziąć pod uwagę powściągliwość i ostrożność, z jaką Mustafa używa swoich umiejętności, to postawiony w pytaniu zarzut należy, jak sądzę, oddalić.

Rozwodzę się tu tak obszernie nad problemami związanymi z zawodową kondycją autora pamiętnika, przypuszczając, nie bez racji chyba — bądź co bądź nie zdarza się nagminnie, by jasnowidzowie pisali i publikowali swoje wspomnienia — że związane z tym treści będą główną czytelniczą atrakcją niniejszej książki. Wspomnieć jednak należy, że Mustafa nie tylko o blaskach i nędzach życia jasnowidza w swoim pamiętniku traktuje. Jest Mustafa jasnowidzem — ale polskim jasnowidzem i los zbiorowy dotyczy go tak samo, jak kogokolwiek innego. Dane też mu było przeżyć wszystko, co przeżywała większość Polaków jego pokolenia: wojnę 39 roku, okupację, powstanie 44 roku, wygnanie z Warszawy, obozy koncentracyjne i przymusowe roboty, wyzwolenie wreszcie. Ze swego szczególnego punktu obserwacyjnego Mustafa obserwuje zachowania ludzi, którzy w tych latach nieustającego zagrożenia pojawiają się u niego częściej niż kiedykolwiek. Widzi Mustafa tchórzostwo i bohaterstwo, pojawiają się u niego kombinatory i bojownicy, ma do czynienia z podłością i zdradą, upadkiem ducha i wolą walki za wszelką cenę. Jest to ten szczególny okres, kiedy Mustafa czuje się często trochę zwolniony od stosowania swego własnego kodeksu postępowania: nie dość że w określonych warunkach czuje się uprawniony do mówienia nieprawdy — cały swój autorytet wróża wykorzystuje po to, by ludziom bliskim poddania się i rezygnacji dodać sił do walki o przetrwanie. Z całą świadomością kłamie, mnoży jak najsugestywniejsze Słowa pociechy i otuchy. Dziwnie jest zdać sobie sprawę, że także jasnowidze — oni nawet! — brali na swój sposób udział w walce z okupantem. A z szacunkiem stwierdzić, że ta tak szczególnego rodzaju pomoc duchowa ze strony jasnowidza Akhary Jussufa Mustafy dodała kilkunastu

ludziom siły do przeżycia najstraszniejszego z wymyślonych przez ludzi piekieł — hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Doprawdy, świat ciągle jest większy niż prawda o nim.

Marian Pilot

Powyższe „Słowo wstępne” pochodzi z pierwszego wydania książki, opublikowanej w 1976 r., a więc za życia autora, który zmarł 6 kwietnia 1982 r.

Redakcja

W latach pięćdziesiątych pan Franciszek Pawłowski przyprowadził do mnie pewnego swego znajomego o królewskim nazwisku. Przed wojną pan ów był współwłaścicielem najlepiej prosperującego targowiska na Pradze. Kiedy dorobił się kolosalnego majątku i przetopił go w sztabki złota, wygnał z domu żonę i dzieci, przywdział ciemny strój, nieco przypominający ubiór duchownego, i odkrył w sobie powołanie do „zbawienia świata”. Swojej misji nie mógł spełnić, gdyż uprzedził go Hitler. Czekał zatem, aż ten głupiec przegra wojnę. A gdy to się stało, przez dziesięć lat pisał swoje wielkie dzieło, niczym ja ten pamiętnik. A kiedy już wszystkie zbawienne idee zawarł w tym dziele, zapragnął zasięgnąć porady jakiegoś jasnowidza, jak dzieło to wydać drukiem i za jednym zamachem zdobyć nie tylko świat, ale także Nagrodę Nobla. Dlatego pan Franciszek Pawłowski przyprowadził go do mnie.

Ów pan o królewskim nazwisku witając się ze mną nazwał mnie „bratem”; podana ręka była wilgotna, miękka, nieprzyjemna w dotyku. A kiedy na dobitkę złego uchwycił moją dłoń w swoje obie ręce, wstrząsnąłem się, jakbym dotknął gada. Patrzył przy tym w moje oczy, ale w jego spojrzeniu nie kryła się miłość braterska, tylko pas-kudna chytrość i coś jeszcze takiego, czego wysławić się nie da. Nic dziwnego, że tacy ludzie wypędzają z domu żony i dzieci, i chcą zbawić świat. O, biada ci, świecie, gdybyś został przez nich zbawiony.

Mimo odrazy nie odmówiłem mu postawienia kart. Układ kart był odpychający i dla potomności nie zawierał żadnych rewelacji. Za dużo w nim było mowy o pieniądzach, a zupełnie brak było serca.

Największym jego pragnieniem było stać się sławnym. Sławę i rozgłos chciał zdobyć jako literat, zwłaszcza że już ma gotowe dzieło, które zapewni mu nieśmiertelność.

—To, co stworzyłem, na pewno zapewni mi Nagrodę Nobla — powiedział — tylko nie wiem, Mistrzu, jak do tego się zabrać. Więc proszę o światłą radę. Szczególnie proszę mi poradzić, do jakich wydawców w Polsce mam się udać, żeby moje dzieło zostało wydrukowane.

—Jest przecież tyle w Polsce wydawnictw, że może pan wybierać jak w ulęgalkach.

—Wiem, ale zawiść zawodowa. Odrzucą z zazdrości.

Wtem wpadłem na genialny pomysł.

—Kolegium redakcyjne pisma — tu podałem nazwę poczytnej gazety — jest bardzo obiektywne. Należy do tej gazety wysłać dzieło, a tam po przeczytaniu go znajdą dla niego wydawcę.

Pan o królewskim nazwisku wyszedł ode mnie zachwycony.

Po trzech miesiącach przyszedł zaszepiony. Pismo zwróciło mu jego ważące co najmniej 10 kg dzieło. A w liście, który mi pokazał, uprzejmie doń napisano, że z bólem serca zwracają tak niecodzienny utwór, ale jako wyznawcy ideologii marksistowsko-leninowskiej nie mogą zgodzić się z jego poglądami. Ich zdaniem byłoby wskazane, żeby pan o królewskim nazwisku twór swego ducha przesłał do wydawnictwa, które drukuje literaturę piękną odbiegającą od poglądów materialistycznych.

—Świetna rada — zawołałem — gnaj pan tam co sił ze swoim dziełem!

Pan o królewskim nazwisku popędził niezwłocznie.

Zjawił się po pół roku. Był naburmuszony i zły jak osa.

—Bracie — powiedział, jak tylko przekroczył próg mego pokoju — czy ty wiesz, co mi odpisali?

—Nie jestem Duchem Świętym, więc skąd mogę wiedzieć?

—Odpisali — usiadł, że krzesło pod nim jęknęło — że oni drukują dzieła i utwory o wysokich wartościach moralnych i artystycznych. Dzieła tego typu, co moje, należy zanieść do jakiegoś wydawnictwa, które drukuje takie kryminały.

—Hm — mruknąłem — kryminały?

—Tak — wykrzyknął oburzony. — Gdy to otrzymałem, poszedłem do nich osobiście.

—No, no. I co?

—Powiadam im: „Bracia, w moich dziełach piszę o zbawieniu świata i daję na to recepty, a wy mówicie — kryminały...”.

A oni zaczęli się — zważ, bracie — uśmiechać. Jeden z nich, też w ciemnym garniturze, takim jak ja, powiada: „Myśmy się, bracie, przejęzyczili... A właściwie nie dopatrzyli. Sekretarka nawaliła. Niech brat jej wybaczy. To młode, głupiutkie jeszcze stworzenie. Chcieliśmy wam zwrócić uwagę, że w waszym dziele za dużo kradzieży, a ona to zrozumiała, że kryminały”. „Co, kradzieży, ja na to, jakich kradzieży?”. „Ukradliście z dzieł Steinera trzy stronice, z dzieł Ani Besant siedem stronic, a świętemu Franciszkowi z Asyżu toście prawie wszystko zrabowali. Razem to cały kryminał.”

Zasapał się srodze. A potem błagalnie do mnie:

—Poradz, bracie, co dalej czynić?

Poradziłem, żeby posłuchał rady i wysłał swoje dzieło do jakiegoś „kryminalnego” wydawnictwa.

Więcej u mnie pan o królewskim nazwisku się nie pojawił.

Ale w rok później pan Franciszek Pawłowski powiedział mi, że „Zbawca Świata”, zrażony odmowami druku jego dzieła w Polsce, spakował cały swój „dorobek” i wysłał do Szwecji, bezpośrednio do Komitetu Nagrody Nobla.

Przez dwanaście lat śledzę w prasie i jakoś nie znajduję wzmianki o tym, że pan o królewskim nazwisku otrzymał Nagrodę Nobla. Znak to dla mnie pomyślny. Albowiem teraz ja, dzięki temu „Pamiętnikowi jasnowidza”, zadziwię świat, podbiję go i zdobędę Nagrodę Nobla. Niechby ino nie!

Urodziłem się na pograniczu Wagi i Skorpiona, w dniu tygodnia nazywanym od wieków dniem Saturna. W ósmym domu mego horoskopu panem jest Neptun, zwany przez astrologów geniuszem okultystycznym. Na prawej dłoni linię głowy mam przeciętą linią losu, która biegnąc od linii intuicji tworzy z nią dolny mały trójkąt w dolinie Marsa, a między linią głowy i serca w tak zwanym „prostokącie”, dzięki przecinającym ją dwóm wyraźnym belkom, formuje podwójny krzyż. Druga linia losu wybiegająca z linii życia dociera do linii głowy i z dolną belką podwójnego krzyża tworzy mocno zarysowany kwadrat. Linia biegnąca od linii życia w górnej strefie dużego trójkąta przecina obie linie losu, tworząc dolny bok kwadratu i docierając do linii intuicji, tworzy trójkąt w prostokącie. Patrząc z góry, widzi się wyraźny trójkąt równoboczny przecięty przez linię głowy lekko pochyloną -ku międzywzgórzu Marsa i Księżyca.

Znaki te zaczęły wyraźnie formować się po przekroczeniu trzydziestego trzeciego roku życia. Do tego okresu miałem tylko wyraźnie zaznaczony pierścień Wenery, który teraz rozpadł się i częściowo znikł. Na obu dłoniach linia życia posiada wiele niepomyślnych znaków, na lewej zaś urywa się nagle i gdyby nie było kwadratu na wzgórzu Jowisza — nie przeżyłbym obozu.

Wszystkie elementy urodzenia w sensie numerologicznym dają liczbę „7”. A więc liczbę, której pitagorejczycy nadawali najwyższą rangę w Universum.

Przekonałem się, że liczba ta odegrała niejednokrotnie doniosłą rolę w moim życiu. Jeśli jakieś zdarzenie manifestowało się pod jej działaniem, wychodziłem cało, nawet

w sytuacji beznadziejnej. Do Pruszkowa trafiłem 7 dnia miesiąca. W Dachau otrzymałem numer porządkowy dający w sumie 7. Z Niemiec do Warszawy wróciłem 7 lipca 1945 r. Rozpocząłem i rozwiązywano ze mną umowę o pracę również pod dominacją 7.

W Dachau, kiedy mnie zapytali koledzy, jak długo będę

więźniem, odpowiedziałem : „Siedem dni, siedem tygodni, siedem miesięcy”. Śmieli się ze mnie. Nawet zaczęli mnie nazywać: „Siedem dni”. Wyzwolony zostałem przez Anglików 15 kwietnia w niedzielę 1945 r. Po podsumowaniu wszystkich danych wynika, że przebywałem w obozach 7 miesięcy i 18 dni, a to daje w sumie również 7.

2

Moja droga ku śmierci jest już coraz krótsza. Typowym tego objawem jest powracanie pamięcią do dzieciństwa i do miejsc z tym dzieciństwem związanych. A miejsc tych nie lubiłem. I dzieciństwo było okrutne. Z siedmiorga rodzeństwa przeżyłem tylko ja jeden i to z przetrąconym kręgosłupem. Ojca mego zabił piorun. Spadł on z bardzo niewielkiej chmurki. A mój ojciec był czarownikiem. Więc nic dziwnego, że go Pan Bóg tak skarał. Piorun dosięgnął go pod kopą żyta. W nocy śniło się matce, że widzi go pełzającego po ściernisku jak wąż. Rano, kiedy zjawili się żniwiarze w polu, znaleźli zwłoki ojca stojące pod kopą żyta, ze snopem nasuniętym na głowę jak u chochoła. Od kopy, pod którą te zwłoki stały, biegła wężykowata, czarna linia wypalonego ścierniska.

Ojciec był tej wiary, co miejscowa ludność, więc pochowali go na miejscowym cmentarzu, w miejscu wydzielonym dla samobójców i osób zmarłych śmiercią nienaturalną. Pochowali go obok kapłana, którego zamordował własny brat, a następnie dla upozorowania samobójstwa zaciągnął go na strych plebanii i zawiesił na krokwi. Nie opodał spoczywał jego następcą, otruty przez żonę, która to uczyniła w przypływie zazdrości o garbatą Martynę, piękność miejscową, która żyjąc w panieństwie powiła pięcioro dzieci.

Matka moja wyznawała inną wiarę niż ojciec. Po pogrzebie, w ciemną, deszczową noc, przy pomocy innych wyznawców jej wiary odgrzebała trumnę ze zwłokami ojca i drabiniastym wozem zaprzężonym w woła przewiozła je na cmentarz wyznawców swej wiary, położony o osiem

kilometrów dalej, i za zgodą swego duszpasterza pochowała je powtórnie, również w ziemi nie poświęconej.

W kilka lat później, gdy nędza i hiszpanka nas zdzięsiatkowała, matka wyrzekła się swej wiary i wyszła powtórnie za mąż. Ojczym był tak okrutny, że gdy miałem 9 lat, publicznie przepowiedziałem mu, że się powiesi. Stało się to w siedem lat później. Matka już wtedy nie żyła. Pochowano ją na cmentarzu nowej wiary. Kiedy po latach tam się zjawilem, by tak jak ona mego ojca zabrać ją stamtąd i wywieźć na cmentarz jej dawnej wiary, i pochować obok ojca, nie umiano mi wskazać jej mogiły. Niech spoczywa snem wiecznym.

Zmarła wskutek porażenia słonecznego po zżęciu sierpem dwunastu kop pszenicy. Trzynastej, która miała być zapłatą za jej pracę, nie dała rady zebrać. Nie dostaliśmy od gospodarza ani kłosa. Umowa była: dwanaście kop dla gospodarza, trzynasta dla zniwiarza. A snopy wtedy wiązano takie, że nie każdy osiłek potrafił je widłami wrzucić na furę.

Moja matka była drugą żoną mego ojca. Z pierwszego małżeństwa ojciec miał czworo dzieci. Kiedy umierała jego pierwsza żona, mieli dwuletniego synka. Umierając, wymusiła na ojcu przysięgę, że powtórnie się nie ożeni. A jeśli to uczyni, groziła, przyjdzie i zabierze najmłodszego syna. W miesiąc po ślubie z moją matką najmłodszy jego syn z pierwszego małżeństwa upiekł się żywcem w piecu do pieczenia chleba. Jak tam się dostał, nie umiano wytłumaczyć.

Najczęściej jadaliśmy ziemniaki z mlekiem. Czasem i tego nie było. Ale krowę mieliśmy. Nazywała się „Mańka”. Niewielka, czerwona. Dawała bardzo tłuste mleko. Była do nas bardzo przywiązana. A my kochaliśmy ją jak kogoś z rodziny. Za matką chodziła jak pies. Matkę wszystkie zwierzęta kochały. Ona je również. Przyszedł jednak taki dzień, że musieliśmy krowę sprzedać. Zabrano Mańkę aż do trzeciej wsi. A wsie tam leżały daleko od siebie. Zabrano ją w południe. A o świcie obudziło nas ryczenie Mańki. Wybiegliśmy na dwór. Stała przed drzwiami. Matka objęła

ją za szyję, a my z siostrą przytuliliśmy się do jej boków. Szlochaliśmy na jej widok. I myślę, że ona też płakała. Kochana Mańka. Matka zwróciła pieniądze.

— Będziemy razem umierali z głodu — powiedziała do nas.

Pomagałem matce. Ale podobno »byłem bardzo leniwy.

otrzeciej rano, gdy mnie budziła do pracy, płakałem. Ciągle chciało mi się jeść. Nogi do kolan miałem czarne jak matka ziemia i tak jak ona w czasie posuchy, popękane. Niekiedy matka usiłowała umyć mi te nogi i wtedy smarowała je słodką śmietanką. O jakże to piekło okrutnie. Ryczałem z bólu. Kiedyś znów wbił mi się cierń w wielki palec lewej nogi, a kawałek szkła w piętę prawej nogi. A boso chodziłem nawet w zimie. Zaczęły mi się tworzyć w tych miejscach wrzody. Bolało i rwało to potwornie. A chodzić musiałem. Więc idąc, stąpałem piętą lewej nogi

1palcami prawej. Było to o wiele śmieszniejsze niż chód Pata i Patachona i o całe niebo fotogeniczniejsze niż śmieszne dreptanie Charlie Chaplina. Ich jednak podziwiał cały świat, a ze mnie śmiała się i naigrawała dziatwa okoliczna.

A był taki rok, że mieliśmy nawet konia. O Boże, co to była za radość! Znaleźliśmy go na polu bitwy. Nie był ranny. Był wyczerpany i tak wychudzony, że aż strach było na niego patrzeć. Miejscowi chcieli go dobić kijami, ale wtedy matka moja stanęła w jego obronie i ocaliła mu życie. Wstać jednak nie mógł. Więc przynosiliśmy mu, co tylko mogliśmy zerwać rowach przydrożnych i miedzach.

W nocy czuwaliśmy przy nim. Po dwóch dniach stanął na drżących nogach i z trudem poszedł za matką do naszej chaty.

Kiedy w trzy miesiące później lawina wojsk przewaliła przez naszą wieś w odwrotnym kierunku, nasz koń wyglądał jak malowanie. Nie opodał naszej chaty, tuż podle cerkwi, zatrzymał się na krótki popas oddział kawalerii. Po jakimś czasie trębacz zagrał wsiadanego. O bogowie, bogowie ! Na ten głos nasz koń przeskoczył płot i jak baletnica popłynął do oddziału. Zanim spostrzegliśmy się, po kawalerii i po naszym koniu pozostał tylko tuman kurzu.

3

Istnieją tylko dwa fakty niezaprzeczone: narodziny i śmierć. Odległość w czasie od przyjścia na świat do momentu zgonu — jest drogą do śmierci. U niektórych ludzi droga ta jest długa, u innych krótka. Może ona być szeroka, wąska, prosta, kręta lub ciernista. I wszystko, co może na tej drodze człowieka spotkać, człowiek przyniósł ze sobą na świat.

Jeśli to, co piszę, można nazwać wspomnieniami, to najczęściej będą to wspomnienia o śmierci. Od najmłodszych lat sądzono mi było uczestniczyć jako świadek w zdarzeniach, których nieuchronnym epilogiem była śmierć. Śmierć ludzi lub zwierząt. A jeszcze częściej miałem nieszczęście widzieć jej przyjście na wiele, wiele lat naprzód.

...Liczyłem wtedy pięć lat. Mój wuj, Grzegorz, po kontuzji na froncie został jako beznadziejnie chory na serce zwolniony z wojska i odesłany do domu. Miał, jak powiedziała babcia, „poroh serca”. Wrócił wczesną wiosną. W maju, gdy ogrody i sady tonęły w kwieciu, w pogodne dni wynosili go pod drzewa, gdzie leżał na rozkładanym łóżku. Miał swój stolik z lekarstwami i na nim całą stertę papierosów. Wuj był namiętym palaczem, podobnie jak ja nobecnie.

Któregoś dnia, bawiąc się nie opodal, usłyszałem krzyk babci i matki. Gdy podbiegłem do drzewa, pod którym leżał wuj, ujrzałem, jak obie szarpiały go za ramię, i usłyszałem wołanie:

—Grzesiu, Grzesiu, nie umieraj! Obudź się!

Zobaczyłem, jak wuj otwiera oczy. Patrzy w niebo.

A potem unosi powoli głowę i mówi:

—Dlaczego nie dajecie mi umrzeć?

Ale one wciąż płakały, nie dając mu spokoju. Wtedy on się zachnął i kazał im natychmiast się uciszyć. A gdy umilkły, poprosił o papierosa. Zapaliły i podały mu. Pociągnął go ze dwa razy, powoli odłożył do popielniczki, wygodnie ułożył się na łóżku, ręce skrzyżował na piersi.

—A teraz dajcie mi spokojnie umrzeć.

One cichutko płacząc uklęknęły przy łóżku. Ja stałem i patrzyłem. Było bardzo cicho. Pszczoły tylko niezmordowanie pracowały. Wuj westchnął dwa razy głęboko i więcej już nie oddychał. Umarł.

W dziewiątym roku życia stałem obok cerkwi przy drodze, która przecinała naszą wieś od wschodu na zachód, i patrzyłem na uciekających w popłochu żołnierzy polskich, za którymi pędziła straszna kawaleria Budionnego i siekła szablami zapamiętałe. Pod tymi ciosami piechurzy padali jak podcięte kłosa. Zobaczyłem, jak jeden taki piechur, szczupłutki, w porwanym mundurze, stanął, rzucił karabin i podniósł ręce do góry. Ale pędzący kawalerzysta rąbnął go szablą na odlew w momencie, gdy ten biedak odruchowo dłonią osłaniał policzek przed spadającą z góry szablą. Głowa została rozplątana na dwie części, a palce odcięte od dłoni. Ta dłoń i te palce, leżące w kurzu przydrożnym, do dziś tkwią w moich oczach.

Kawalerzyści pognali dalej. Schronieni w cerkwi cywile, gdy zgiełk bitewny zaciął, wyszli i zaczęli zdzierać z trupów obuwie, ubranie, bieliznę. Jakaś baba zerwała z szyi temu z obciętymi palcami krzyżyk na łańcuszku. Moja siostra, która umiała czytać po polsku, kiedy jej pokazała ten krzyżyk, powiedziała, że są tam litery SP, rok i napis „od matki Marii”.

Pochowaliśmy tego żołnierza pod rozłożystą topolą rosnącą nad brzegiem niewielkiej rzeczulki, przepływającej przez park baronowej D.

W 1935 r., tj. w 15 lat później, czytając z dłoni jednej ze starszych pań, było to przy ul. Moniuszki w Warszawie, nie wiem po co, opowiedziałem jej ten epizod z mego życia. A kiedy mówiłem o złotym krzyżyku i napisie na nim wrytym, pani ta zemdląła. Potem dowiedziałem się od niej, że od 15 lat szuka na próżno syna. Gdy szedł na front, otrzymał od niej opisany przeze mnie krzyżyk, a więc na pewno to był on. Wskazałem jej, gdzie został pochowany. Pojechała tam.

W dwunastym roku życia, 27 grudnia, w księżycową, mroźną noc banda, składająca się z ponad setki dobrze uzbrojonych zbirów, napadła na majątek ziemski Lewadę. Byłem tam wtedy zaproszony na święta Bożego Narodzenia. Obudziłem się pod wpływem strzałów i ryku bydła. W okna wpadał blask pożaru. Płonęły magazyny, stajnie, obory, chlewnie. Zamknięte zwierzęta, potwornie rycząc, ginęły w płomieniach. Nam nie pozwolono wyjść z czworaków. Pod każdym oknem stał uzbrojony bandyta. Czworaki podpalono również. Szyby w oknach pękały pod wpływem żaru. Słyszałem poprzez ryk zwierząt wołanie ludzi o pomoc do Boga. Pomoc nie nadchodziła. Kiedy zaczęło świtać, a dachy budynków powoli zapadały się, banda znikła tak nagle, jak nagle się pojawiła.

Wybiegłem w koszuli tylko i boso. Mróz był trzaskający. Nie czułem tego. Pobiegłem do stajni. Zobaczyłem górę uformowaną ze wzdętych od żaru zwłok koni, tak bestialsko przez ludzi zamordowanych. Chorowałem potem długo z doznanego szoku.

A kiedy wkroczyłem w 15 rok życia, śmierć przyszła po mnie. Byłem wychowankiem „kochanej Mateczki Mączynskiej” w bursie w miasteczku K. Na polecenie dra Biszoffa mogłem po odrobieniu lekcji na następny dzień siedzieć w sypialni na krześle nie opodal pieca kaflowego. Siedziałem po ciemku. Drzwi do jadalni były uchylone i wpadała przez nie smuga światła. Słyszałem poszum przyciszonych głosów dzieci zajętych lekcjami. Oparty o poręcz krzesła, siedziałem z wyprostowanymi do przodu nogami i sennym wzrokiem patrzyłem na tę smugę. Jak długo to trwało, nie wiem. W pewnym momencie drgnąłem i uniosłem powieki. Ogarnął mnie dziwny lęk. W nogach poczułem dotkliwe zimno, a czoło zrosiło się zimnym potem. Po smudze tej pełzła pulsująca, bezkształtna masa. Pełzła ku mnie. Krzyk zamarł mi w krtani. A ona wciąż była bliżej i bliżej. Dotknęła moich stóp i wzdłuż goleni wdzierała się do góry. Zdrętwiały i stały się nieczułe palce u nóg, potem stopy, potem łydki, potem kolana, łądzwie. Bezruch narastał.

Drętwy i martwy byłem do pasa. I wtedy usłyszałem głos:

—Co jemu się stało? Chodźcie tu. Patrzenie, jakie on ma wytrzeszczone oczy. Cały siny.

Ktoś mną potrząsnął. Wniesiono lampę. Pojaśniało. Wiedziałem wszystkich jak przez mgłę. A potem mgła zaczęła zanikać. Chłód i drętwota ustępowały. Oddychałem miarowo. Straszny lęk rozwiął się. Wstałem i zacząłem powoli iść w stronę jadalni.

Od tego momentu bóle w krzyżu zaczęły słabnąć. Ruchy moje były sprawniejsze i z każdym dniem czułem się lepiej. A kiedy Danił Łukowicz Ilczuk, zwany „Trzymaj Nogu” wziął mnie pod swoją opiekę i codziennie czuwał nad moimi ćwiczeniami gimnastycznymi, nim upłynął rok, byłem jednym z najsprawniejszych jego uczniów w gimnastyce szwedzkiej. A kiedy największy zawiadacz w szkole, Michał Korecki, został przeze mnie dotkliwie pobity za napaść na młodych Żydów, Danił Łukowicz, zamiast ukarać mnie za udział w bójce, przy wszystkich uczniach i Radzie Pedagogicznej ucałował mnie i powiedział:

—Wot maładiec, trzymaj nogu.

W kilka lat później inny pedagog, nazywał się Paderewski, postawił mi tróję z mineralogii. Zwróciłem się do niego z prośbą o podanie przyczyny tak niskiej oceny, oceny na poziomie Pamulaka, największego tępaka na kursie. Profesor powiedział:

— Pamulak ma księdza w rodzie i kilka włók ziemi, a ty nie masz nic, dlatego musisz mieć pięć razy tyle co on i stu innych Pamulaków razem wziętych, a jak to osiągniesz... będziesz człowiekiem.

Zrozumiałem, że było to też „trzymaj nogu”.

4

Czytając „Nędzników” najbardziej byłem zafascynowany sceną umierania dawnego członka Konwentu. Nie przypuszczałem, że będę świadkiem podobnej sceny i że ją opiszę.

Pan D. rozpoznał mnie w Dachau. Okazało się, że był moim klientem. Ale klientem, któremu rozłożyłem karty i natychmiast je zebrałem, tłumacząc się, że nie jestem w „natchnieniu”.

Z Dachau do Frankfurtu nad Menem jechaliśmy w jednym wagonie. Na miejscu mnie przydzielono do grupy roboczej w Adler Werke, jego zaś wcielili do grupy pana inż. Szumana, tzw. Grupy Porządkowej.

Grupa Porządkowa spełniała różne funkcje. Najczęściej jednak była pędzona na stację towarową do wyładowywania wagonów, przeważnie złomu metalowego. Była to ciężka i niebezpieczna praca. Więźniowie byli głodni i słabi z wyczerpania. Nie mieli rękawic ochronnych. Pracowali w drewniakach. Tempo rozładunku mordercze. Żelastwo ciężkie, chropowate. Prawie codziennie wracali z ranami, były to przeważnie zmiżdżenia stopy lub dłoni. Każde takie zmiżdżenie, a nawet mniej skomplikowane skaleczenie, kończyło się zakażeniem krwi i śmiercią.

Na gangrenę zmarł między innymi inż. Łabędź. Obserwowałem, leżąc na sąsiedniej górnej pryczy, jak od niewin-

nego na pozór skaleczenia powyżej łokcia ręka jego zaczęła nabrzmiewać, puchnąć do potwornych rozmiarów, czernieć, aż powstał wielki, wodnisty pęcherz, przypominający baloniki, jakimi się bawią dorośli na balach. Męczył się trzy dni i zmarł bez słowa skargi.

Byłem już na dobre zaaklimatyzowany na rewirze, gdy inż. Szuman osobiście przyprowadził do dra Alfreda pana D. z gorącą prośbą o zaopiekowanie się nim. Inż. Szuman słyszał z tego, że nad swoim komando trząsał się jak kwoka nad piskletami.

Dr Alfred powiedział mi, że D. nie dożyje świtu. Musi umrzeć. Pan D. w czasie przeladunku złomu doznał pęknięcia żołądka i bez natychmiastowej operacji nie ma co się ludzić. Przy tym pan D. cierpiał na raka żołądka.

Pan D. leżał spokojnie na swej pryce. Nawet rozmawiał z nami. Powiedział, że ma nieco tytoniu i może go wymienić na chleb, gdyby ktoś chciał takiej transakcji dokonać. Był

pogodny, Stan taki trwał około dwóch godzin. A potem zaczął wzywać lekarza. Gdy ten nie przychodził, co dwie minuty, jak w zegarku, coraz głośniej go wzywał. A potem zaczął błagać nie wiadomo kogo:

—Ratunku. Pomóżcie mi. Ja chcę żyć. Ja mogę żyć.,
Tylko odwieźcie mnie do szpitala na operację.

—Przecież wiesz, że jesteśmy zamknięci i nigdzie nas stąd nie wypuszczą, chyba do piekła — tłumaczył mu sanitariusz.

Ale pan D. nie słyszał tego. Wciąż krzyczał i domagał się operacji. Byliśmy wszyscy już tak nieczuli i głusi na własną i cudzą niedolę, że jego wołania nie czyniły na nas żadnego wrażenia. Ale w miarę upływu czasu nasza obojętność zaczęła się zamieniać w gniew i nienawiść, w nienawiść do pana D. Jego nieustanne wołanie o ratunek doprowadzało nas do szaleństwa.

—Zdechnij już do jasnej cholery i zamknij mordę! — wołano ze wszystkich prycz.— Operacji durniowi się zachciało !

Sanitariusz tym razem milczał. Leżał na swojej pryczy z podniesioną głową, jak pies, co węszy zwierzynę, i pilnie patrzył w stronę pryczy pana D.

O godzinie 18 pan D. przestał krzyżeć. Ale nie umilkł. Monologował. Czynił to głosem monotonnym. Ale to nas jeszcze bardziej źle do niego nastrajało.

—Już jestem zimny do pasa. Nie czuję rąk. Połowa ciała umarła.

A potem :

—Zimno dociera do serca.

O godzinie 19 zawołał:

—Umieram!

Poderwał się z pryczy i runął na beton. Więcej już nie usłyszeliśmy jego głosu.

Zobaczyłem biegnącego sanitariusza. A potem, jak zaczęli schodzić z prycz nawet ci, co ledwie chodzili, i iść w stronę, gdzie leżał pan D., poszedłem i ja, sam nie wiem dlaczego. Nim tam dotarłem, oni już wracali na swoje miejsca. Pan D. ubranie miał zdarte, siennik popruty, torba, w której trzymał

swój chleb, leżała obok pusta. Sanitariusz stał nad nagim trupem i kłął na czym świat stoi. Myślałem, że ze złości kopnie te biedne zwłoki. Ale opanował się i poczłapał do swej pryczy. Zwłoki pana D. leżały tak do rana. Rano wywleczono je za nogi z rewiru.

Po śniadaniu sanitariusz powiedział do mnie:

—Jakaś Świnia obrabowała D.

—Jak to obrabowała? — spytałem zdumiony.

—To nie wiesz, że D. miał worek z tytoniem, miał złotą papierośnicę i złotą zapalniczkę? Żebym tę gadzinę złapał, powiesiłbym natychmiast. Ale kiedy ta cholera zdążyła to zrobić? Przecież byłem pierwszy?

Wtedy rozjaśniło mi się w głowie. I śmiać mi się chciało. Ktoś nabił sanitariusza w butelkę. Uprzedził. A on tak biegł!

W pierwszych dniach stycznia 1945 r. zmarł młodszy S., a w przeddzień naszej ewakuacji jego starszy brat, zdolny i znany architekt z Warszawy. Zmarł w czasie oddawania moczu. Nieprzytomny sądził, że jest przy kiblu, a siusiał sanitariuszowi na nogi. Sanitariusz był tym tak zaskoczony, że tylko wybelkotał:

— Panie inżynierze, nie wstyd to panu.

Ale głos mu zamarł. Inżynier jak kłoda runął mu pod nogi. Gdy się nad nim w kilka sekund później schyliłem, nie żył już.

Świadomie i z dostojeństwem umierał inż. M. W połowie stycznia przywieźli go na rewir z obustronnym zapaleniem płuc. W naszych warunkach równało się to wyrokowi śmierci. Punkcje i zastrzyki z kamfory, jakie stosował dr Koscica w tych przypadkach, tylko przyśpieszały zgon. Inż. M. zdawał sobie z tego sprawę. Nie chciał się męczyć. Za trzy kromki chleba, które ze sobą na rewir przyniósł, otrzymał od dra Juliusza jakiś zastrzyk, po którym natychmiast zasnął i więcej się nie obudził.

Te trzy kromki chleba dr Juliusz oddał swemu rodakowi, który wracał do zdrowia po zatruciu sodą kaustyczną. Tę ofiarę przynieśli na rewir nieprzytomną. Położyliśmy go

pośrodku izby, traktując jako trupa. Któryś z więźniów zdjął z niego pasiaki, bo, były czyste i mało zawszzone, i przywłaszczył je sobie. Swoje zaś położył obok „trupa”. „Trup” nagusienki leżał do rana. Rano, ku naszemu ogromnemu zdumieniu, usiadł na betonie i zaczął kląć we wszystkich językach świata. A najbardziej tych, którzy mu skradli papierosy. Co chwila wykrzykiwał: „A Feuer am Herz!”

Był to twardy Żyd. Twardy i w gębie, i w pięści. Przeżył Helsen.

5

Przywieźli mnie z lasu ze zwichniętym kręgosłupem. Przez całą drogę wyłem z bólu. Ułożyli w izbie na łóżku. Matka na mój widok załamała ręce. Siostra płakała. Zbiegły się sąsiadki. Radziły, radziły, radziły... i uradziły.

—Bańki mu postawić, a chłopak będzie zdrów.

—Ale gdzie te bańki?

—Szkłanki mu postawić.

Szkłanki były. Wystarczyło tylko podpalić papier, włożyć do szklanki i szklanka sama przylgnie do brzucha. A jak przylgnie, zdrowie murowane. Matka drżącą ręką zapaliła kawałek papieru i podłożyła pod szklanke, i szybko postawiła mi ją na brzuchu. Papier spadł na brzuch, brzuch wpił się w szklanke, a ja zawyłem jeszcze głośniejsze. Zdrowie nie wraęało, a papier płonąc parzył okropnie. Zawodziłem ja, zawodziły baby, a od brzucha szklanki oderwać nie było można. Trzeba było ożogiem walić w tę bańkę, żeby wreszcie mnie od niej uwolnić.

Bańki nie pomogły. Zawołali naszą wiejską „babcie”. Babcia kochana. Babcia wszystkim pomaga. Umie ból zamówić, krowie mleko w krew zamienić, do brzydkiej Praksedy pięknego Aleksego przywiązała. Ho, ho! Ma nasza babcia sposoby, oj ma...

Bali się tej cholery wszyscy, ale w nieszczęściu szli do niej jak sarny do wodopoju. Rady i pomocy nigdy nie skąpiła.

Widok babci uczynił na mnie takie wrażenie, że umilkłem i

leżałem jak sparaliżowany. A ona obejrzała mnie dokładnie i zażądała:

Gromnicy — gromnica była.

Małego stołeczka — mały stołeczek był.

Czystej szklanki — czysta szklanka była.

Świeżego jajka kurzego, rarytas w naszym domu, nie było.

Ofiarowała je sąsiadka. Przyniosła wprost od kury, jeszcze ciepłe.

Babcia zapaliła gromnicę i wetknęła mi ją do ręki, jak to czynią z umarłymi. Na ten widok matka i siostra ryknęły płaczem. Leżałem z płonącą gromnicą w garści, jak żywy trup. A babcia zdjęła mi majtki, podniosła koszulę aż po szyję. Wzięła jajko do ręki i zaczęła kręcić nim po moim ciele. Szeptala przy tym jakieś zaklęcia i ziewała potężnie. Baby jej wtórowały w tym ziewaniu.

Pięć razy mnie obtoczyła tym jajkiem. Potem rozbila je i zawartość wylała do szklanki. Ja tego nie widziałem, ale cała wioska twierdziła, że zawartość jajka miała barwę czarną. Znak to nieomyślny, że całą niemoc babcia ze mnie wyciągnęła.

Ale po tym zabiegu nastąpił inny. Jeszcze teraz, gdy o tym pomyślę, krzyż mnie zaczyna boleć i strach napawa me serce.

Babcia postawiła stołeczek na środku izby. Dwóm babom kazała mocno uchwycić mnie za ręce, unieść z łóżka i postawić przed stołeczkiem. Baby uniosły mnie. Zawyłem okropnie. Babcia ryknęła strasznym głosem, abym zamknął mordę. Zamknąłem. Postawiły mnie przed stołeczkiem.

— Skacz, cholero! — wrzasnęła na mnie, aż baby pisnęły ze strachu.

Skoczyłem. Coś trzasnęło. Upadłem i zemdlałem.

Miesiącami później leżałem na wznak, wychudzony jak szkielet. A potem ból zaczął zanikać. Odczuwałem go jednak przy wstawaniu i szybkim wyprostowywaniu się. Żeby tego uniknąć, wstawałem bardzo powoli. Opierałem się plecami o ścianę. Stopniowo opuszczałem nogi. Schylałem się powolutku do przodu. Chwytałem rękami za poręcz łóżka i tak trzymając się, ostrożnie stawiałem nogi na ziemi. I jesz-

cze wolniej podnosiłem tułów. Gdy tego dokonałem, stojąc w kabłąk zgięty, opierałem ręce o łędwie i zaczynałem przybierać postawę pionową. W czasie ruchu nie odczuwałem bólu, powracał jednak przy siadaniu.

Bóle krzyża odczuwam i teraz. Mam lewą nogę o kilka centymetrów krótszą, lewy bok spadzisty, a lewe biodro wklęsnięte.

W kilkadziesiąt lat później na podstawie badania rentgenologicznego orzeczono: „Zaburzenia rozwojowe trzonów L1 i L2 oraz L4 i L5 z następowym wytworzeniem bloków kostnych tych kręgów, lewostronnej skoliozy znacznego stopnia oraz wtórnych zmian zwyrodnieniowych”. Na zdjęciu wygląda to jak nieforemny kabłąk.

Życie, zdaniem świadków tego zdarzenia, zawdzięczam

babci, największej znachorce i czarownicy tamtych okolic. Ale ja od tego czasu nie mam. nabożeństwa do znachorów i czarowników. Tym niemniej w wiele lat później ze sprawami tymi się zetknąłem. Nawet pewnego dnia jakaś zakochana wariatka przyszła do mnie, abym czarami jej ukochanego do ożenku z nią zmusił. Choć było mi wtedy bardzo ciężko i potrzebowałem zarobić — odmówiłem.

6

Obudziłem się z okrzykiem: „Nie!”

Śniło mi się, że jakaś nieznana istota, jak to we śnie bywa, chciała mnie cofnąć o czterdzieści pięć lat w moją przeszłość, z zachowaniem pełnej- świadomości, że szczęśliwie przeżyję wszystkie etapy drogi, którą już raz przebyłem. To wydało mi się tak straszne, że zacząłem uciekać i krzyczeć z przerażenia.

Kiedy po obudzeniu się uzmysłowiłem sobie ten sen, uznałem, że mój protest i przerażenie były słuszne. Śmierć jest zjawiskiem nieodwracalnym. Lepiej umrzeć nawet jutro, niż przeżywać od nowa to samo.

...Miałem wtedy dziesięć lat. Do naszej wsi wjechała artyleria. Działa ustawili nie opodal cerkwi, pod rozłożystymi

topołami pełnymi wronich gniazd, okopując to tak, że lufy celowały na wschód. Artylerzyści wygnali ludzi z chat i kazali im ukryć się w cerkwi. Cerkiew była nowa, murowana, wysoka. Z dzwonnicy, gdy się tam weszło, można było w pogodne dni zobaczyć sąsiednie wioski leżące w promieniu dziesięciu kilometrów.

Nie ukryłem się, jak wszyscy, w cerkwi, tylko pobiegłem, żeby zobaczyć armaty. Ale natychmiast mnie stamtąd przegnali. W kilkanaście minut później rozległy się wystrzały i pociski artyleryjskie poszybowały na wschód. Zaraz ze wschodu zaczęły nadlatywać podobne i rozrywać się w naszej wiosce z hukiem. A kiedy mijały wioskę, słychać była ich gwizd. Poważny, dostojny, nie to co cienkie bzykanie kul karabinowych.

W cerkwi było ciemno, duszno, smrodliwie. Zapachy wczesnego lata tam nie docierały. Ludzie zawodzili i głośno wzywali na pomoc świętą Praksedę. Mury cerkwi od czasu do czasu drżały i sypał się tynk. Cichaczem wysunąłem się spod opiekuńczej ręki matki i pobiegłem schodami w górę, do dzwonnów. Kiedy tam zziąjany stanąłem, ujrzałem dwóch żołnierzy. Byli w zielonkawych mundurach i mieli jakieś żelazo na głowach. Jeden z nich patrzył na wschód przez jakieś rurki, a drugi coś wykrzykiwał do skrzynki. Dojrzał mnie ten przy skrzynce. Zdjął z głowy to żelazo i wielkim głosem wrzasnął:

—A pójdziesz stąd, pieronie zatracony!

Obejrzał się ten od rurki i dodał:

—Zwiewaj stąd, gówniarzu!

Wybiegłem z cerkwi na zalany słońcem świat boży. Z dala było słychać grzechot karabinów. Nad głową słyszałem dziwne jakieś pobzykiwanie. W pobliskim sadzie dojrzałem żołnierza z koniem. Przebiegłem przez drewniany płot i znalazłem się przy nim. Na jabłoni ćwierkał przestraszony ptaszek.

Może wróbel? Na mój widok żołnierz zawołał radośnie :

—Z nieba mi spadłeś, szkrabie! Gdzie tu macie wodę?

Popatrzyłem na niego nie rozumiejąc. Więc powtórzył,

wymawiając powoli: w o d a . Wskazałem na zachód.

—Tam jest rzeka.

—Daleko. Parę kubelków mi trzeba. Umyję konia.

Zrozumiałem. Koń był cudowny. Trzeba go umyć. Powiedziałem, że tuż za jabłoniami jest studnia, a przy niej wiadro. I chciałem tam pobiec, żeby tej wody mu przynieść. On popatrzył na mnie krytycznie i nie pozwolił. Dał mi cugle do ręki i kazał trzymać konia. Usłuchałem go z radością. Koń był cudny. Żołnierz poszedł we wskazanym kierunku, a ja głaskałem konia po chrapach. Po chwili żołnierz wrócił z pełnym kubłem wody. Zaczęliśmy myć konia. A kiedy zużyliśmy trzy kubły wody i koń był prawie umyty, żołnierz wziął kubel i kierując się w stronę studni, powiedział dobierając słów:

—Teraz bardzo uważaj i trzymaj go mocno, bo zacnie się tarzać i całą naszą pracę diabli wezmą.

Powiedziałem, że wiem i będę bardzo uważał.

—No to czuwaj.

Zaczął się powoli oddalać. Ale w pewnym momencie stanął niezdecydowany. Obejrzał się w naszą stronę. Przeszedł kilka kroków naprzód i znowu stanął. Jeszcze raz popatrzył na nas i ponownie ruszył. I raptem gwałtownie zawrócił. Podszedł do mnie i dał mi kubel.

—Nie. Teraz ty pójdziesz po wodę. Ja muszę tu zostać. Biegnij i szybko wracaj.

Podbiegłem w podskokach. Zaczepnąłem wody ze studni. Kubel napęczniony wodą był bardzo ciężki. Uginając się pod jego ciężarem zacząłem powolutku iść w stronę konia. Ale nie przeszedłem nawet pięciu kroków, jak ujrzałem błysk, a potem usłyszałem huk, aż przysiadłem ze strachu. A nad moją głową coś przeleciało z chichotem. Kiedy wszystko ucichło, dalej zacząłem dźwigać tę wodę. Ale kiedy dotarłem na miejsce, nie było już ani konia, ani żołnierza. Drzewo leżało powalone jak po huraganie i ziała wielka dziura w ziemi.

Od tamtego momentu minęło już ponad pół wieku, a wciąż go widzę przed oczami i nie chciałbym wracać w tamtą

rzeczywistość.

Droga do śmierci tego konia i tego żołnierza wtedy dobiegała końca, a moja dopiero zaczynała się. I dlatego w ostatniej chwili żołnierz ów zawrócił i mnie kazał iść po wodę.

7

Po raz pierwszy nazwano mnie „jasnowidzem” prawie pół wieku temu. Było to w wigilię Trzech Króli, w czasie kolacji. Tego dnia po południu przekazano mnie jako wychowanka do bursy, w najpiękniejszym miasteczku świata K. Bursa stała na lewym brzegu malowniczego Korczyka, w dużym sadzie, na wzgórzu. Pod czereśnią była ławeczka. Na niej siadywałem wiosną i latem, i zapatrzony w most, marzyłem o dalekich krajach. Ten most to nędzny drewniak, ale wtedy wydawał mi się ósmym cudem świata. Wieczorami, gdy świecił księżyc i gdy była pełnia, w jego poświacie wody Korczyka wyglądały jak żywe złoto. Ponura baszta zamczyńska drgała w nich i zdawała się czymś niesamowitym.

Jadalnia w naszej bursie była niewielka. Ale i wychowanków nie było zbyt wielu. Załedwie trzydziścioro. Dziewczynek i chłopców. Mnie przyjęto tam niezbyt życzliwie. Nie należałem do „rodziny”. Przy tym różniłem się od nich wyglądem zewnętrznym. Wiele upłynęło czasu, zanim zaaklimatyzowałem się tam „duchowo” i zanim przyjęto mnie do ich grona. Nie lubiła mnie kierowniczka i kucharka. Po prostu nie podobałem się tym damom.

Z tych trzydziestu wychowanków było: czworo Szczawińskich, zwanych „żulikami z Żytomierza”, czworo Uzulinów, czworo Waszkiewiczów z piątą mamusią na czele, troje Drelichowskich, pięcioro Bajów.

Podczas tego pierwszego posiłku wieczornego — była to wigilia Trzech Króli, pani Waszkiewiczowa podała rarytas nad rarytasy, powidła jabłkowe. Powidła jej własnej roboty. Dzieciarnia rzuciła się na nie jak wilki na jagnię. Rzuciłem się i ja, jako że byłem bardzo głodny. Schwyciłem kromkę

chleba nasmarowaną tym specjałem i ugryzłem nielichy kęs. Ugryzłem tak niefortunnie, że coś mi w zębach trzasło. Jadalnia była oświetlona tylko dwoma niewielkimi lampami naftowymi. Na stole panował gęsty półmrok. Wyteżyłem wzrok i z zaciekawieniem spojrzałem na swoją kromkę Chleba, równocześnie szybko żując ten kęs, co go odgryzłem. Patrząc na tę kromkę, poczułem się bardzo słabo i zebrało mi się na mdłości. W rozsmarowanych na chlebie powidłach ruszały się małe, średnie i duże, napęczniałe, spasiono robaki. Powidła po prostu drgały. Ze wstrętem wypłułem to, co miałem w ustach, i powiedziałem głośno: „robaki”. Dzieci zamaryły w bezruchu z kromkami chleba uniesionymi do ust.

—Kto to powiedział?

Milczałem przerażony. Głos pani Waszkiewiczowej wydał mi się syczeniem żmii.

—Pytam się po dobroci, kto to powiedział?

—To ten nowy — Józio Szczawiński wskazał na mnie palcem.

—Ten „połamany”, nawet na stół napluł — uzupełnił Dubielewski.

—Ten przybłąda? — pani Waszkiewiczowa powiedziała to ze zgrozą. — Zaraz poproszę tu panią kierowniczkę. Odechce ci się pluć na stół.

Za chwilę wróciła z panią Mączyńską, naszą „Mateczką”, babą jak Horpyna.

—Gdzie te robaki? Jakie robaki?

Stały nade mną jak dwa demony. Ponad moją głowę patrzyły, udając, że pilnie oglądają moją kromkę chleba.

—Nie widzę tu żadnego robaka — powiedziała słodziutko Mateczka, a pani Waszkiewiczowa jeszcze słodziej jej przytaknęła. — A wy, kochane dziecieczki, widzicie u siebie na chlebie robaki?

Kochane dziecieczki milczały.

—No, mówcie szybko.

—Nie widzimi plosę pani — to Stasio Uzulin, o przezwisku „Dojaji”, tak się podlizywał Mateczce. Wtedy i inne

dzieci odparły, że robaków nie widzą.

—Jasnowidz, diabli nadali. Wstań od stołu i do kąta. Dopiero pierwszy dzień tu jest i już nam dzieci demoralizuje.

—Władziu, u mnie w pokoju leżą woreczki z kaszą jaglaną. Te pod łóżkiem. Przynieś je.

Władzio przyniósł ochoczo. ’

—Połóż pod ścianą.

Władzio radośnie położył.

—Kłękaj na nich! — wrzasnęła na mnie.

Ukląkłem. Ręce kazała podnieść do góry. Podniosłem.

—Jak sobie pokłęczysz, to przestaniesz widzieć robaki. Jasnowidz, diabli nadali.

Nie klęczałem długo. Jeszcze obecnie nie mogę stać długo ani siedzieć nieruchomo, a wtedy jeszcze bardziej. Nim upłynęło parę minut, zemdlałem, a nazajutrz mimo święta musieli mnie zawieźć do szpitala pod czułą opiekę dra Biszoffa.

Kazio Bielecki, przezywany „Szczyłem”, powiedział mi, gdy po kilku tygodniach wróciłem ze szpitala, że widział, jak pani Waszkiewiczowa brała wiaderkami tę marmoladę z beczki i całą noc wynosiła do ubikacji. Faktem jest, że więcej jej nie podano nam do stołu.

8

A kiedy ziemia, od chwili mego pojawienia się na niej, po raz czternasty okrążyła słońce, a słońce znalazło się w znaku Lwa, postanowiłem uciec od matki i ojczyma. Nie wiedziałem, dokąd się udam. To nie miało znaczenia. Jednakże przed wyruszeniem w nieznaną zapragnąłem upewnić się, czy będę miał choć odrobinę szczęścia na tej drodze życia, jaką sobie wybiorę. Rękojmią tego szczęścia, jak zapewniała mnie babcia, jest znalezienie podwójnego kłosa. Najlepiej żyta. Jest to znak o wiele skuteczniejszy niż czterolistna koniczyna. Zacząłem szukać.

Piękne to hasło — „Každy kłos na wagę złota”. W dzieciństwie do moich obowiązków należało w czasie żniw — zbierać kłosa. Každy taki kłos zebrany przeze mnie, a mało

ich było na ścierniskach, liczył się w naszym domu na wagę brylantów. Ciężka to była praca zbierać dziennie worek takich kłosów. Byłem niedożywiony, więc bardzo szybko się męczyłem. Mój syn, urodzony w Polsce Ludowej, mierzy 186 ctn, ja dosięgnąłem zaledwie 166 cm.

Po trzech dniach znalazłem pierwszy podwójny kłos żyta.

Był maleńki i płonny.. Szukałem niezmordowanie dalej. Po tygodniu żmudnych poszukiwań — znalazłem drugi. Był również niewielki i zawierał zaledwie kilka rachitycznych, ziam. Babcia, która wszystko wiedziała, wywróżyła mi, że czeka mnie dziesięć lat bardzo chudych i dziesięć lat mniej mizernych. A potem, jak Bóg da. Przekonałem się, że miała rację ta mądra babcia.

Zanim jednak ruszyłem w świat, dane mi było zobaczyć cud. Nic też dziwnego, że kiedy w latach czterdziestych całą Polskę obiegła wieść o cudzie w Lublinie i kiedy pan mecenas M. namawiał mnie, żebym z nim tam pojechał, odmówiłem. Nie pomogły jego zaklęcia i zapewnienia, że wie od naocznych świadków, iż w katedrze lubelskiej dzieją się istne dziwy. Nie poszedłem również oglądać na Nowolipiu cudownego odnowienia się kawałka blachy na wieży kościelnej, choć było to zaledwie kilka przystanków tramwajowych od domu, w którym mieszkam.

I nigdzie już nie pójde oglądać cudu, bo ten, który widziałem w naszej wsi owego roku, był tak wielki, że nic mi już nie zaimponuje.

U Feduna, tego samego bandziora, który najpierw mordował „czerwonych”, potem „białych”, a potem „Lachów”, odnowił się w nocy obraz święty. Zalśnił tak potężnie, że widać było w chacie jak w pełni księżyca. Jakaś potężna siła poderwała rodzinę Feduna z barłogu. Zaczęli krzyczeć i wołać sąsiadów. Sąsiedzi nadbiegli. A gdy zobaczyli cud, padli czołem przed tym obrazem. Nim słońce dotarło do połowy nieba, z okolicznych wsi jechali furmankami, szli pieszo i pełzli ludzie. Przyjechała komisja z Poczajowa. Sam archirej z wielką brodą. Powiedział, że jest to wielki cud. Tym większy, iż jest to ikona wyobrażająca świętego Iwoła,

wielce miłego Bogu i jego aniołom. Wtedy Fedun ubrał się odświętnie, zakładając nową, pięknie wyszywaną koszulę, długą aż do kolan. A jego żona, ho, ho, wyglądała jak królowa z bajki „O rybaku i złotej rybce”. Usiadła na zydlu pod ikoną, po prawicy męża. A po lewicy posadzili córkę.

Cała ta trójka, złożwszy ręce na krzyż w okolicy pępków, siedziała pod ikoną, patrząc nabożnie w sufit.

A pątników przybywało coraz więcej. Już z miasteczek. A każdy przynosił dary wszelkie i składał u stóp Feduna, błagając go o błogosławieństwo i dobre słowo. Fedun łaskawie go im udzielał. Ale nie wszystkim tak od razu. Niektórzy musieli aż po trzykroć bić pokłony przed nim, zanim raczył dać do zrozumienia, że to zauważył. Pamiętam, jak jeden z gorliwców, ostrzyżony przez żonę pod makutrę, tj. tak jak dziś strzygą się bitelsi, uderzył kornie o ziemię, aż włosy po niej się rozpląnęły, i nie zdążył na czas podnieść głowy, i wtedy ten, co bił pokłony stojąc przed nim, wstając z klęczek, nadepnął na te włosy.

Długowłosy pociągnął raz głową, nie idzie. Pociągnął drugi raz, ani rusz. Wtedy delikatnie do tego, co stał na tych włosach, powiada.

—Czupryna.

Ten zapatrzony w Feduna ani drgnie.

—Czupryna! — zawołał klęczący głośnie. Znow bez skutku. Wtedy niepomny miejsca cudownego, wrzasnął na całą chałupę: — Czupryna boli, w twoju mamu!

Wrzask ten usłyszał nawet przygłuchawy sąsiad. Spojrzał na tego, co stał na tej czuprynie, i bez namysłu bęc go w pysk.

—Za co go bijesz, kumie?

—Niech nie gwizdże przed cudowną ikoną.

—On nie gwizdże, kumie. On gębaty.

—A tra jeha matery, że on bogaty — i bęc go drugi raz po gębie.

Zrobiło się zamieszanie i mogłoby dojść do większej bijatyki, gdyby starosta cerkiewny nie wmieszał się w to i kresu zamieszaniu w tak dostojnym miejscu nie położył.

A kiedy darów nawieźli Fedunowi tyle, że nie miał gdzie

ich gromadzić, odnowił się inny obraz. U grabarza, tuż za wsią przy cmentarzu.

Ale to nie był dobry cud. I tu wyszło na jaw, że Bóg kieruje chłopem, a chłop kłonicą. Rozbito kilka łąbów, spalono kilka chat. Bo dwóch cudów naraz być nie może. I do tego u takiego hołysza.

A policja konna ikony zabrała. Zabrała i grabarza, i Feduna. Udowodnili im oszustwo i osadzili w więzieniu. Nie wyszli z niego tak łatwo, jak to ongiś świętemu Piotrowi się przytrafiło.

I wierz tu człowieku w cuda.

9

Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży Polskiej z kresów mieściło się w Warszawie przy ul. Świętokrzyskiej 5. Zajmowało się ono opieką i wychowaniem dzieci, przeważnie sierot przybyłych ze Związku Radzieckiego. Część tych dzieci dotarła do Polski aż poprzez Japonię. Była to zbieranina, o jakiej nam się dziś nie śni. O losie takich dzieci pisał Makarenko, pokazano je w filmie „Bezprizornyje”.

Żeby je jakoś rozlokować, zorganizowano sieć internatów. Dwa takie internaty były w samej stolicy, przy ul. Grzybowskiej — dla dziewcząt, Sapieżyńskiej — dla chłopców. Dla studiujących na wyższych uczelniach stworzono Ognisko Akademickie przy ul. Miodowej 6. Tam przez kilka lat notowałem nielegalnie, ukryty w szafie.

Na prowincji internaty mieściły się: w Bydgoszczy i Grudziądzu — dla chłopców oraz w Świeciu nad Wisłą — dla dziewcząt. Ja trafiłem do tego najgorszego, w Grudziądzu. Przywieźli mnie tam, kiedy ziemia obiegała słońce po raz osiemnasty od mego pojawienia się na niej, a słońce było w znaku Panny w końcu pierwszej dekady.

Byłem wtedy uczniem szóstego oddziału szkoły powszechnej. Łudziłem się, że przez zmianę miejsca uda mi się zdać do gimnazjum. Okazało się, że jestem spóźniony o cały miesiąc, by być przyjętym do tego przybytku wiedzy, a o całe

cztery lata, żeby być uczniem czwartej klasy. W drodze wyjątku przyjęliby mnie do klasy ósmej, ale nie po sześciu oddziałach szkoły powszechnej. I poszedłem do siódmego oddziału. A więc i tak zyskałem rok życia.

Z nauką jakoś dawałem sobie radę. Jedyne język francuski stanowił dla mnie problem nie do przełamania. Na kresach wschodnich uczono nas języka niemieckiego, a tu we wszystkich szkołach obowiązywał francuski. Rozpacz. Walczyłem z tym językiem uparcie rok cały, i w końcu mogłem bezbłędnie powiedzieć: „lestomac se revolt”, ale napisać tego zdania poprawnie do dziś nie potrafię. A mimo to na cenzurce mam stopień „bardzo dobry”. I myślę, że gdyby istniała ocena „genialnie”, też bym ją od naszej pani otrzychał. A otrzymałem go za to, że pierwszego dnia nauki, mijając ją na korytarzu, wykrzyknąłem pełen zachwytu: „Jaka pani jest piękna!” A była zaiste bardzo piękna. I miała dwadzieścia lat.

Internat mieścił się w czerwonym, piętrowym budynku, stanowiącym ongiś koszary, przy ul. św. Wojciecha, nie opodal dzielnicy dla bezrobotnych, zwanej „Maderą”. Na parterze znajdowały się: kuchnia, jadalnia, umywalnia i urządzenia sanitarne; sala do odrabiania lekcji dla „szczeniaków”, pokój dla druha Jerzego, wychowawcy młodszych dzieci, i maleńka salka, później spełniająca rolę świetlicy.

Na piętrze były dwie sypialnie po 60 łóżek, pokój dla wychowawcy „arystokracji ustępowej”, kancelaria i zarazem mieszkanie pani Oktawii Matuszewskiej, kierowniczkii internatu, sala do odrabiania lekcji dla chłopców ze szkół średnich. Na poddaszu wydzielono niewielki pokój i nazwano go „izbą chorych”. Mogły tam chorować dwie osoby. Ale to się nie opłacało. Okna na parterze były zaopatrzone w grube kraty. Z daleka internat wyglądał jak dom poprawczy, szczególnie kiedy został ogrodzony siatką, uwieńczoną drutem kolczastym. Bramę zamykano o 19 i na tę godzinę, żeby świat się walił, musieliśmy być na miejscu, gdyż za spóźnienie groziły srogie kary. Mimo to wielu z nas

ryzykowało, przychodząc o wiele później. Przełaziliśmy przez tę siatkę i drut. A na piętro wciągaliśmy delikwentów za pomocą prześcieradła. Za mego tam pobytu złapali tylko Mielnika, kandydata na księdza, który uganiał się po parku za jakąś spódniczką. Po wielkich wnykach, jakie za ten czyn otrzymał, na nasze kpiny, że się dał schwytać, odpowiedział, składając nabożnie ręce i podnosząc wołe oczy ku niebu: „Bóg tak chciał”. Od tego czasu nie nazywaliśmy go inaczej.

Karano nas często i chętnie. Najczęściej za karę nie dostawaliśmy jeść. A karmiono nas bardzo skąpo i lichy. Tylko dwa dni w tygodniu uznawaliśmy za godne pochwały. Były to czwartek i niedziela. W czwartek, po modlitwie porannej i pieniach nabożnych, dostawaliśmy kubek „kaka” i dwie kromki chleba z margaryną. Na obiad mielony kotlet z leszcza, ziemniaki i ziemniaczankę. A na kolację, o rozkoszy, makaron na mleku. W niedzielę na obiad mielony kotlet wołowy, a na kolację — ryż na mleku. Czy jest coś lepszego pod słońcem?

Czwartkowej i niedzielnej kolacji nikt nie opuścił. Którejś niedzieli Kazio, ze względu na krzywe nogi „Szablastym” zwany, pożarł aż 6 misek tego ryżu na mleku. W sumie wlał w siebie 3 litry wody imitującej mleko. A kiedy po wylizaniu ostatniej miski wstał od stołu i wyprostował się, zobaczyliśmy łzy kapiące mu z oczu i usłyszeliśmy głos jego wołający: „O Boże! Nareszcie się najadłem. Co za rozkosz”. Z lubością pogłaskał się po brzuchu, w tej chwili sprawiającym wrażenie bębna.

Wszystkie potrawy jedliśmy łyżkami. O widelcach i nożach, a tym bardziej o ich zastosowaniu, nie mieliśmy pojęcia.

O pozostałych dniach tygodnia mówić hadko. Zarówno te wspaniałe czwartkowe i niedzielne dania, jak i dania pospolite, gotowała nam pani Gałuszyńska, matka pięciu zezowatych rudzielców o krogulczych nosach: Gucia, Pietrka, Janika, Szymika i Franika. Patronowała jej pani Zofia, z powodu zbyt długiej wargi dolnej zwana przez nas „Gębata”.

Godziny posiłków były ustalone i skrupulatnie ich przestrzegano. Tylko we środę dla pięciu z nas czyniono wyjątek. Tego dnia musieliśmy być o 15 w majątku szkolnym Tarpno, położonym o jakie 7 km od miasta, na zajęciach praktycznych i dlatego pozwolono nam jadać obiad o 13, bezpośrednio w kuchni, aby nie drażnić podniebienia innych głodomorów. Którejś środy pani Gałuszyńska jak zwykle usadowiła nas przy stole kuchennym. Wlała nam do misek grochówki i powiedziała:

—Konsumujcie, niebożątka, niech wam to idzie na zdrowie.

Nie trzeba nas było zachęcać. Rzuciliśmy się na tę lurę jak wilki na jagnię. Nim upłynęło parę minut, miski nasze ziały pustką# a nam się zdawało, że nie tknęliśmy jadła. Wtedy pani Gałuszyńska z nabożnym dostojeństwem zdejmowała pokrywę z kotła, w którym dogotowywał się groch, tworząc zawieszistą maź. Staliśmy już przy nim z miskami. Po zdjęciu pokrywy ujrzeliliśmy, że na wierzchu tej mazi leży coś szczeciniastego. Pani Gałuszyńska spojrzała na to „coś” i schwyciła się za głowę:

—O rety! Kićka ugotowała się!

Wsadziła rękę do tej mazi i wyciągnęła z niej to „coś”.

—Chwała Bogu. To tylko szczotka ryżowa od podłogi.

Zgarnęła z niej groch do kotła i chciała ją wrzucić do kotła z pomyjami. Na ten widok Kielbaska jęknął rozpaczliwie, a następnie wyrwał jej z ręki tę nieszczęsną szczotkę i z wniebowziętym wyrazem twarzy wylizał ją dokumentnie.

Świetlicy nie mieliśmy. Życie „kulturalne” odbywało się w umywalni, gdzie po kolacji ustawialiśmy się rzędem i czekaliśmy swojej kolejki, żeby przykucnąć w pewnym dyskretnym miejscu. Dla zabicia czasu wiedliśmy uczone dyskusje na różne tematy. Jeśli udało się nam zdobyć papierosa, solidarnie wypalaliśmy go systemem sztacha. Ceremonia ta była tak uroczysta, jak wypalenie fajki pokoju u Indian.

Rozpoczął ją Tkaczyk, najstarszy z grona arystokracji ustępowej,, chłop pod trzydziestkę. Ostatnim do sztacha

zawsze był „Mandolinista”, najmniejszy wzrostem, choć wąż mu się już nielichy sypał. Przewisko to zdobył po trzyletnim upartym ćwiczeniu na mandolinie jednej melodii: „Pada. sobie deszczyk, pada sobie równo...”.

W dniu, w którym ziemia obiegała po raz dwudziesty drugi krąg słoneczny od chwili mego pojawienia się na niej, a słońce znalazło się na pograniczu między Wagą i Skorpionem, Tadzio Ramsztajn, zwany „Koniem Generała” i słynący jako największy blagier w internacie, powiedział nam, że do Grudziądza zjechał światowej sławy mag i czarodziej, profesor wiedzy tajemnej, pan Łączyński. Jego pierwszy występ w kinie „Orzeł” odbył się właśnie tego dnia. A on, Tadzio, dzięki Zalasowi, który mu zafundował bilet do kina, miał zaszczyt być świadkiem sukcesów maga, a nawet rozmawiał z nim. Film był do kitu, ale pokaz maga przechodził ludzkie pojęcie.

—A cóż on takiego pokazywał? Język?

—Te, Kuczko, zamknij japę — Tadzio na to — i słuchaj, co mądrzy mówią.

Kuczko, o przewisku „Rezus”, bo był zdumiewająco do tej mały podobny, spojrzął na Tadzia spode łba, ale przezornie wzięj się nie odzywał.

A Tadzio ciągnął dalej:

—Profesor nie jest wysoki. Raczej krótki, ale za to ma długą czuprynę i bardzo czarną, szeroką brodę. A oczy? Jak spojrzął na mnie, to po mnie mrowie zaczęło pełzać. To siła wzroku. Stał na scenie przed ekranem i nawoływał, żeby zgłaszali się chętni do uspienia. Początkowo nikt się nie zgłaszał, nawet hołota zaczęła gwizdać na mistrza. Już chciałem iść do niego, ale uprzedziła mnie ta gruba handlarka ryb, co siedzi przy pierwszym straganie na Rynku Rybnym.

—To ta wiedźma, co nam zepsute leszcze sprzedawała nie wytrzymał Kuczko, ale Tadzio go natychmiast uciszył.

—Baba sapiąc wgramoliła się na scenę. Profesor kazał jej usiąść na krześle. Usiadła. Zaczął wpatrywać się jej w oczy, a potem czynić rękami nad jej twarzą jakieś dziwne

ruchy. A potem krzyknął: „Śpij!? I jak Boga kocham, baba zasnęła. I gdy tak spała, on kazał jej wstać z krzesła. Wstała posłusznie. A on powiedział: „Jesteś wielką śpiewaczką. Zaśpiewaj nam swoją najmiłą piosenkę”. I ona zaśpiewała „Tango Milonga”. O, bracia. To był śpiew! Lucyna Szczepańska przy niej to wyjec. Gdy skończyła, na polecenie profesora, przyniesiono szczotkę na kiju. Dał ją babie i powiedział, że to jest jej narzeczony. Baba przytuliła tę szczotkę do łona i nuże przemawiać do niej czule: „Maksiu mój jedyny. Gołąbeczku. Pocałuj mnie. Pocałuj swoją rybkę”.

Słuchaliśmy Tadzia z otwartymi ustami, ale ten Rezus znowu mu przerwał, wykrzykując: „błaga, błaga!”

—Ty zaropiałku — wykrzyknął Tadzio. —Jak nie zamkniesz gęby, to cię zaraz uspię!

Kuczko parsknął pogardliwie. Ale Tadzio na to nie zważał.

—Zakład, że uspię tego Rezusa. Profesor powiedział, że małpy dają się łatwo uspić.

—Ja ci dam małpę, ty Koniu Generała.

Kuczko chciał się rzucić na Tadzia z pięściami, ale nie dopuściliśmy do tego.

—Niech pokaże, że potrafi cię uspić. Jak mu się to uda, przebaczysz mu, a jak nie uda się, dasz mu w mordę. Zgoda?

Obaj się na to zgodzili. Udaliśmy się do pokoju przy klatce schodowej. Mieliśmy schowanych tam kilka świec, więc Tadzio zapalił je wszystkie. Część ustawił na parapecie okna, pod którym twarzą do drzwi ustawił Kuczkę, dwie wziął do rąk i oświetlił sobie nimi twarz. Przedtem zmierzwił sobie włosy, żeby upodobnić się choć w ten sposób do prof. Łączyńskiego. Uznaliśmy, że Tadzio w tej pozie dorównuje co najmniej Borysowi Karloff. Wybałuszył ślepie i rozkazał Kuczce:

—Patrz mi w oczy, Rezusie, i to już.

Jakiś czas obaj wpatrywali się sobie w oczy i, o dziwo, Kuczko zaczął chwiać się na nogach, a jego twarz pokryła się kropelkami potu. Nam dech zapało. W pewnym momencie Tadzio szeptem powiedział: „Śpij”. Rezus zamknął

oczy. A Tadzio rozkazał: „Uklęknij”. Rezus bez wahania to uczynił. Zdębieliśmy ze zdumienia, a Tadzio zbaraniał. Ale nadrabiając miną rozkazywał dalej: „Bij mi pokłon”. Rezus i to bez wahania wykonał. I gdy tak czołem dotykał podłogi, a my staliśmy jak słupy telegraficzne, uchyliły się drzwi do pokoiku i ukazała się w nich głowa pani Oktawii, naszej kierowniczkii. Tadzio odwrócił się i spojrział na nią dziko. Na widok tej twarzy, fantastycznie oświetlonej świecami, pani Oktawia z okrzykiem: „wariat, wariat!” cofnęła głowę, zatrzasnęła za sobą drzwi i co sił w nogach zaczęła uciekać po schodach na górę, do swego pokoju. A że ważyła co najmniej sto kilo, schody pod nią drgały podejrzenie.

Eksperyment został przerwany. Ale Tadzio tryumfował., My zaś zapragnęliśmy pójść w jego ślady i marzyliśmy, żeby zetknąć się z panem prof. Łączyńskim.

Ale profesor był nieuchwytny. Więc niektórzy zdobyli wielkie „dzido” Szyllera-Szkolnika; „Siła nasza wewnątrz nas” i według wskazówek tam zawartych zaczęli ćwiczyć siłę wzroku przez wpatrywanie się godzinami w czarny krążek na białym tle bez zmrużenia powiek. Dzięki tej szybkościowej metodzie zdobywania siły wzroku i woli kilku z nas dorobiło się okularów.

10

Konstanty K. w szesnastym roku życia, stojąc na czubkach palców niezbyt czystych stóp, wyprężony jak żołnierz na warcie, czubkiem nie ostrzyżonej, okrągłej jak bania, głowy sięgał Tadziovi Ramstajnowi do dziurek od nosa. Wniosek zatem oczywisty — wzrostem dorównywał Napoleonowi I cesarzowi Francuzów.

Albowiem normą wielkości człowieka był Tadzio. A jemu, jak udowadniał, Napoleon nie dorastał nawet do czubka nosa.

Pomiar wielkości Konstantego odbył się w internatowym ustępie pewnego chłodnego wieczoru jesienią 1930 r. w

Grudziądzu. Za dostąpienie tego zaszczytu dał Tadziewi dwa rarytasy pomorskie, które z rozkoszą wypaliła arystokracja ustępowa pod światłym przewodem Konia Generała.

Zaszczytne miano Konia Generała tego dnia otrzymał Władzio P., zwyczajnie, a w zależności od tego, kto to mówił, noszący przezwisko „Słoneczko”, „Kiełbaska” lub po prostu „D... Wołowa”.

Kierowniczka nazywała go „Słoneczkiem” za przemiły uśmiech i niskie ukłony, „Kiełbaską” serdeczni koledzy, kiedy ich częstował okruchami wałówki otrzymywanej od czasu do czasu od mamusi z domu, a „D... Wołową” — „gówniarze”, których w przypływie dobrego humoru kopał w tyłki lub zrzucał z sedesów.

Po otrzymaniu w ten sposób patentu na wielkość, Konstanty, gdy go nie obserwowano, godzinami wpatrywał się w swoje odbicie w zwierciadle, jakie wisiało w ustępie. Zwierciadło owo było zapaskudzone nie tylko przez muchy (Gówniarze pisali na nim palcami, których przedtem używali zamiast papieru higienicznego, bo takowego u nas nie było), w środku stłuczone, ale uparty mógł dzięki niemu przekonać się, że ma troje oczu, dwa nosy, kilka podbródków, a nawet mógł dojrzeć koniuszek własnego ucha.

Zygmusć L., zwany „Słuszną Racją”, słyszący z tego, że na każdą szkolną zabawę brał ze sobą ukradzioną Kozłowskiemu siekierkę, szczycący się tym, że jako pierwszy sięgnął Tadziewi do dziurek od nosa, jak tylko przyłapał K. pod zwierciadłem, od razu poczuł pismo nosem. A nos miał nie od parady.

„Konkurent do wielkości” — pomyślał, a głośno wykrzyknął: — Niedoczekanie twoje! — Było to tak nagłe, że omal nie spowodowało upadku Kuczki, który akurat zdrzemnął się na sedesie. Późniejszy kawaler wielu odznaczeń, które zdobył w ciągu drugiej wojny światowej, na krok nie ruszając się z Warszawy z wyjątkiem krótkiego pobytu w Gostyninie, warknął wściekle:

— Czego ryczysz, wole podolski. Jak cię dzielę pięścią między gały, to ci mózg tyłkiem wyskoczy. Spać nie dajesz.

Zamknął oczy, a oni prysnęli do izby lekcyjnej.

Tam Zygmus pokazał K. siekierkę i powiedział parę słów do słuchu. K. to sobie zapamiętał i w kilka dni później Zygmus z rozpaczą stwierdził, że siekierkę diabli wzięli. Wielu z nas przez kilka dni poszukiwało jej — bezskutecznie.

Nikt z nas nie podejrzewał, że siekierkę skradł Konstanty K. Albowiem Konstanty K. coraz bardziej czuł w sobie siłę i powołanie Napoleona. Nawet zaczął głośno cytować jego słynne powiedzenia i na dobitkę w podłym francuskim, co zresztą, nie znając tego pięknego języka, wybaczyliśmy mu; ale kiedy po spożyciu czwartego litra mlecznej zupy z ryżem powiedział Tadziewi, że Napoleon z twarzy jest do złudzenia podobny do niego, Konstantego K., Słoneczko nie wytrzymał:

—Patrzcie panowie — zawołał na całą jadalnię i sto dziewiętnaście głów zwróciło się w jego stronę — tak właśnie wyglądała „smutna twarz Napoleona”! — wskazał na zaczerwioną gębę K.

—Jest to ta sama twarz — wrzeszczał Słoneczko — którą siedział w siodle pod Austerlitz!

Ryknęliśmy iście homeryckim śmiechem. Ale śmiech nasz urwał się raptownie. Zagłuszyło go coś w rodzaju kwiku żarzynanego prosięcia i bojowy okrzyk Konstantego K.:

—Ty D... Wołowa, ja cię nauczę!

Cały litr bezcennej mlecznej zupy wylądował na łysej jak globus czasce Władzia P., oblewając pucołowatą twarz i pożyczoną od Bóg Tak Chciał papierową kryzę, którą Władzio ozdobił swoją szyję, gdyż tego wieczoru miał generalną próbę w sztuce „Koń Generała” i to jako główny jej bohater, koń, „co kopytem grzebie grób swemu panu”.

Parę kropli tego bezcennego płynu prysnęło przy sposobności w oczy Słusznej Racji, przepelniając kielich gorzycy i pobudzając go do czynu:

—Ty zafajdany szcurze — wrzasnął na Konstantego K. — gdybym miał siekierkę, już byś nie żył. Dziękuj Bogu! Tak, to tylko ci ślepiea wybije.

Rzucił się na K., ale ten, jak przystało na wielkiego

człowieka, dał nura pod stół, a pięść Słusznej Racji wylądowała na stole. Słuszna Racja zawył z bólu i zaczął dmuchać na obolałą rękę. W tym czasie Konstanty K., pełząc pod stołami, mimo kopniaków, jakimi go obdarzali siedzący, docierał do drzwi wyjściowych, ku którym, zwabiona hałasem, jak taran zmierzała „ukochana mateczka” Oktawia Matuszewska.

Tory ich zbiegły się w progu jadalni. Gdy mateczka otworzyła drzwi do jadalni i postawiła na progu „rózanopalce” stopy, K. Konstanty wstawał na nogi. Głowa jego, a potem cały tułów znalazły się w roHcroczu naszej kierowniczkii. Krzyknęła przerażona, zachwiała się i całym ciałem zwała się na K.

Ten tylko zdążył pisnąć: „O, Jezu!” i zemdłał. Bóg Tak Chciał na widok upadłej mateczki pierwszy podążył jej w sukurs. Ale łobuz zamiast podnosić ją z „upadku”, czym ulżyłby doli K., ukląkł przy niej i lubieżnie wsadził łapska za jej stanik. Widzieliśmy, jak się uśmiechała, a on ścisnął ją i wołał rozdzierającym głosem:

—Na pomoc! Ratunku!

Na to zawołanie nadbiegła z kuchni nasza najmilsza gosposia Zofia, pieśczośliwie zwana „Gębatą”, za nią pani Gałuszyńska, panna Anna i Mena, a w końcu palacz c.o. Kozłowski zwany „Szypą”. Oni to wspólnymi siłami, przy naszej zachęcie „ho-op, ho-op”, co brzmiało jak wycie szatanów, postawili ją na nogi, odrywając od jej biustu ręce

Bóg Tak Chciał. My zaś wzięliśmy rozpląszonego jak skóra wilka K. za ręce i nogi, i zatargaliśmy na strych, gdzie mieściła się nasza „izba chorych”, i rzuciliśmy go na twarde łóżko, aby spokojnie albo umarł, jak to się często działo z innymi chorymi, albo wrócił do sił, co rzadko się tam zdarzało.

A w jadalni rozpętało się piekło.

Krzyczała mateczka, że chcieliśmy ją zamordować, do czego nie doszło tylko dzięki Bóg Tak Chciał, który stanął w jej obronie. Darł się Kozłowski, że mu siekierkę skradli i szypę połamali, przez co nie ma czym „wągła” nosić.

Darła się Gębata, że taką smaczną zupę porozlewano. Jęczała pani Gałuszyńska, że inne „dzecy” Bóga chwala, a my tylko gniew jego budzimy. Piszczały Anna i Mena, nasze nadworne modystki.

W końcu doszli do niepodważalnego wniosku:

—K. Konstanty jest parszywą owcą.

Słuszna Racja powiedział po wyjściu mateczki i jej satelitów :

—Już ja się postaram, żeby K. diabli wzięli.

Tego wieczoru generalna próba „Konia Generała” nie odbyła się. Rumak bojowy, Władzio P., miał sparzoną łysinę, więc zarówno, on, jak i jeździec Kazio S., zwany „Szablastym” z powodu krzywych nóg, przysięgli również wendetę K., tworząc ze Słuszną Racją koalicję, z którą nawet arystokracja ustępowa liczyła się, nie mówiąc o „szczeniakach” i „gówniarzach”.

Trzeba uczciwie przyznać, że K. Konstanty nie był lubiany. Wprawdzie o naszą sympatię specjalnie nie zabiegał, ale w środowisku takim jak nasze na ogół dzieci zrywają się ze sobą.

Po tym niefortunnym zdarzeniu zaczęliśmy jeszcze bardziej od niego stronić i dokuczać mu, co on znosił z istic napoleońskim spokojem. Na dobitkę złego, w rok później, nabawił się gdzieś jakiejś brzydkiej choroby skórnej. Objawiała się ona w postaci czerwonej, ropiejącej wysypki na

twarzy, pojawiającej się pod koniec wiosny i znikającej po sianokosach. To nieszczęście uczyniło zeń odludka, a nas ostatecznie zniechęciło do niego.

Nawet Tadzio R. zawołania „Szczył”, gdyż mimo osiemnastej wiosny życia co noc zlewał się w łóżku i śmierdział moczem na kilometr, uważał siebie za wyżej stojącego w hierarchii internatu niż K.

A K. codziennie po odrobieniu obowiązkowych lekcji zamykał się w komórce pod schodami i do kolacji nie pokazywał się nam na oczy. Byliśmy cholernie ciekawi, co on tam robi, ale honor nie pozwalał nam pytać go o to. Pierwszy, co się „skalał”, jak dowiedzieliśmy się potem, był Jan Aleksandrowicz, gdyż nie tylko zapytał K., dlaczego się

tam zamyka, ale w tajemnicy przed nami zaczął mu w pewnych dniach asystować.

Drugim skalanym byłem ja. A stało się to w dość dziwnych okolicznościach. Pod koniec maja na placu nie opodal internatu rozbili obóz Cyganie. Nie był to zbyt duży obóz. Może trzy, cztery wozy. Wśród nich kręciła się kupa Cyganiątek, ale trafiały się i podrastające, ładne Cyganecki. Same oczy nasze do nich leciały.

Nasze „szczeniaki” zaraz nawiązały kontakty towarzyskie z Cyganiątkami, a arystokracja ustępowa zaczęła umizgiwać się do Cyganecek. W sobotę, kiedy wracałem ze szkoły, a nie spieszyłem się, gdyż do obiadu było jeszcze sporo czasu, podszedłem do wozów i natknąłem się na starą Cyganę i, o dziwo, K. stał przed tą staruchą, przestępując z nogi na nogę, skrzętnie chowając ręce za siebie. Ona zaś usilnie namawiała go, by dał sobie powróżyć, przyrzekając mu istne cuda, jakie zapewne dojrzy na jego dłoniach:

—Nie bój się, młody panie! Cyganka wszystko ci powie. Powie, co było, co jest i co będzie. Nie bój się.

—No, nie bój się, Napoleonie — przyszedłem w sukurs Cygance. — Daj sobie powróżyć.

—To ty daj sobie powróżyć — on na to zniecierpliwiony.

—Ja w takie bzdury nie wierzę.

—Nie mam pieniędzy — ja na to.

—Pokaż rękę — Cyganka podeszła do mnie. — Wiem, że nie macie pieniędzy.

Wzięła moją prawą rękę w swoje dłonie i długo ją oglądała i z jednej, i z drugiej strony. Puściła ją, popatrzyła na mnie dość dziwnie i powiedziała:

—Będiesz wszędzie pierwszy. I nikt ci wróżyć nie będzie.

Mówiąc to schwyciła K. za rękę i mimo że usiłował wyzwolić się z uścisku, nie udało mu się to. A ona po paru minutach, bez specjalnego wpatrywania się w jego rękę, jak to czyniła u mnie, powiedziała:

—Dziwny twój los, młody panie. Byłeś kimś innym i jesteś innym. Będiesz tam, gdzie słońce świeci pół roku i nie grzeje. Będiesz tam, gdzie tylko mgła i chłód panują. Będiesz

tam, gdzie słońce pali na śmierć. I cel wysoki osiągniesz i bardzo nisko upadniesz. Dziwny twój los.

K., przerażony, wyrwał rękę i zaczął uciekać. Ja popędziłem za nim. Ale w mej głowie kotłowało się radośnie:

—Będę wszędzie pierwszy.

W niecały miesiąc później, po tak pięknej przepowiedni, że będę „wszędzie pierwszy”, z głębokim bólem przekonałem się, iż we wróżby Cyganek wierzyć nie należy. Wyrzucono mnie ze Szkoły Budowy Maszyn. A kiedy uzasadniano mi przyczynę usunięcia ze szkoły, sam dyrektor Herzberg raczył powiedzieć:

—Jesteś pierwszym uczniem wyrzuconym z naszej szkoły. Jesteś pierwszy, który na świadectwie rocznym nagromadził aż sześć dwój i więcej cię widzieć u nas nie chcę.

Od tego czasu stale przekonywałem się, że jestem pierwszy, ale nie od czoła pochodu.

Przy obiedzie Konstanty K. usiadł obok mnie, czego przedtem nigdy nie czynił. A gdyśmy z wielkim apetytem jedli brukiew na gęsto, on, połykając to świństwo, powiedział cicho do mnie:

—Przestraszyła mnie ta Cyganka. Nie wierzę we wróżby, ale dlaczego ona wciąż powtarzała „dziwny twój los”?

—O właśnie — ja na to. — I co ona myślała mówiąc: „byłeś kimś innym i jesteś inny”? Czy rozumiesz coś z tego? Kim byłeś?

Konstanty K. poczerwieniał tak, że myślałem, iż mu krew nosem tryśnie.

—Cholera ją wie, co miała na myśli. Lepiej posłuchaj, co ci powiem. Codziennie pod tymi schodami uczę się angielskiego. Ucz się i ty ze mną. We dwójkę lepiej się opanowuje język. Konwersacja, rozumiesz?

—Rozumiem, ale nie mam ochoty na to. Ucz się z Aleksandrowiczem, to kujon.

—On? To przecież dureń. Przychodzi do mnie pod schody, ale nie na język angielski, a grać w szachy.

—Umiesz grać w szachy?

—Troszeczkę.

Konstanty K. skromnie opuścił oczy. Kpiliśmy z Konstantego K., że wciąż czyta i czyta. Mówiliśmy, że jest głupi i nie mu to czytanie nie pomoże. Że jest po prostu „Smutną Twarzą Napoleona”. Ale pojęcia nie mieliśmy, że umie grać w szachy i że uczy się angielskiego. Szachami u nas parął się Aleksandrowicz, ogrywając każdego z nas, ale żeby K.? Nie do wiary. Na pewno gra jak noga. Już go tam Aleksandrowicz musi tego bić. A niech głupi nie bierze się za to, czego nie potrafi.

Przezwisko „Smutna Twarz Napoleona” nadane mu przez Słoneczko, przyłgnęło do niego i znalazło ogólne uznanie.

A on nic, tylko chował się w wolnych chwilach pod schodami. Do naszego internatu przyjechał w 1929 r. z Brześcia nad Bugiem, a więc w tym samym roku, co i ja. W 1930 r. razem zdaliśmy egzamin do Szkoły Budowy Maszyn. Po roku wylano mnie z niej sromotnie, on zaś po czterech latach ukończył ją z wyróżnieniem. W międzyczasie, szykanowany i bojkotowany przez nas, dokonał czegoś takiego, że aż nam oczy zbieleły.

W 1932 r. miejscowy Klub Szachistów zorganizował turniej szachowy. Stawiło się na nim kilkunastu znanych

graczy z kraju, a wśród nich podobno mistrz Polski we własnej osobie. Kilku chłopaków, z Jankiem Aleksandrowiczem i Rutkowskim, uważanych przez nas za dobrych szachistów, udało się na ten mecz w roli kibiców. Był naturalnie i Słuszna Racja. Konstanty K. zgłosił również swój akces, ale wyśmieliśmy go. A Edzio Żemło, nasz „Apollo”, zagroził, że jeśli taka karykatura człowieka jak Konstanty K. zjawi się na turnieju, on popełni harakiry, ale nie na sobie, lecz na Smutnej Twarzy Napoleona.

Smutna Twarz Napoleona nie załamał się. Po prostu poszedł samopas. Gdyśmy tam przybyli, on już siedział w pierwszym rzędzie widzów między starostą panem N. a prezydentem miasta panem W., późniejszym teściem Edzia Żemły. Pan starosta N. był, jak wiedzieliśmy, dalekim krewnym D... Wołowej, do czego rzecz jasna się nie przyznawał. A na widok kuzyna zawsze odwracał się do niego tyłem,

udając, że coś ciekawego widzi za sobą.

Turniej miał odbyć się w sali gimnastycznej Szkoły Powszechnej im. Karola Marcinkowskiego, dość obszernej i na tę okoliczność pięknie udekorowanej. Goście honorowi i kibice siedzieli w wygodnych fotelach ustawionych na pewnym podwyższeniu wzdłuż przeciwległych ścian, skąd doskonale było widać każdego z graczy siedzącego przy stoliku na środku sali. Zawodników było dwudziestu czterech, wszyscy we frakach i śmiertelnie poważni. Na szachownicach ustawiono figury. Z naszych miejsc mogliśmy doskonale śledzić przebieg gry na każdej szachownicy.

O oznaczonej godzinie pan Alojzy Kowalski, dostojny rektor szkoły (tak kazał uczniom siebie tytułować), o przydomku „Apotymu”, wzniosłymi słowami wyraził swój zachwyt, że w jego szkole odbywa się tak szlachetna impreza. Mówiąc, wykrzywił się tak boleśnie, iż widzom zdawała się, że szczerze żałuje uczestniczenia w tej imprezie. Po kwadransie zakończył swoje wzniosłe przemówienie słowami:

— A potymu drodzy goście, drodzy zawodnicy i wy, kochane szkolniki, mam jeszcze wam do zapodania, że na ręce nasze wpłynął listek. — Pomachał nam przed oczami dużym arkuszem podaniowego papieru: — W listku tym nasz były szkolnik, Konstanty K., prosi, żeby go dopuścić do turnieju i przyrzeka, że nie zrobi wstydu dawnej szkole ani obecnej szkole i wszystkich zawodników pobije.

Pompatyczne słowa pana rektora zagłuszył huraganowy śmiech na sali. To ryczeli, klepiąc się po udach, kibice, a najgłośniej Słuszna Racja i Aleksandrowicz, który bił K. na głowę w rozgrywkach szachowych pod schodami internatu. Śmiech był tak zaraźliwy, że śmiał się nawet Konstanty K. Trząśł się brzuch dyrektora Szkoły Budowy Maszyn, pana Herzberga, obecnego opiekuna Smutnej Twarzy Napoleona.

Po rektorze Kowalskim zabrał głos dyrektor Herzberg, po nim jeszcze z dziesięć osób z Komitetu Organizacyjnego, a w końcu raczył przemówić sam mistrz Polski. Powiedział, że jego partnerzy zgadzają się na zmianę regulaminu i łącznie z

nim przyjmują wezwanie Konstantego K. Skłonił się przed Smutną Twarzą Napoleona. Ten wstał i dumnie wypiął brzuch. Nas zatkało.'

Smutna Twarz Napoleona był ubrany, podobnie jak i my, w strój przypominający nieco ubiór więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, a nieco kłownów cyrkowych; było to dzieło delikatnych rączek panny Anny i Meny. Dzieło, którego nie powstydzilyby się takie domy mody, jak... ale lepiej o tym nie mówić.

Gra była zażarta i trwała do rana. Obserwowaliśmy początkowo z pogardą, potem z podziwem, a w końcu z zazdrością, jak Smutna Twarz Napoleona z ręką założoną pod pachą chodzi od stolika do stolika — aż w końcu wszystkich zawodników położył na obie łopatki. Oszczędził tylko mistrza Polski — remisując z nim.

Mistrz Polski ucałował Smutną Twarz Napoleona w oba policzki i powiedział:

— Jest to fenomen. Kto wie, czy kiedyś nie będziemy

mówili o naszym młodym partnerze: „znany geniusz matematyczny”. Jestem naprawdę zaszczycony, że los pozwolił mi zremisować z tym chłopcem, gdyż, co tu mówić, tylko cudem nie przegrałem tej partii.

Po nim zaczęli go ścisnąć pozostali gracze, rektor Kowalski i dyrektor Herzberg, starosta i prezydent miasta. Tylko my patrzyliśmy na bohatera wilkiem.

Wracaliśmy pełni jadu. Jego tryumf uznaliśmy za osobistą naszą zniewagę. Za policzek. Takie coś...

A gdyśmy stanęli na placu 23 Stycznia, Jasio Aleksandrowicz, plując z wściekłości, powiedział:

—To są pataluchy. Wszyscy jesteście świadkami—zwrócił się do nas — że każdą partię Smutna Twarz Napoleona przegrywał ze mną. Dawałem mu mata, zanim zdążył przesunąć czwartym pionkiem.

Smutna Twarz Napoleona uśmiechnął się ironicznie i powiedział:

—Jesteś pierdziel, nie gracz w szachy. Przegrywałem, gdyż była taka moja strategia. Przegrać z takim jolopem

jak ty, to nie lada sztuka. A ja jej dokazałem. Mogłem cię ogrywać na wszystkie sposoby, ale co by to mi dało? Kto zechciałby wtedy ze mną grać?

Aleksandrowicz zacisnął pięści i chciał rzucić się na Smutną Twarz Napoleona, ale ten błyskawicznie wyciągnął siekierkę zza pasa i stanął w postawie bojowej. Jasio stanął jak wryty. Słuszna Racja na widok siekierki wrzasnął tak głośno, że aż w pobliskich domach szyby zdrząły i kilka ciekawych głów wyjrzało z okien:

—Ty złodzieju! Oddaj moją siekierkę, bo ci...

—To ty jesteś złodziejem. Skradłeś ją Kozłowskiemu. Na ostatnim balu w gimnazjum w czasie tańca wypadła ci z nogawicy spodni. Nie umiałeś jej „uszanować”.

—Oddaj, złodzieju! — darł się Słuszna Racja.

Smutna Twarz Napoleona podniósł tryumfalnie siekierkę i patrząc na nas powiedział dobitnie:

—K. nie kradnie. K. albo konfiskuje, albo rekwiruje, albo zabiera jako kontrybucję. Zapamiętajcie to sobie na zawsze, małpie syny.

Kiedy następnego dnia przy obiedzie zapytałem Smutną Twarz Napoleona, jak to się stało, że zremisował z mistrzem Polski, zamiast go pobić, popatrzył na mnie jak na durnia i powiedział: — Tego mistrza mogłem pobić w czterech posunięciach.

—To dlaczego tego nie uczyniłeś?

—A kto wtedy ucałowałby mnie w oba policzki? Może D... Wołowa — wskazał na Władzia zjadającego żarłocznie grochówkę, albowiem była to środa. — Kto nazwałby „fenomenem i geniuszem matematycznym”? No, zastanów się?

Rzeczywiście, kto? Słuszna Racja, Szczył czy Pierdziel? Żaden z nich i nikt z nas.

Ten tryumf na dobre K. nie wyszedł. Ale on był niepoprawny. Uczył się angielskiego, opanował niemiecki, kuł francuski, stale chodził z jakimś słownikiem pod pachą i z siekierką za pasem. Kiedyś powiedział mi, że w biografii Napoleona znalazł wzmiankę, że ten wielki człowiek też chodził z toporkiem.

Może z czasem dałoby się wszystko naprawić i Smutna Twarz Napoleona byłby nam podobny, stałby z nami w kolejce w ustępie na sztacha, chodziłby kraść jabłka w pobliskich sadach, ale on, zamiast nas zjednać, zadał nam drugi, ale tak bolesny cios, że przysięgliśmy czuć doń nienawiść dozgonną.

W 1933 r., a więc na rok przed moim usamodzielnieniem się, Zalas junior, syn właściciela największego sklepu obuwniczego, zastępując urlopowanego ekspedienta, sprzedał na lewo trzy pary butów. Uzyskaną przy tej transakcji kwotę przeznaczył na wzniosły cel — raut, jaki miał się odbyć w miejscowym „Dworze Artusa”. Byliśmy z nim w dobrej komitywie, więc zaprosił nas na ten raut. Martwiło nas tylko to, że nie mieliśmy smokingów. W ubraniach uszytych przez Annę i Menę mogli nas wpuścić najwyżej do więzie-

nia przy ulicy Lipowej. Zaczęliśmy zatem biegać po mieście w poszukiwaniu kolegów dysponujących odpowiednimi ubraniami. Zajęło to nam tydzień.

Smutna Twarz Napoleona, mimo naszych sprzeciwów, został również na ów raut zaproszony. Pozostała nam tylko słodka nadzieja, że nie dostanie odpowiedniego ubrania. Ale on, o dziwo, pierwszy zdobył, na naszą niedolę — frak. Mnie ubrał kolega Rózička, Czech z pochodzenia. Tadzio Ramsztajn przyszedł w ubraniu największego eleganta Grudziądza, Houwalda, późniejszego więźnia Oświęcimia.

Tak nam się śpieszyło na ów raut, że nawet nie jedliśmy kolacji, rzecz niebywała w internacie. Pani Oktawia zezwoliła nam na powrót do internatu o godzinie 24.

Przybyliśmy tam jako pierwsi. Dano nam, dzięki protekcji Zalasa seniora, takie miejsce na sali, że mogliśmy oglądać gości, parkiet, orkiestrę, sami będąc niezbyt dostrzegalni. Ostatnim z naszej grupy był naturalnie Smutna Twarz Napoleona. Kiedy wszedł na salę, obsługa i właściciel „Dworu Artusa” zamarli ze zdziwienia.

Wkroczył, dumnie mierzając kroki. Brzuch miał wypięty, stąpał na palcach, a głowę niósł wysoko zadartą, świecąca jak słońce szerokim czołem. Prawą rękę trzymał po

napoleońsku. Frak leżał na nim jak worek.

Tadzio Ramsztajn na jego widok walnął się pięścią w kolaną i zawołał:

— Jak Boga kocham! Przecież to frak Fryca Modelsee'a, największego grubasa w mieście.

Miał rację Tadzio. To był frak Modelsee'a. Nasze kpiny na ten temat Smutna Twarz Napoleona przyjął ze stoicyzmem. Zajął miejsce przy stoliku, tuż obok mnie i zaczął studiować „Menu”. A czynił to jak rutynowany bywalec tego typu lokali. Trochę mu przeszkadzały zbyt długie rękawy fraka, ale nie przejmował się tym.

Goście schodzili się powoli. O 17 była już orkiestra, a o 18 towarzystwo bawiło się ochoczo. Nam po kilku herbatach i paru szklaneczkach wody sodowej przybywało

animuszu. Ale po samej wodzie sodowej człowiek nie szaleje. Muzyka była porywająca, tanga rzewne i romantyczne, więc niektórym z nas nogi zaczęły podrygiwać i przytupywać orkiestrze do taktu. A kiedy na salę wkroczył starszy, siwy pan w doskonałym fraku, prowadząc pod rękę z prawej strony dojrzałą niewiastę, a z lewej młodą, jak jutrzienka uroczą panienkę w błękitnej, długiej sukience, Tadziowi Ramsztajnowi oczy stanęły dęba, a nozdrza zadrżały demonicznie. A Bóg Tak Chciał aż jęknął z zachwytu. Żemło powtarzał tylko: „Wody, wody, bo się spalę”. Wszyscy oniemieliśmy z zachwytu nad jej urodą. I zrobiło się nam ciepło przy sercu. I zapragnęliśmy ruszyć w tany, naturalnie tuląc w swych ramionach ją, piękną, ją, piękną, ją, boską. Och...

Tadzio łyknął wody sodowej i powiedział dramatycznym szeptem:

— Szablasy pójdzie pierwszy.

A do Szablatego z groźnym błyskiem w oczach :

— Tylko uważaj, koślonie, żebyś nam wstydu nie przyniósł.

Szablasy dumnie podniósł głowę.

— Spokojna głowa. Jak na nią spojrzę — mucha nie siada. Wy tylko patrzcie, podziwiajcie i uczcie się, jak pod-

rywać piękne dziewczęta. Trzymajcie kciuki. Szafa gra.

Tak, wybór Tadzia był słuszny. Szablasy to klasa. Nawet Edzio Żemło, Apollem zwany, nie dorównywał mu urodą. Nogi miał wprawdzie krzywe jak szable tureckie, ale za to nosił na nich miedziane bransoletki, które delikatnym pobrząkiem zwracały nań uwagę wszystkich gimnazystek, szczególnie tych z czwartej klasy Gimnazjum Religijno-Gimnastycznego, które na jego widok siusiały w majtki. Oczy Szablasy miał niebieskie jak turkusy, włosy złociste jak dojrzewająca pszenica na Sandomierszczyźnie, kręcone niczym u baranka zwanego karakułem. Bokobrody, zaczął je hodować na wzór księcia Pepi, miał siwe, wąsik niewielki, rudy, a broda? O, ta broda. Była czarna jak krucze pióra w zimie. Jednym słowem wyglądał tak, jakby jego mamusia zgrzeszyła naraz z kilkoma różnej maści tatusiami.

Zaczęli grać „Titina, o, Titina”. Szablasy wstał i ruszył na podbój serca uroczej panienki. Widzieliśmy, jak uklonił się nisko przed starszą panią, potem przed starszym panem, a w końcu schylił się przed panienką. Zamarliśmy w oczekiwaniu. Atoli panienka pokręciła odmownie głową i oszłomiony koszem Szablasy, potrącając tańczące pary, zmierzzał ku nam. Był błady, jakby się urwał z szubienicy.

—Ty koślonie — zgrzytał zębami Tadzio — kłaniałeś się jak furman przed dziedzicem.

Szablasy przyjął zniewagę w pokornym milczeniu. Usiadł i łapczywie pił wodę sodową.

—Następny do tańca pójdzie — tu Tadzio zawiesił głos i spojrzął krytycznie po nas; a wtedy Głuchowski, zwany „Gorylem”, burknął grubym głosem:

—Ja.

—Ty? — nas aż zatkało, a Tadzio syknął:

—Idź wróble straszyc, gorylu. Chcesz, żeby umarła ze strachu? Pójdzie „Kochany Ja i Pan Dziedzic” — wskazał na Jurka S., który uśmiechnął się z wdziękiem, naśladując księcia Czetwertyńskiego, i wstał, raźnie ruszając do boju. Zagrali „Ramonę”. Jurek wrócił czerwony na twarzy jak rak. Usiadł osowiały. A po nim jak na stracenie szli inni

i wracali z niczym. Wtedy Tadzio powiedział, że jesteście pataluchy. Poszedł i wrócił wściekły.

—Kukła zatrącona. Ja jej pokażę. Ja jej dam „ssory”.

Wypił całą butelkę wody sodowej. A nam jakby kto miodem serca posmarował.

—A więc nie tylko na nas, ale na ciebie również ona „ssory”. I kto by pomyślał. Niby piękna, a tak ordynarnie się wyraża.

Zagrali „Skrwawione serce”. Melodia w sam raz pasowała do naszego nastroju. Siedzieliśmy osowiali, ale nie wszyscy. Smutna Twarz Napoleona wyprostował się, wstał, podciągnął poły fraka i jako ostatni skierował się ku stolikowi, przy którym rezydowała ta okrutna pannica. Szedł jak niedźwiedź, przechylając się z boku na bok, ale szedł wytrwale. Wyciągnęliśmy szyję. Czekaliśmy na sromotny powrót K., kto wie, czy nie bardziej hańbiący od naszego?

— Ona go tak „zassory”, że będzie cuchnął na kilometr — powiedział Szablasty, patrząc na ukłony K. Ukłony były tak niezdarne, że aż nam ze złości jelita się skręcały. Ale o dziwo, widzieliśmy, jak na twarzach znudzonej i zmęczonej naszym natręctwem trójki pojawia się ożywienie i sympatyczny uśmiech. A potem, niech nas kule biją, uroczą panią, która nas wszystkich tak szpetnie odprawiła, wstała od stolika, wzięła Konstantego K. pod rękę i poszła z nim na parkiet. A Smutna Twarz Napoleona, z którym nikt nie chciał tańczyć na naszych wieczorkach kawalerskich w charakterze panny, poprowadził ją lekko i płynnie w tany.

Siedzieliśmy nad wodą sodową i z zawiścią oglądaliśmy tryumf Smutnej Twarzy Napoleona, który został przez ową trójkę wchłonięty i bawił ich rozmową, nie gardząc tańcem.

O dwudziestej trzeciej, przed opuszczeniem „Dworu Artusa”, Zalas junior dowiedział się, kim są ci z tej trójki. A my, gdy nam o tym powiedział, poczuliśmy się całkowicie zdruzgotani. Był to bowiem we własnej osobie Jego Ekscylencja Ambasador Króla Wielkiej Brytanii z żoną i córką.

Zerwaliśmy ze Smutną Twarzą Napoleona zupełnie. On

zaś zdradził, że podchodząc do nich, przedstawił się po angielsku, gdyż ze słów, jakie Tadzio wymienił, doszedł do wniosku, że to Anglicy — że jest arystokratą polskim i pochodzi z pierwszej linii rodu Kościuszki, bohatera dwóch kontynentów, więc ci przyjęli go z otwartymi ramionami.

Gdyśmy opuszczali „Dwór Artusa”, solista śpiewał w pięknym języku Słowackiego:

„Kogo nasza myłuszcz obchodziiii?
Tylko ciebiiii i miiii,
Komu nasza myłuszcz zaszkodziiii?
Tylko tobii i mii”

11

Często zadają mi pytania, czy wierzę w sny i czy umiem wyjaśniać ich symbolikę. Daję odpowiedź wymijającą. Znam kogoś, kto, nie w stylu Freuda, stara się nadać objaśnianiu snów rangę dyscypliny naukowej. Od lat pisze wielkie dzieło na ten temat. I od lat bez sennika egipskiego, nie podejmuje się żadnej poważnej sprawy. A jest wybitnym prawnikiem.

Biblijny Józef ze snu faraona o siedmiu krowach tłustych i siedmiu chudych wyciągnął tyle korzyści, że dó dziś uchodzi za geniusza w interpretacji snów. Ja w jego ślady nie usiłowałem iść. Tym niemniej i ja swego czasu zasłynąłem w tej dziedzinie.

Władzio „Słońce”, przez niektórych zwany pogardliwie „Kielbaska”, w czasie wycieczki do Torunia poznał tam uroczą harcerkę, jak twierdził, o słodkim imieniu Irma. Rozstając się, a znajomość ich trwała najwyżej 20 minut, przyrzekli sobie, że na wieki wieków będą sobie wierni. Wymienili adresy. Kielbaska przedstawił się jako hrabia z kresów. Przezornie podał adres szkoły rolniczej, w której zaliczał się do bezrolnych hreczkosiejów. Jak przystało na arystokratę i gentlemana pierwszy złożył jej na 10 stronach podaniowego papieru w kratkę oświadczyzny oraz wyśpiewał

swój zachwyty nad jej urodą. Wiem o tym dobrze, gdyż ja mu ten list pisałem, przelewając na papier wiele atramentu, łez serdecznych i westchnień głębokich. Najbardziej Kielbaskę wzruszyło zakończenie listu: „Jak ten księżyc pod niebiosem, tak ja związany z twoim losem. Jak on o niebie, tak ja o tobie, zapomnę w grobie”.

Odpowiedzi na ten list nie mógł się doczekać. Usychał z pragnienia, umierał z tęsknoty, a ja chudłem słuchając jego westchnień i rojeń miłosnych. Aż pewnego ranka Kielbaska, siedząc na łóżku w koszuli nocnej, która mu nawet pępka nie osłaniała, spojrział na mnie baranym wzrokiem i powiedział:—Miałem sen.

—Gdy Kielbaska śni, są to na pewno sny prorocze — wtrącił się Tadzio Ramsztajn siedzący po prawicy Władzia na swoim łożu. Był w podobnej, o ile nie krótszej koszuli nocnej i siedział w pozycji Buddy, świecąc nagim pępkiem i czymś jeszcze wstydlivszym.

—Nie przerywaj natchnionemu — skarciłem Tadzia, a do Kielbaski: — Co ci się śniło, wieszczu?

Kielbaska z zawstydzieniem podrapał się po nagiej, nieco różowawej, podobnej do tyłka prosięcia, czaszce.

—E...e... bo widzisz... Śniło mi się cielę...

Tadzio przechylił głowę niczym drozd i nastawił uszu, Wciągając spodnie na nagie pośladki zbliżali się do nas i inni. A spało nas w tej sypialni tylko... 60. Kielbaska przykrył się wstydliwie kocem.

—Cielę? Jakie cielę?

—Na pewno to, którego nie udało mu się wyciągnąć krowie spod ogona.

Jurek S., o przyzwisku „Juhas”, o co się bardzo sierzcił, powiedział to takim tonem, że Kielbaskę omal szlag nie trafił z irytacji. Sprawa cielęcia była piętą Achilleasa Kielbaski. O tym wszyscy wiedzieli. Swego czasu, podobnie jak i ja, musiał on przez trzy dni pełnić dyżur w majątku szkolnym Tarpno. Tak się niefortunnie złożyło, że na ostatni dzień jego dyżuru los przeznaczył cielęciu ujrzeć światło dzienne. Kiedy krowa zaczęła się cieleć profesor

Olszewski, specjalista od hodowli, zabrał do obory Kielbaskę, żeby asystował przy tym wiekopomnym fakcie. Poród był bardzo ciężki. W rezultacie oborowy wyniósł najpierw z obory nieprzytomnego profesora, a w kilka minut również jego wzorowego ucznia. Na samym końcu dorodnego byczka.

Kiedy inż. Baranowski, dyrektor naszej szkoły, zapytał oborowego, co się tam działo w tej oborze i dlaczego krowa nie mogła się ocieścić, ten łobuz oborowy powiedział:

—Panie dyrektorze, jak ten byczek wyjrzał na oborę, to zobaczył profesora Olszewskiego jednym okiem, a Kielbaskę dojrzał drugim. Zamknął oczy i cofnął się do łona matki. Tak dwa razy mi zrobił. Dopiero jak zemdleli obaj i wyniosłem - ich z obory, byczek zgodził się wyjść. Gdy go wyciągałem, powiedział mi, że widok tych dwóch twarzy był tak straszny, że za żadne skarby nie chciałby żyć na takim świecie i oglądać cosik takiego.

—Te, Juhas — powiedział Tadzio — ty lepiej pomyśl

o tym „Dziedzicu”, a Kielbasce daj spokój. Ten byczek już dawno nie żyje. A to cielę ze snu może być naprawdę prorocze. Jakie to było cielę? Mów śmiało. Ja cię obronię.

—Rude — szepnęła zawstydzony Kielbaska. — Miało zadarty ogon i wesoło biegało po łące.

—A ja myślałem, że gapiło się na zielone wrota — wtrącił się Bóg Tak Chciał, ale myśmy go zaraz usadzili. Albowiem nie darzyliśmy go zbyt wielką sympatią za to, że on aż nadmierną sympatią darzył Oktawię Matuszewską, istotę „eteryczną”, wagi ponad 115 kg, naszą „ukochaną” matczkę.

—Hm — mruzczał Tadzio — cielę. Rude. Z zadartym ogonem. Co to może oznaczać? Hej, Mustafa, co na to powiesz?

—Sądzę — powiedziałem, udając wielkie zamyślenie — że w poniedziałek Kielbaska dostanie list miłosny od Irmy.

Słyszac to, Kielbaska wrzasnęła wściekle :

—Ty tatarska d..., jak cię zdiele po tej jadaczce, to...

—Spokojnie, Kielbasko, spokojnie — gasił jego święty gniew Tadzio. — Tatarzy, jako lud pierwotny i ciemny,

posiadają najwięcej jasnowidzów. Poczekajmy do jutra. Jeśli jutro nie będzie listu od Army, komisyjnie damy mu koca.

—Koca, i to jakiego! — zawołali pozostali.

Miałem bardzo niespokojną niedzielę. Bałem się koca.

1przysięgam sobie, że niezależnie od tego, czy się wymigam od koca, czy go dostanę, snów więcej nie będę tłumaczył.

Nigdy w życiu. I słowa dotrzymałem. Koca nie dostałem. W poniedziałek, na trzeciej lekcji, nasz wychowawca, pan profesor Paderewski, wszedł do klasy z listem w rękę.

—Proszę ja was — powiedział, drapiąc się swoim zwyczajem po łysinie — mam tu list z Torunia. Nadawcą jest niejaka Irma G. Ale adresata nikt w naszej szkole nie zna. Chodzi o jakiegoś „jaśnie pana hrabiego Władysława Kielbaskę”. Przejrzałem wszystkie nasze roczniki od zarania szkoły i nie znalazłem ucznia o takim tytule.

—To do mnie, panie profesorze — Kielbaska stał dumnie wyprostowany.

—Do ciebie? O Boże! — wykrzyknął profesor. — Hrabia, o Jezu...

Regularnie przez pół roku, co dziesięć dni, Kielbasce śniło się rude ciele z zadartym ogonem i co dziesięć dni otrzymywał list miłosny od słodkiej Army. A potem raptem przyśnił mu się baran i korespondencja urwała się.

Tego snu nie tłumaczyłem. Był tak jasny, że nawet Smutna Twarz Napoleona go zrozumiał.

A jednak sny prorocze istnieją.

W 1941 r. w lipcu, znany mi dobrze, wybitnie prozaiczny, osobnik powiedział mi o dziwnym śnie, jaki go nawiedził. Sen był bardzo krótki. Jego najmłodszy syn, Jerzy, szedł przed siebie niosąc na plecach wielki drewniany krzyż. Taki, jaki ogląda się na drodze pasyjnej. O trzy najwyżej kroki za Jurkiem szedł starszy syn Edward, również dźwigając podobny krzyż. A o dziesięć kroków za nim, szedł on, ojciec, też z krzyżem na ramieniu.

W miesiąc później Jurek utonął w Wiśle. W 1944 r. Edward padł w Powstaniu, a w dziesięć lat po nim, jako ostatni, zmarł ojciec. Wszyscy spoczywają w grobowcu

rodzinnym na Bródnie. Żona jego i córki żyją do dziś.

Na wiosnę 1939 r. usłyszałem o śnie, w którym krzyż odgrywał dominującą rolę. Śniąca ujrzała go nad Warszawą. Ramionami obejmował całe miasto. Gorzał jak łuna.

W blaskach tego gorejącego krzyża tysiące ludzi, z pochylonymi ku ziemi głowami, powoli, krok za krokiem, opuszczało miasto zasnuwane dymami. Zewsząd wiała groza.

12

W maju 1934 r. ruszyłem w Polskę — po pracę. Chodziłem piechotą, jeździłem pociągami na gapę, a niekiedy nawet udawało mi się jechać furmanką. W ten sposób dotarłem do Brześcia nad Bugiem, Kowla, Łucka, Równego. A potem powędrowałem dalej na południe. Niedaleko Bródów k. Radziwiłłowa spotkałem Władzia o pięknym przezwisku Słoneczko, który chodził ze mną do tej samej budy. Ukończył ją bez wyróżnienia, ja też, a teraz, w drodze łaski, ubijał kamienie na szosie. Chwalił sobie tę pracę, mimo złośliwości współtowarzyszy co kpili z jego uczoności.

W końcu oparłem się o miasteczko K., położone tuż nad granicą. Otrzymałem pracę i mogłem zarobić dziennie złotówkę. Praca była nieskomplikowana, ale brudna, mokra i bardzo ciężka. Obsługiwałem błotniarki przy wyrobie kaoliny. Pomagał mi w tym dzielnie chuderlawy Żyd, nauczyciel z zawodu. Człowiek, jak się przekonałem, wyjątkowo szlachetny.

Miasteczko K. zdobyło ongiś sławę dzięki fajansowi. Gdy tam przybyłem, z zachwytem ujrzałem bajoro na środku rynku i tłuszciki świnki zażywające w nim kąpiele.

Pracowałem tam prawie dwa miesiące, aż, „na wieki zhańbiony”, uciekłem gdzie pieprz rośnie. Tego „hańbiącego czynu” dopuściłem się w piękny, słoneczny dzień sierpniowy. Tego dnia od rana, stękając z wysiłku do wtóru z niepokaźnym Żydem, dźwigaliśmy te cholerne ramy z kaoliną, aż nam w krzyżach trzeszczało, do czego w parę lat

później Rydz Śmigły zachęcał cały naród, a pot nam oczy! zalewał, gdy do hali wpadł jakiś chłoporobotnik z wrzaskiem, że jaśnie pan hrabia Potocki wraz z jaśnie panią hrabiną raczyli przyjechać do K. i są już na terenie cukrowni.

Powstało zamieszanie. Przerwaliśmy robotę. Któryś ze starszych wiekiem robotników kazał nam zamknąć mordy i powiedział:

—Jak każe zwyczaj, pana hrabiego należy powitać Chlebem i solą. A jaśnie pani musowo dać kwiaty.

—A skąd weźmiemy ten chleb i sól?

Podszedł do nas Zygmunt O., syn chemika, pełniący przy nas funkcję brygadzysty.

—Chleb, sól i kwiaty dostaniemy od mojej matki. Trzeba, aby któryś z was tam poszedł. To niedaleko.

—On pójdzie — stary robotnik wskazał na mnie palcem. — Jest uczony i umie mówić po polsku.

Pouczyli mnie, gdzie mam iść po ten chleb i sól, więc bez namysłu pobiegłem. Było to rzeczywiście niedaleko. Pani O. wydobyła z kredensu piękny porcelanowy półmisek, wsypała nań pół garstki soli, położyła bochenek białego chleba i dała mi to do prawej ręki. Do lewej panna Zofia O. wetknęła mi bukiet kwiatów.

Zadowolony z siebie kroczyłem jak indor. Byłem ubrany nędznie, cały utyłany błotem. Na głowie miałem malowniczą oprychówkę. Ponieważ półmisek z chlebem i solą zaczął mi ciążyć, kwiaty wetknąłem pod pachę i niosłem go oburącz. W momencie, gdy przekroczył próg naszej hali, na progu tym po przeciwnej stronie stanęli dostojni goście w asyście dyrektora cukrowni, pana Jakackiego. Stanęliśmy twarzą w twarz. Ja zbaraniałem i nie wiedziałem, co mam dalej począć. Obie ręce miałem zajęte, na głowie czapkę, a w głowie raczej siano. Wtedy pani Potocka z uśmiechem wyjęła mi kwiaty spod pachy i ukryła w nich twarz, a pan Potocki wziął półmisek z chlebem i solą. Miałem ręce wolne. Pani Potocka podała mi rękę, a ja tę rękę ucałowałem. Potem uścisnął mi rękę pan Potocki. Dopiero wtedy przypomniałem sobie o czapce na głowie, ale zanim ją zdążyłem

zdjąć, oni już odeszli. Zostałem w czapce. Goście oddalali się coraz bardziej, ale mnie otaczał mur złych twarzy i zaciśniętych pięści.

—To cóż ty, taka twoja... To tak cię w szkołach uczono witać jaśnie państwo? Rękę pani całujesz? A pan to co, pies?

—I w czapce stał przed nim! — wściekle krzyczał inny.

—A jak miałem do cholery stać? Obie ręce miałem zajęte.

—Baran głupi. Mój dziad wiedział, jak to zrobić.

—A jak on to zrobił? — posypały się liczne pytania.

—Kiedy do Sapożyna przyjechał książę Sapieha, a mój dziad miał obie ręce zajęte i nie mógł zdjąć czapki, to machnął głową do tyłu i czapka sama z głowy zleciała.

—Ho, ho, mądry dziad.

—I księcia w rękę pocałował. A ty?

—Hańba, hańba. Won z nim.

Od tego dnia zostałem wyklęty z ich grona jako na wieki zhańbiony. Co gorsza zaczęli mnie szykanować. Jedyną życzliwą mi duszą był ów niepozorny, pracowity Żyd. Myślę, że gdyby nie on, spadający niby przypadkiem ciężki młot kowalski z górnej kondygnacji cukrowni byłby mnie uziemił. Żyd w ostatnim momencie pociągnął mnie do tyłu i młot spadł z hukiem obok mnie zamiaął na moją głowę.

W końcu sierpnia wziąłem wypłatę. Suma była niebagatelna: 26 zł. Za 15 zł kupiłem najlichsze, ale na miarę dobrane, ubranie i z resztą kapitału wyruszyłem w głąb kraju — do Warszawy.

Na pożegnanie pozwoliłem sobie na małą złośliwość. Podszedłem do wnuka, co to się chwalił mądrym dziadem, i zapytałem:

—Czy wasz dziad wiedział, co jest najsmaczniejsze?

—Nie mówił — odrzekł ten nieco zaskoczony. Inni pilnie tej wymiany zdań słuchali.

—To powiedzcie swoim wnukom, że bułka z masłem

—A ty ją jadłeś? — wykrzyknął urażony.

—Ja nie. Ale mój dziad widział, jak książę Radziwiłł ją jadł.

Jeszcze długo słyszałem za sobą ryki oburzenia, ale nie cieszyło mnie to zbyt.

To był pomysł Wacka.

Wacek był studentem ostatniego roku Akademii Sztuk Pięknych. Klepał biedę, jak wielu studentów. Mieszkał kątem u niejakich pp. B. przy ul. Fabrycznej. Niekiedy wpadałem do niego w ciągu dnia, żeby po prostu przespać się na jego łóżku, gdyż całymi nocami włóczyłem się po ulicach Warszawy jako członek mnogiej rzeszy bezdomnych i bezrobotnych.

Jako malarz Wacek dopatrył się we mnie podobieństwa do Kara Mustafy, a że dziwnym zbiegiem okoliczności nazywałem się Akhara Mustafa, postanowił ten zbieg okoliczności wykorzystać. Pomysł był zwariowany. Gdy o tym się dowiedziałem, myślałem, że padnę trupem.

—Nie bądź większym idiotą, niż jesteś. Twój wygląd zewnętrzny w nocy przerazi każdego uczciwego przechodnia, ale przy odpowiedniej scenerii może ci dać powodzenie i sławę. Czy ty, jołopie, rozumiesz, sławę i to przez duże S.

Rozumiałem, ale wstydyłem się i piekielnie bałem się kompromitacji.

—Czym ryzykujesz? Nie potrafisz? Najwyżej potraktują to jako wesołą atrakcję. Zgoda?

Zgodziłem się. 29 listopada przebrany w strój władców Wschodu, z wielkim kołpakiem na głowie, siedziałem pod palmą w sali balowej na Wybrzeżu Kościuszkowskim, oparty łokciem o stół stojący przede mną; udawałem wielce zamysłonego. Nade mną z tyłu wisiał czarny transparent, na którym białymi literami, wielkimi tak, że można je było dojrzeć z kilometrowej co najmniej odległości, głoszone:

„Tu siedzi Wielki Mag i Czarodziej Akhara Mustafa, potomek Kary Mustafy, którego Sobieski pobił pod Wiedniem, i za 50 groszy powie ci, co miałeś, co masz i co mieć będziesz, tylko pokaż swoją dłoń”.

Ten napis, palma i mój malowniczy wygląd każdemu rzucały się w oczy. Ale początkowo goście czytali go, patrzyli na

mnie i śmiali się. Nikt nie odważył się podejść. Wstydziłem się, a może bali? Diabli wiedzą. Po godzinie siedzenia jak małpa pod palmą byłem zły, zdenerwowany i czułem się zhańbiony. Pomstowałem więc w duchu na Wacka. A potem przyszła klientka. Była niewielkiego wzrostu, blondynka, oczy miała niebieskie jak chabry. Rumiana była na buzi i ogromnie zawstydzona. Położyła na tacy 50 gr. Poprosiłem, by usiadła w foteliku obok. Usiadła. Wziąłem ją za prawą dłoń. Trzymałem parę minut. Miałem oczy przymknięte. A potem ni z tego, ni z owego powiedziałem :

—W szóstym roku życia pani zmarła matka.

Dziewczyna achnęła, wyrwała rękę i uciekła.

Otoczyła ją grupka koleżanek i kolegów. Do grupy dołączyło się parę osób starszych wiekiem. Patrzyłem na nich i czekałem z lękiem, co z tego wyniknie. Albowiem nie byłem pewny, czy to, co powiedziałem, jest prawdą. I nie wiedziałem, dlaczego to, a nie co innego jej powiedziałem.

A potem zaczęła ustawiać się kolejka do mego stolika. Padały na tacę 50-groszówki i coraz więcej dłoni oglądałem. Trwało to aż do białego rana. Słyszałem słowa: „Naprawdę jasnowidz”.

Ustaliłem z organizatorami balu, że połowę zarobku, jeśli taki osiągnę, przekażę na „Bratniaka”. Po zakończeniu ob-rachunku stwierdziłem, że tej nocy obsłużyłem 120 osób. Gdy zgłosiłem się do pokoju prezesa „Bratniaka”, zastałem tam sporą grupkę studentów. Przywitali mnie owacyjnie. A gdy chciałem się rozliczyć, wszyscy jednogłośnie zaprotestowali.

—Kolego — powiedział prezes—schowajcie te groszaki.

Zapracowaliście na nie solidnie. Szczerze mówiąc, to myśmy powinni jeszcze koledze dopłacić. Takiej atrakcji na żadnych andrzejkach jaszcz nie było.

—Jesteście wspaniałym psychologiem — powiedział któryś z młodych ludzi. — I kto wie, czy nie kimś więcej — dodał.

—Tak, wielu to twierdziło.

—Ale najpyszniejszy był ten wąsaty pułkownik artylerii.

Po odejściu od waszego stolika, otoczony znajomymi,

wciąż powtarzał, patrząc na własną dłoń: „Nu, dobrze. Byłem ranny w pierś. Nu, dwa razy żonaty, pal licha. Nu, ale gdzie on tu odczytał, że będę pod piramidami? Nu, gdzie? A jak będę, to boso? A dlaczego boso, nu?”

W 1945 r., w kilka miesięcy po wojnie, żona owego pułkownika odnalazła mnie. Powiedziała, że mąż zlecił jej odnaleźć mnie i powiedzieć mi, iż był w Egipcie. A kiedy znalazł się u stóp piramid, zsiadł z dromadera, zdjął obuwie i w skarpetkach wszedł do ich wnętrza. Gdy go zapytali, po co zdejmuję obuwie, odrzekł, że musi to uczynić, aby oddać hołd. „Faraonom?” — zapytano. „Nie — odpowiedział. — Magowi z Warszawy”.

29 listopad jest dziwnym dniem w moim życiu. Pierwszy raz odegrał decydującą rolę w 1934 r., po raz wtóry w dziesięć lat później. Można to nazwać przypadkiem. Można określić jako zbieg okoliczności.

Była godzina 16. Zatrzymałem obrabiarkę, żeby miotelką zmieść opilki żeliwne. Kiedy podniosłem miotelkę, ręka zwisła mi bezwładnie, a przed sobą ujrzałem salę balową. Zobaczyłem palmę, wielki napis „Mag i Czarodziej”, jakiś cień niewyraźny... Trwało to bardzo krótko-. A potem myśl: „dziesięć lat”. I znów myśl: „Jeśli naprawdę istnieją święci i pomagają nam? O Andrzej, wstaw się za mną”.

Myśl, jak powstała nagle, tak i nagle znikła. Zaczęłem normalnie czyścić maszynę. O 17 poczułem się źle. Zrobiło mi się zimno i pociemniało w oczach. Zameldowałem majstrowi, że źle się czuję. Majster zaprowadził mnie do punktu sanitarnego. Tam zmierzili mi temperaturę. Miałem 39,2 C. Zostawił mnie tam do końca zmiany, rzecz niebywała. Gdyśmy zbierali się do opuszczenia zmiany, majster poprosił naszego konwojenta, a był nim tego dnia niejaki Weber, rodem z Poznania, żeby mnie postarał się umieścić w szpitalu, jeśli taki istnieje na terenie obozu.

O godzinie 19 dnia 29 listopada 1944 r. znalazłem się na rewirze, pod opieką dra Alfreda Steinera.

—Doktorze — powiedział Weber, wprowadzając mnie do izby przyjęć — oddaję pod opiekę pana tego więźnia

i proszę o zaopiekowanie się nim troskliwie. Jest to bardzo dobry robotnik, więc powinien szybko zdrów na ciele i duchu wrócić do pracy. Dla zwycięstwa Führera.

Ryknęli obaj śmiechem. Stałem oszołomiony i wstrząsany gorączką. Dr Steiner obejrzał mnie pobieżnie, stojąc w przyzwoitej odległości ode mnie i powiedział:

—Brudny i zawszony. Na pewno gruźlica.

—Chyba gruźlica — na to Weber. — Izolujcie go jak najdłużej od zdrowych.

Znowu obaj ryknęli śmiechem.

„A więc Weber, podobnie jak Keller nie kocha «wodza»” — pomyślałem w duchu i zrobiło mi się różniej na sercu.

Zmierzono mi ponownie temperaturę: 39,7. Jak na moje możliwości, była to bardzo wysoka gorączka. Staję się niezdolny do normalnego działania już przy 37°C. Sanitariusz G. wziął kawałek glinianego mydła i brudną ścierkę imitującą ręcznik i zaprowadził mnie do umywalni. Pomógł mi umyć się. Gdy wróciłem „umyty”, dr Alfred ponownie spojrzął na mnie, zmrużył oczy, a potem zawołał:

—To ty wróżyłeś mi z ręki wtenczas w schronie?

—Nie wiem.

—On, doktorze, on. Ja go znam — wtrącił się sanitariusz.

—Powiedziałeś mi wtedy, że mam dwóch synów. Mam, jak Boga kocham, mam. Od dawna cię szukałem, ale nie

wiedziałem, jaki jest twój numer. Ale teraz to już mi nie przepadniesz. Będziesz tu siedział tak długo, jak długo nas Niemcy nie zamordują albo ich diabli nie wezmą. Weber cię stąd nie wygoni. Keller cię lubi. Gorzej z „Tygrysem”, ale i na niego znajdziemy sposób.

Następnego dnia przy rannym obchodzie sanitariusz zmierzył mi temperaturę. Miałem 36,6. Byłem zdrów. Ale ja już z rewiru nie wyszedłem aż do dnia ewakuacji nas z Frankfurtu nad Menem, tj. 13 marca 1945 r.

Przez cały ten okres udawałem beznadziejnie chorego na gruźlicę. Przeszedłem szczęśliwie dwie selekcje przeprowadzane przez lekarzy niemieckich. Za każdym razem dr Alfred wskazując na mnie mówił:

— Nadzwyczajny przypadek. Chciałbym tego pacjenta leczyć aż do zupełnego wyzdrowienia. — I, o dziwo, lekarze niemieccy, powierzchownie mnie opukiwając, kiwali poważnie głowami, coś tam zapisywali w notesach, zawile wyjaśniali Lendzianowi, a ja zostawałem dalej na rewirze.

Warunki tu były okropne, ale w porównaniu z schönungiem i pracą w Adler Werke wydawały mi się rajem. Karmino nas tak samd jak zdrowych, a mimo to umieraliśmy masowo. Większość chorych cierpiała na flegmonę, na gruźlicę płuc, biegunkę i zakażenie krwi.

Jedynym lekiem wewnętrznym była aspiryna, zewnętrznym — ichtiol. Zamiast gazy i bandaży używano papieru toaletowego i to bardzo oszczędnie.

Okna były zakratowane. Nie dawały się otworzyć. Zaduch panował okropny. Uryna, ropa i rozpadające się ciała. W kącie rewiru stały dwa kible, takie jakich używa się u nas na śmiecie. Rano były pełne. Co silniejsi, a niewielu takich było, musieli je wynosić do ubikacji. Jeśli po drodze, a odległość wynosiła około 80 m, została choć kropla wylana, tragarze dostawali tegie lanie.

W czasie nocnych alarmów, a było ich coraz więcej, tylko dr Alfred miał prawo zejść do schronu. Nas zamykano na klucz i pozostawiano na pastwę losu.

Codziennie po rannych przyjęciach dr Steiner wzywał mnie do siebie i prosił, bym mu stawił horoskop dnia. Przywykł tak do tego, że gdy zapadłem na biegunkę i leżałem bezsilny, klął jak szewc i czynił wszystko, żeby mnie z tego nieszczęścia wydobyć, i wydobył.

Jeśli horoskop dnia wypadł pomyślnie, doktor w nocy spał jak anioł nie reagując na alarmy. Ale jeśli wypadło, że dzień nie zapowiadał się pomyślnie, dr Alfred na pierwszy sygnał syreny alarmowej wiał z rewiru aż się kurzyło.

W połowie grudnia wywieziono od nas ponad 400 chorych do innych obozów zagłady, a w kilka dni później przybyła z Bucheńwaldu grupa więźniów składająca się ze 100 Niemców, 250 Rosjan i około 50 Żydów. Między tymi ostatnimi był lekarz dr Juliusz, rodem z Wiednia. Przemięły

i kulturalny człowiek. Bardzo szybko zaprzyjaźnił się z drem Alfredem. Niestety, zmarł na początku kwietnia 1945 r. po przebyciu pieszo trasy Frankfurt n.M.—Buchenwald. Ten sam los spotkał dra Józefa Koticia, Jugosłowianina. On właśnie udowodnił obu swoim kolegom, jaką siłę leczniczą posiada ichtiol.

Mieliśmy chorego na flegmonę nogi. Młody człowiek. Wzrostu ponad metr osiemdziesiąt. W pełni sił ważył około 90 kg. Flegmona zaczęła się od małej dziurki w łydce lewej nogi. Z dziurki tej nieustannie ciekła ropa. Zmieniła się ona wkrótce w duży otwór, który zaczął szybko rozrastać się i objął całą nogę. W kilka dni po przybyciu do nas dra Koticia na nodze tej nie było już ani odrobiny mięśni. Widzieliśmy kość, wzdłuż której przebiegały naczynia krwionośne, nerwy i ścięgna. Pacjent był tak wychudzony, że brałem go jak niemowlę na ręce i niosłem na opatrunek.

Któregoś poranka, gdy wniosłem pacjenta do izby przyjęć, zastałem tam siedzącego na taborecie starszego, siwego pana w takich samych pasiakach jak ja. Położyłem pacjenta na stole.

— Doktorze Koticia, oto pana pierwszy pacjent — dr Steiner wskazał na chorego. — Niech pan pokaże, co Jugosłowianin potrafi zrobić w takim przypadku?

Starszy pan wstał i podszedł do chorego. Długo, bardzo długo oglądał tę nieszczęsną nogę.

—Jakimi środkami możemy dysponować?

—Merde, ichtiol i papier higieniczny.

—To jest miód w porównaniu z tym, co miałem w innych obozach. Zacznę leczyć ichtiolem.

I leczył. Codziennie, a czasem nawet dwa razy dziennie przynosiłem chorego, a dr Koticia zmieniał mu opatrunek i przykładał nową porcję ichtiolu. Po miesiącu noga przestała gnoić się, kość i naczynia krwionośne pokryły się blizną, a pacjent zaczął powoli wstawać i oparty o mnie chodzić po rewirze.

Niestety, zmarł w marcu 1945 r. w Belsen-Bergen na tyfus brzuszny. Wiem o tym, bom sam go za tę nieszczęsną

nogę wyciągał z bloku i włókł do stosu trupów czekających przed barakiem na odtransportowanie do krematorium.

Nasz sanitariusz G. w zasadzie był dobrym człowiekiem. Tylko nieco narwany i bardzo niecierpliwy. Nie znosił jęku chorych. Klął ich za to na czym świat stoi i głośno im życzył rychłej śmierci. Kiedyś, pamiętam, a lubił mnie bardzo, zwróciłem się do niego z prośbą, by pozwolił dać dodatkowy kubek kawy gorączkującemu choremu, więc mi powiedział opryskliwie:

—Niech ta cholera własny mocz pije. Oni tylko chlają i chlają, a mnie „Tygrys” wali kijem za to, że zamiast do kibla szcżą na podłogę. Widzisz, co się dzieje?—pokażał palcem w kąt, gdzie stały te kible. Kible były pełne po brzegi, mimo że do rana mieliśmy jeszcze wiele, wiele godzin. Chorzy co chwila podchodzili tam i siusiali na beton. Wynieść kibli nie mogliśmy. Byliśmy, jak zwykle, zamknięci na klucz, albowiem był czas alarmu.

Bez zastanowienia się wypowiedziałem wtedy najbardziej prorocze słowa, jakie kiedykolwiek udało mi się w życiu powiedzieć:

—Panie sanitariuszu, przyjdzie wkrótce taki dzień, kiedy pan sam będzie pił swój mocz.

Pan G. zbladł. Czuję, że się przeraził.

—Ależ mój drogi — powiedział drżącym głosem — ja tylko żartowałem. Znasz mnie przecież. Daj mu tej cholernej kawy do wypęku.

W kilka tygodni później, a ściślej z 12 na 13 marca 1945 r. Frankfurt nad Menem przeżył silny nalot nocny. Rankiem 14 marca wygnali nas z rewiru i popędzili na stację kolejową. Wkrótce dołączyła do nas grupa chorych z schönungu, licząca ponad 300 osób. Załadowali nas po 60 do towarowego wagonu obficie wysypanego niegaszonym wapnem. SS-mani wrzucili do każdego wagonu po 15 bochenków chleba, po 3 kostki margaryny i po 1,5 kg salami. Wagony zostały zaplombowane. Przez 3 doby staliśmy na tej cholernej stacji, wyjąc ze zmęczenia, pragnienia i niemożności załatwienia własnej potrzeby. W końcu robiliśmy pod

siebie. W tym czasie w naszym wagonie zmarło 10 chorych. Usunęliśmy ich na koniec wagonu, układając trupy jeden na drugim.

Chleb, margarynę i salami zżarliśmy natychmiast, więc jak pod koniec trzeciej doby pociąg ruszył w nieznane, byliśmy niesamowicie głodni i pragnienie paliło nas okrutnie.

Czwartej doby na dworcu w Halle złapał nas nocny nalot. Piątej zaś, w szczerym polu, zaczęły nasz pociąg ostrzeliwać z karabinów maszynowych i działek pokładowych samoloty angielskie. Pociąg stał. Konwojenci leżeli zaryci nosami w rowie napełnionym błotem, tuż pod nasypem kolejowym. Kule, a raczej pociski z działek pokładowych, które później oglądałem tkwiące w jednym z naszych trupów, miały długość chyba z dziesięć centymetrów. W panice schowałem głowę pod trupy, a tyłek jak waltornię wystawiłem na ewentualne ciosy. Idiota. Później, kiedy nalot skończył się i gdy zobaczyłem te pociski, uprzytomniłem sobie własną głupotę. Dostać takim czymś w tyłek, to męczyć się godzinami, zanim przyjdzie skonać. Jak dostać, to dostać w łeb. Ale w strachu człowiek zachowuje się nierozsądnie.

Samoloty odleciały. Konwojenci szli wzdłuż wagonów i pytali, ile jest trupów. W naszym wagonie mieliśmy 18 zmarłych i 2 zabitych, ale powiedzieliśmy, że mamy tylko 5. Konwojenci otworzyli wagon, ale do środka nie weszli, gdyż fetor, jaki w nich uderzył, był nie do zniesienia. Utajenie liczby zmarłych miało na celu ewentualne uzyskanie dodatkowych porcji chleba.

— Kto zdrowy i chce zarobić na wodę, niech zgłosi się do zebrania trupów ze wszystkich wagonów dla umieszczenia ich w specjalnym wagonie! — wołali Niemcy.

Z naszego wagonu zgłosił się Janas, pomocnik sanitariusza i ja. Tylko my dwaj byliśmy na tyle silni, że mogliśmy podjąć się tego zadania. Z innych wagonów zgłosiło się również po kilku ochotników. Wszystkich trupów było około 300. Musieliśmy wywlec je z wagonów, rozebrać i zanieść do wagonu obole lokomotywy. Tam układaliśmy je jeden po drugim jak worki cementu, przysypując wapnem.

Wapno było workowane. Zdaje się, że w pośpiechu zawlekliśmy tam i kilku będących w stanie agonalnym, ale nikt się tym nie przejmował. Odzież ułożyliśmy starannie, porządek musi być.

W nagrodę otrzymaliśmy wiadro wody. Ale kubków do czerpania jej nie dali. Na ten widok wszyscy jak szaleni rzucili się do tego wiadra. Wiadro zostało wywrócone, woda wsiąkła w ziemię, a mnie dotkliwie ukąszono w rękę, gdy chciałem przytrzymać wiadro. Niewielką bliznę i teraz widać na mojej prawej ręce. Dostaliśmy za to kolbami po plecach i zapędzili nas na powrót do wagonów. Wagony ponownie zaplombowano. Nasz przymusowy postój trwał około czterech godzin. Okazało się, że musieliśmy tyle czasu czekać na oczyszczenie z gruzów pobliskiej stacji i ułożenie nowych podkładów i szyn kolejowych.

Noc z piątej na szóstą dobę była najkoszmarniejsza. Ręka mi puchła w sposób zastraszający. Sanitariusz bredził w gorączce. Miał tyfus. Ktoś, krzyżąc „woda, woda!”, pełził wzdłuż wagonu kłując nożem. Ranni i mordowani wyli. Krzyk: „Zabić, zabić wariata!” poderwał nas na nogi. Zakotłowało się. Zaczęliśmy po ciemku mordować się nawzajem. Nie wiadomo, co by się dalej działo, gdyby pociąg raptem nie zahamował.

Pociąg stał, a myśmy wyli „Wody, wody, wody”.

Wtedy usłyszałem głos sanitariusza:

— Psia wasza mać! Sukinsyny, pijcie własny mocz.

Pierwszą porcję własnego moczu wypił sanitariusz G. A po nim zaczęli czynić to samo inni. Siusiali jeden drugiemu wprost do ust. Nie było naczyń. Ja zaś zastosowałem go jako środek odkażający na spuchniętą rękę. Ten mocz ocalił mi życie. Przykładałem go jeszcze w Belsen tak długo, aż ręka stęchła, a rana zaczęła się zablizniać.

To zdarzenie przepowiedziałem w dniu 27 grudnia 1934 r. Jego skutki zostały ujawnione wczesnym rankiem dnia

1 stycznia 1935 r., a więc w niecałe cztery dni później.

Mieszkałem wtedy w Warszawie jako nigdzie nie meldowany włóczęga. Od czasu do czasu sypiałem na waleta lub ukryty w dużej szafie w Ognisku Akademickim przy ul. Miodowej 6. Najczęściej jednak korzystałem ze snu na Dworcu Głównym, a w ciepłe noce na ławce w Alejach Ujazdowskich, mniej więcej w okolicy pomnika Szopena, a więc prawie przed Belwederem. Drzemiał na ławce, żeby nie zdradzić się, że po prostu śpię, zakładałem nogę na nogę i poruszałem nią miarowo. Ot tak, jak to czyni się siedząc beztrosko w słońcu. W ustach trzymałem nie zapalonego papierosa. Z daleka czyniło to wrażenie, że na ławce siedzi beztroski młodzieniec, nieco może zamyślony. Ten nawyk poruszania nogą tak się we mnie zakorzenił, że trzeba było kilkunastu lat walki, z uciekaniem się nawet do przywiązywania nogi do poręczy łóżka, żeby go wyplenić.

Jadałem niekiedy raz dziennie, a niekiedy głodowałem po parę dni. Najczęściej spożywałem ćwierć kilograma surowej kiszonej kapusty i tyleż chleba, co okazało się błogosławione w skutkach, gdyż dokuczał mi szkorbut.

W chłodne i słotne noce, kiedy takich jak ja, a było ich w Warszawie bardzo wielu, bez ceremonii goniono precz z poczekalni dworca, wędrowałem po uśpionych ulicach miasta. Im bardziej byłem zmęczony i głodny, tym więcej to dziwne miasto — Warszawę — kochałem. Za wszelką cenę, nawet za cenę śmierci głodowej, pragnąłem w nim pozostać.

Mój Boże, gdybym dziś miał te lata i znalazł się w tej sytuacji, gdziekolwiek bym się zwrócił, otrzymałbym pracę, mniej lub bardziej luksusowy hotel robotniczy i pędziłbym beztroskie życie. Wtedy za pytanie: „czy jest praca?” wrzeszczano na mnie jak na zapowietrzonego i kazano iść, gdzie pieprz rośnie.

W Ognisku Akademickim był aparat telefoniczny. Numer telefonu, za pozwoleniem kierownika, mogłem podawać ewentualnym klientom, którzy za jego pośrednictwem mogli mnie zaprosić do siebie do domu, abym postawił im kabałę

lub powrózył z ręki.

Za pośrednictwem tego właśnie telefonu w dniu 27 grudnia zostałem wezwany na godzinę 17 do pewnej rodziny mieszkającej w luksusowej willi na Żoliborzu.

Przyszedłem tam punktualnie. Byłem źle, a raczej wręcz nędznie ubrany, nie ostrzyżony, a że wygląd zewnętrzny dała mi natura taki, że aż wstyd Panu Bogu czynię, nic też dziwnego, iż witali mnie niezbyt gorąco, robiąc dobrą minę do złej gry. Pana domu nie było. Była pani domu, jej syn

z narzeczoną, o czym się później dowiedziałem, i jeszcze dwie miłe panienki. Byli to studenci Akademii Sztuk Pięknych, którzy mnie widzieli na andrzejkach w Akademii.

Usadowiony pod dużą palmą, przebrany w fantastyczny strój maga — wróżyłem wtedy. Strój wypożyczyłem za niewielką opłatą w kostiumerii pana Dłutka, mieszczącej się przy Nowym Świecie. Zwłaszcza dzięki dużej tatarskiej czapie, z moimi mongolskimi rysami twarzy, wyglądałem jak prawdziwy koczownik ze stepów kirgiskich i byłem jedną z atrakcji balu. Nic też dziwnego, że mój obecny strój i wygląd, tak odmienny od ówczesnego balowego, wywołał w nich uczucie zawodu.

Usadowiono mnie przy małym stoliku, na którym nawet dobrze kart nie można było rozłożyć. A karty miałem pożał się Boże. Wacek W. odbił mi je na zwykłym kartonie przy pomocy szablonu zrobionego z ziemniaków.

Traktowali mnie jak Cygana, więc odpowiadałem im po cygańsku. Podchodzili po kolei i siadali przy stoliku, a ja stawiałem im po kolei kabały, bajdurząc, co popadnie. Na konkretne pytania dawałem konkretne odpowiedzi, ale czy były one logiczne, nie zastanawiałem się. Na filozofowanie nie było czasu.

Pamiętam, że na pytanie jednej z pańienek, kiedy wyjdzie za mąż, odpowiedziałem bez namysłu:

—Za rok o tej porze.

—A jak będzie wyglądał mój mąż? — pytała drżącym głosem.

„A diabli go wiedzą” — pomyślałem, głośno zaś z wielkim

namaszczeniem odpowiedziałem:

—Będzie to wysoki, bardzo przystojny pan.

—A czy młody? Jakiej barwy będzie miał włosy?

—Będzie młody, włosy będzie miał siwe i będzie chromał na lewą nogę.

Popatrzyła na mnie jak na wariata i obrażona wstała od stolika.

Kiedy usiadł naprzeciw mnie syn pani domu, a nastrój już wtedy był bardzo nieprzyjemny, kart mu nie rozłożyłem. Wziąłem go natomiast za rękę. Przymknąłem oczy. Jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Pozostali uczestnicy tego „seansu” milczeli również.

—Jedyne i najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla pana, to woda. Proszę strzec się jej wszędzie.

Wyrwał rękę i ze złością powiedział:

—Dość już tych bredni. Dla pana przyjemności nie pójdę na most i nie skoczę do Wisły. A nawet gdybym to chciał uczynić — Wisła zamarznięta.

—Dla pana wystarczy wody w wannie. W niej też można utonąć.

Kiedy zamykałem za sobą drzwi słyszałem zdenerwowany głos pani domu:

—Co za licho skusiło cię zaprosić tu tego oberwańca.

W noc sylwestrową, tj. w kilka dni później, ów młody człowiek wraz z narzeczoną bawili się beztrudnie na balu w Politechnice. Wrócili do domu nieco podchmieleni około 4 rano, 1 stycznia rojcu 1935. Ona umyła się i zaraz udała się do pokoju gościnnego. Zasnęła momentalnie. On napełnił wody do wanny i wszedł do niej. Woda okazała się nieco za chłodna, więc odkręcił kran z gorącą, aby ją w ten sposób podgrzać. Woda powoli płynęła, a on nieco oszołomiony alkoholem zapadł w drzemkę.

W południe, kiedy wszyscy domownicy obudzili się, ujrzeli wodę rozlaną po wszystkich pokojach. Kiedy przerażeni wpadli do łazienki, ujrzeli wystającą z wanny rękę syna. Nie żył już. Kiedy go wyjmowano z wanny, ugotowane ciało odpadało od kości.

Powiadomił mnie o tym Wacek W. A w rok później odnalazła mnie studentka, której przepowiadałem wyjście za mąż. Przyszła z mężem. Był to nad podziw urodziwy młody człowiek o siwej bujnej czuprynie... I niech to licho porwie... chromał na lewą nogę.

15

Spośród licznych „pensjonariuszy” Ogniska Akademickiego w 1935 r., gdzie nielegalnie sypiałem w szafie, poza Tadzkiem Ramsteinem przyjaźniłem się ze Stasiem i Józiem P. Mimo że byli rodzonymi braćmi, różnili się od siebie bardzo. Zarówno pod względem somatycznym, jak i psychicznym. Stasio był piękny jak nie przymierzając Hanuszkiewicz i śpiewał jak Caruso, Józio urodą i całym wyglądem zewnętrznym do złudzenia przypominał Van Gogha. Nawet czuprynę miał taką samą. Jego inteligencję, jak mawiał Tadzio, można było mierzyć sznurkiem od kiełbasy. Mimo to i on posiadał duszę artystyczną. Tadzio twierdził, że po dalszych pięciu latach studiów w konserwatorium Józio na łeb pobije Paganiniego—jako antytalent. Dowodem tego, jego zdaniem, był fakt, że Józio po pierwszej pięciolatce studiów już potrafił bezbłędnie zagrać na skrzypcach: „Włazł kotek na płotek...”

Cała grupa, składająca się z co najmniej dwudziestu kandydatów na wiecznych studentów, spała w jednej dużej sypialni, z oknami wychodzącymi na ul. Miodową, po której całą noc ze zgrzytem i dzwonieniem kursowały tramwaje. Ich zgrzyty docierały nawet do mnie poprzez drzwi zamkniętej szafy, nie dając mi zasnąć. Nie przeszkadzało to Józiowi. Spał jak suseł. A sen miał tak głęboki, że nie obudził się, kiedy go w negliżu ściągnęli z łóżka, wynieśli z sypialni i położyli dozorca pod progiem. Znalazł go tam kierownik Ogniska. A że był to chłop silny, wziął Józia jak oseska na ręce i z powrotem ulokował na łóżku. Ten ani drgnął.

Nabijali się z niego prawie wszyscy. Przyjmował to z po-

blażaniem. Tylko w dwóch przypadkach Józio omal nie stracił równowagi.

W pierwszym przypadku poszło o kielbasę. W Ognisku raczej nie dojadali, więc nic dziwnego, że potrafili zwęździć kolegom przechowywane zapasy. Któregoś dnia Józio przyniósł od rzeźnika pęto suchej kielbasy. Było to honorarium za udzielane lekcje gry na bałajce. Na ten widok oczy nam załśniły jak głodnym wilkom. Ale Józio z nami się nie podzielił. Natomiast wbił gwóźdź w ramę okienną, kielbasę przewiązał sznurkiem i zawiesił na tym gwoździu. Sięgała prawie do parapetu. Józio ołówkiem podkreślił punkt, w którym kończyła się kielbasa, i z groźną miną powiedział:

—Oto jest granica, do której sięga moja ciężko zapracowana kielbasa. Jeśli stwierdzę, że ucięto z niej choćby centymetr, co łatwo poznam, wtedy biada wam wszystkim. Co, sprytnie pomyślane?

Na to Tazio:

—Genialnie, Józefacie. Żadnemu z nas taki pomysł nie zaświtałby w głowie.

Józio był zachwycony sobą. Całą noc śnił słodkie sny oswej kielbasie. Ale kiedy przyszła pobudka, Józio przecierając oczy zawył, jakby go żywcem ze skóry odzierali:

—Moja kielbasa! Gdzie moja kielbasa?

Zebrałiśmy się przy, oknie i nuże smętnie kiwać głowami.

Z tak pięknej kielbasy został tylko koniuszek, ściśle przylegający do kreski zrobionej przez Józia. Za to sznurek wydłużył się ponad miarę. Józio schwycił za taboret, podniósł go groźnie do góry.

—Przyznać się, bo wszystkim łby porozbijam. Wyglądał naprawdę groźnie. Jego twarz w tym momencie do złudzenia przypominała dojrzałego pomidora. Cofnęliśmy się przezornie, gotowi dać nogę w razie jego ataku.

1wtedy włączył się Tazio.

—Słuchaj no, Józiu — powiedział. — Czy jesteś inteligentny?

—Jestem bardzo inteligentny — na to Józio. — Ale kielbasy nie daruję.

—Jako istota rozumna, śmiało rzec można, homo sapiens —

na to Tadzio — chyba przyznasz, że kreska jest?

—Kreska jest.

—Jest i koniuszek kielbasy, no nie? A więc nic się nie zmieniło. Kielbasa sięgała do kreski?

—A sięgała — przyznał Józio.

—A teraz sięga?

—No... sięga — głos Józka był niezdecydowany i taboret mu już w rękach ciążył.

—Powiedziałaś, że jeśli ci centymetr utną, to nie darujesz. Nikt ci centymetra nie uciał, tylko metr. A słowa trzeba dotrzymać.

—Tak powiedziałem? — Józio postawił taboret na podłodze i zaczął się skrobać po głowie. — Niech to cholera. Ale jak on to zrobił, że koniuszek kielbasy sięga do kreski?

—O, to właśnie sztuka! — zawołał Józek Dubrawa, a Tadzio dodał — za to, Józiu, masz wspaniały, długi nsznurek.

—Sznurek? A po diabła mi sznurek?

—A choćby na to, by nim mierzyć swoją inteligencję. A jak ci się to znudzi, to możesz na nim zawisnąć w charakterze kielbasy.

Owemu właśnie Józiovi przepowiedziałem z ręki podróż i to nie byle jaką podróż. A gdy to przepowiadałem, wodząc palcem po jego dłoni, wszyscy słuchacze trzymali się za boki, rycząc ze śmiechu. A ryk był taki, że na Miodowej przechodnie przystawali i zadzierali głowy do góry, a potem oddalali się pełni niepokoju.

A ja mówiłem:

—Patrz, Józiu. Ta linia, która biegnie od małego palca w dół — a żadnej takiej linii tam nie było — oznacza, że wkrótce zjawi się w Warszawie piękna dziewczyna z obcych krajów i pokocha cię. A kraj, z którego przyjedzie, jest czarujący. A gdy ona cię pokocha, zapragnie cię zabrać do swego kraju. O patrz, ten kraj leży na samym skraju twojej dłoni. Trzeba do niego iść przez wzgórze, a potem przez dolinę Marsa.

Józio wlepił oczy w swoją dłoń. Był zafascynowany. A ja fantazjowałem dalej:

—Mars to bóg wojny. On będzie ci przeszkadzał. Ale, patrz, to wzgórze, zwane Wenery, ono cię uchroni przed jego srogością.

—A kiedy ja pojedę? — nie wytrzymał Józio.

—O, Józiu. Ta linia, co biegnie od środka dłoni do palca środkowego, to linia losu. I mówi ona, że wiele lat upłynie, zanim się tam dostaniesz. Ale dostaniesz się na pewno. Tako rzecze Mustafa. Jesteś wybrańcem gwiazd. One cię przeprowadzą przez dolinę Marsa i połączą z twoją ukochaną.

—A gdy tam się dostanę, to co?

—Jeszcze ci mało?

—A mało.

—Będziesz miał piękną żonę, dużo dzieci i będziesz szczęśliwy.

—A moje skrzypce?

—O nich nic tu nie napisano.

—Pal licho skrzypce — powiedział po namyśle Józio. A zwracając się do wszystkich zawołał:

—Słyszeliście. Jestem wybrańcem gwiazd. Będę miał piękną żonę.

—Na pewno, Józiu. Taki szczęściarz jak ty, ho, ho.

W 1937 r. w czasie Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego pojawiła się w Warszawie para młodych Hiszpanów. Było to przemiłe rodzeństwo. Bliźniaki. Brat i siostra. Przyjechali, by wziąć udział w konkursie. Dziewczyna była piękna jak marzenie. Traf chciał, że Józiovi powierzono opiekę nad tą parą. Józio z miejsca w niej się zakochał. I o dziwo! Ona, zanim upłynęło parę dni, za nim świata nie widziała. I co dziwniejsze, jej brat uznał Józia za godnego partnera dla swej uroczej siostry.

Kiedy Józio przyprowadził do mnie tę parę i dumnym głosem obwieścił mi, że zaręczył się z dziewczyną, zdębiałem ze zdumienia. A Józio domagał się, abym w ich obecności powtórzył przepowiednię sprzed lat. Namęczyłem się wtedy setnie, zanim to powtórzyłem po niemiecku.

Po konkursie, rozstając się, cała trójka płakała jak bobry. W mojej obecności złożyli sobie ślubowanie wierności przed

ołtarzem głównym w Katedrze. Dziewczyna powiedziała, że uczyni wszystko, żeby Józio do Hiszpanii przyjechał.

Po ich wyjeździe Józio był częstym gościem u mnie, zwierzał się ze swoich perypetii z władzami i urzędami paszportowymi. Jesienią 1937 r. miał już wizę hiszpańską, ale że z Polski do Hiszpanii wyjeżdżało nielegalnie dużo komunistów, żeby tam wziąć udział w wojnie domowej, nasze władze nie pozwoliły mu wyjechać.

Kiedy skończyła się wojna domowa, Józio otrzymał paszport oraz wizę. 1 września 1939 r. mógł opuścić kraj. Niestety w dniu tym rozpoczęła się druga wojna światowa i Józio nie mógł wyjechać. Poszedł na front. Jako ochotnik. Jak on to zrobił, że go przyjęli do wojska, pojęcia nie mam. Po klęsce wrześniowej Józio uciekł z niewoli. A jego narzeczona rozpoczęła od nowa starania, żeby go ściągnąć do Hiszpanii. Zanim zostały one uwieńczone sukcesem, hitlerowcy uderzyli na Francję i wyjazd Józia ponownie został wstrzymany. Francja padła. A w dwa miesiące później Józio przyszedł pożegnać się ze mną. Pokazał mi zezwolenie na wyjazd do Hiszpanii. Więcej go nie widziałem.

Od momentu tej karykaturalnej przepowiedni do jej całkowitego spełnienia się upłynęło ponad pięć lat. A gdy ostatni raz ścisnąłem dłoń Józia, zaświtała mi myśl: „Nie przepowiednia decydowała o wyjeździe Józia, a wyjazd Józia decydował o przepowiedni. Moja rola ograniczała się tylko do stwierdzenia faktu, który miał nastąpić”.

16

Na przełomie lata 1935 zaprosiła mnie telefonicznie hrabianka K.P. Mieszkała w pięknej kamienicy przy ul. Wila-

nowskiej, zajmując tam gustowną kawalerkę. Gdy ją ujrzałem po raz pierwszy, olśniła mnie jej uroda. Ale gdy obejrzałem linie rąk, smutek ogarnął mnie niezmierny. Linie te, a zwłaszcza tzw. „linia życia”, były pourywane, włoskowate i krótkie. Trzymając w swojej ręce jej smukłą dłoń, dłoń, którą chiromanci określają jako „uduchowioną”, gorączkowo

myślałem, czy mam jej powiedzieć, że nie będzie długo żyła i że śmierć ta nastąpi nagle? Postanowiłem za wszelką cenę nie powiedzieć jej tego, co później srodze na mnie się zemściło.

I nie powiedziałem. Natomiast z przekonaniem zapewniałem, że czekają olśniewająca kariera artystyczna, że wkrótce wyjedzie w daleką, zamorską podróż, z której wróci w powodzi kwiatów.

Panna K.P. pracowała w jakiejś instytucji finansowej, występując jednocześnie jako piosenkarka-amatorka w luksusowych lokalach nocnych. Specjalnością jej były piosenki francuskie, które podobno wykonywała wspaniale. Gdy ją poznałem, była zakochana, jak sama mówiła, w zwariowany sposób, w podtatusiałym, żonatym i niezbyt urodziwym, ale jak powiadali złośliwi, jįjardzo zamożnym jegomościu.

Byłem u niej kilkakrotnie, zapraszany do postawienia kabały jej bądź jemu, a niekiedy jej przyjaciółkom. Za każdym razem horoskopy dla niej były wyśmienite. Nic też dziwnego, że ilekroć tam się stawiałem, witała mnie serdecznie.

Najczęściej żądali ode mnie, bym wyliczył, kiedy diabli wezmą jego żonę? Zapewniałem, że los już się o to postara, trzeba tylko cierpliwie czekać. Więc czekali, ale nie było to czekanie cierpliwe.

Żona jej ukochanego była tęgą, rozłożystą babiną na poziomie umysłowym przekupki z Hal Mirowskich. Wyrażała się dosadnie, a słowa jej były jędrne i soczyste. Przy tym, jak mnie zapewniali, była o męża diabelnie zazdrosna.

Ciągle ponoć groziła, że jeśli go przyłapie z jaką lafiryndą, wypali jej i jemu oczy zajzajerem. Więc bali się jej okropnie i czekali, kiedy wreszcie Pan Bóg raczy powołać ją do swojej chwały. A ona była krzepka jak rzepa.

Romans panny K.P. bardzo nie podobał się jej matce. Więc ona dla odmiany, choć słabo mówiła po polsku (była Francuzką), zasypywała mnie pytaniami, kiedy ten okropny typ zniknie na dnie piekieł, co uchroni jej córkę od popełnienia mezaliansu. Matce również odpowiadałem, że los

oto się postara, trzeba tylko cierpliwie czekać. Będzie tak,

jak być powinno...

W tym czasie zetknąłem się z niejakim panem Z., który, jak stwierdziłem, posiadał duże zdolności medialne i łatwo dawał się uspić hipnozą.

Powiedziałem o tym fenomenie panie K. Zapragnęła go ujrzeć. Przeprowadziłem więc pana Z. do niej. Panna K. przyjęła nas otoczona gronem przyjaciółek i naturalnie w asyście ukochanego. Pragnęli być świadkami seansu z medium. Ułożyłem pana Z. wygodnie na tapczanie i uspiłem go. Oni po kolei siadali nie opodal, brali go za rękę

1pytali o swoje sprawy; Odpowiadał im krótkimi zdaniami i z sensem. Kiedy przyszła kolej na pannę K., poczułem się bardzo niewyraźnie. Bałem się, że „zobaczy” jej nagły zgon.

„Widzę — powiedział po krótkim namyśle — dużo ludzi... Otacza panią grono młodych, roześmianych osób... Płynie okręt... Pani na tym okręcie tonie w powodzi kwiatów...”

Przerwał i obudził się nagle. Uczestnicy tego seansu byli jednak bardzo zadowoleni. Wyszliśmy stamtąd pozostawiając wrażenie, że nawiedzili ich co najmniej czarodzieje. Ja zaś w duchu podejrzewałem pana Z. o ordynarną mistyfikację. Pan Z. jednak milczał i był dziwnie zasepiony. Wkrótce drogi nasze się rozeszły i nie wiem, co się z nim później działo.

W kilka tygodni po tym seansie panna K. wezwała mnie do siebie. Gdy tam przybyłem, zastając naturalnie jej ukochanego, nie przywitała się ze mną. On zaś marszcząc brwi i zaciskając pięści powiedział:

— Jesteś ordynarnym oszustem i nierobem, żyjącym z naiwności ludzi. Jeśli nie zaprzestaniesz wróżyć i nie weźmiesz się do uczciwej pracy, znajdę na ciebie sposób i takie miejsce, że go na całe życie zapamiętasz.

Wyszedłem przerażony. Wałęsając się później po ciemnych ulicach Warszawy, głęboko przeżywałem ten wstyd i upokorzenie. Zastanawiałem się jednocześnie, co takiego uczyniłem, że tak mnie potraktowali?

Dowiedziałem się o tym w kilka miesięcy później.

Jego żona, której przecież nie znałem, złośliwym zbiegiem

okoliczności, podobnie jak i panna K., dowiedziała się drogą ustnej reklamy o moich rzekomo cudownych zdolnościach przewidywania przyszłości i z kilkoma jeszcze paniami zorganizowała u znajomych seans. Na tym seansie powiedziałem jej, że przeżywa bardzo ciężkie chwile z powodu niewierności męża. Jednocześnie miałem jakoby zapewnić ją, że jej rywalka rychło umrze i że wszystko między małżonkami wróci do równowagi.

Zachwycona baba podzieliła się tą radosną nowiną z mężem, podając moje nazwisko. Ugodzony w czułe miejsce mąż powiadomił o tej wróżbie swoją przyjaciółkę. Przyjaciółka wezwała mnie. Przyjaciel powiedział, co o mnie myśli... i koło się zamknęło.

Incydent ten miał jednak dla mnie inne jeszcze przykre następstwa. Oto panna K. i jej przyjaciel zaczęli urabiać kontropinię, zrażając w ten sposób wiele osób do mnie. A że Warszawa, mimo swej cudowności, jest miastem plotkarzy, szybko zostałem skreślony z listy prawdziwych jasnowidzów, co równało się powolnemu konaniu z głodu.

Ale przetrwałem. Czas jednak płynął bardzo powoli. Dzięki pomocy pana Adwentowicza i Ireny Grywińskiej mogłem, jak i wielu innych młodych ludzi, przynajmniej

zarobić tyle, żeby żyć. Na mieszkanie jednak to nie wystarczało. Więc mieszkalem nigdzie nie meldowany.

Wezwań na seanse nie było. Skazany zostałem na zapomnienie. Aż pewnego dnia, a raczej wieczoru, za kulisy Teatru Kameralnego wdarła się jakaś pani wołając głośno, że musi się ze mną natychmiast widzieć. Ponieważ akurat naśladowałem gdzieś w głębi sceny barana, wydając odpowiednie beki, musiała poczekać.

Gdy ją ujrzałem, przeraziłem się i chciałem dać nura, gdzie popadnie, ale ona schwyciła mnie za futro baranie i krzepko trzymała.

—Mistrzu — wołała — nareszcie cię znalazłam! A wierzyć nie chciałam, kiedy ujrzałam tego barana na scenie. A jednak one miały rację, to pan, Mistrzu. Dopiero po beku poznałam, że to pan.

Była to żona przyjaciela panny K.

—Myśmy już w gazetach chcieli ogłaszać, że pana poszukujemy. Pan jest wielkim jasnowidzem.

Wyciągnęła mnie zza kulis. A że już nie miałem nic do roboty, pokornie, jak baran na stracenie, poszedłem za tą herod-babą.

Dowiedziałem się wtedy, że mąż jej wprawdzie w tej chwili przeżywa wielką tragedię, ale stał się pokorny i siedzi przy niej. Jego przyjaciółka nie żyje.

W tym samym teatrze odnalazły mnie również przyjaciółki panny K. Od nich dowiedziałem się, że panna K. wraz z Chórem Dana udała się na występy gościnne do Ameryki Północnej. Tam odniosła wspaniałe sukcesy jako piosenkarka. Na ostatnim jednak występie, stojąc w powodzi kwiatów rzucanych na scenę przez zachwyconą publiczność, zmarła nagle pod wpływem silnego wzruszenia. Wieźli ją okrętem w podwójnej trumnie, a trumna tonęła w kwieciu.

Pomyślałem wówczas, że pan Z. był zaiste dobrym medium.

17

W pierwszych dniach wiosny 1936 r. Wacek W. odnalazł mnie w Teatrze Kameralnym, gdzie u pana Karola Adwentowicza i Ireny Grywińskiej pełniłem zaszczytną rolę statysty. Przyniósł mi wezwanie telefoniczne, abym o ile możliwości stawił się jak najrychlej przy ul. Nowogrodzkiej. Na kartce miał wypisany dokładny adres i nazwisko pani, która mnie pragnęła niezwłocznie ujrzeć.

Poczułem się niezbyt dobrze. Pod tym adresem byłem kilka miesięcy temu i wyproszono mnie stamtąd nie szcędząc przykrych określeń. Nie było mi lekko na duszy, kiedy mimo lęku wkroczyłem w podwoje tego domu. Pod tym adresem mieszkał bowiem znany w Warszawie prokurator. Jego żona, wraz z kilkoma paniami, dowiedziawszy się o moich jakoby cudownych zdolnościach przepowiadania przyszłości, zaprosiła mnie do siebie na seans.

Powiedziałem jej wtedy między innymi, że w krótkim czasie zostanie na ulicy ranna w nogę. Czynu tego dokona młody wojskowy, jej serdeczny przyjaciel. Stanie się to przyczyną skandalu i mało będzie brakowało, aby jej małżeństwo uległo rozbiciu. Nie wiem, co jeszcze takiego powiedziałem, ale wiem, że zdenerwowało to bardzo panią domu, dziękowała mi za tę wróżbę. Pozostałe panie, słuchając tego, co jej mówiłem, nie skorzystały z moich umiejętności. Pani domu, płacąc mi, powiedziała parę słów, jak to się mówi, do słuchu. Wyszedłem stamtąd zdruzgotany. A teraz wzywa mnie. „No, będę miał za swoje od pana prokuratora” — myślałem, z determinacją naciskając dzwonek od drzwi wejściowych.

Panna służąca wprowadziła mnie tym razem nie do salonu, a wprost do sypialni. Na szerokim małżeńskim łóżu, oparta o stos poduszek, siedziała w przyjemnym negliżu pani prokuratorowa.

Poprosiła, abym usiadł w fotelu, stojącym nie opodalłóżka. Poleciała panie służącej podać herbatę. Zapytała, jakie lubię wino, białe czy czerwone? Ponieważ poza wódką pojęcia nie miałem o innych trunkach, więc, by nie skompromitować się, powiedziałem: „wytrawne”. Wkrótce dostałem herbaty i jakiegoś cierpkiego płynu, który z przykrością piłem małymi łykami, bo mi nie smakował.

Gdy tak się męczyłem, pani prokuratorowa opowiadała, jak mi się wtedy zdawało, historię nie z tej ziemi.

— W tych dniach, a więc w niecałe trzy miesiące od pana wizyty u mnie, w czasie której zachowałam się wobec pana niezbyt uprzejmie, za co serdecznie przepraszam, wybrałam się około godziny dwunastej w południe na spacer. Czulałam się dziwnie lekko i dobrze. Szłam powoli Nowogrodzką w stronę Marszałkowskiej. Gdy stanęłam na skrzyżowaniu tych ulic, zawahałam się chwilę, nie wiedząc, w którą stronę Marszałkowską pójść? Czy do placu Zbawiciela, czy do Ogrodu Saskiego? Był to krótki, ale bardzo dziwny moment. Skręciłam w stronę Ogrodu Saskiego. Przeszłam przez Aleje Jerozolimskie i zbliżałam się do Dworca

Głównego. A kiedy przecinałam Chmielną, ujrzałam zbliżającego się od strony Sienkiewicza dawno nie widzianego kolegę. Był ubrany w strój galowy. Na mój widok uśmiechnął się radośnie i przyspieszył kroku. Uradowani nieoczekiwanym spotkaniem, podaliśmy sobie dłonie. Nie widziałam go chyba ze dwa lata. Spytałam, skąd się tu znalazł? Powiedział, że przybył z Grodna, gdzie stale przebywa w garnizonie. Został wezwany do Sztabu Generalnego i właśnie tam idzie. Żeby nie przeszkadzać przechodniom, stanęliśmy nieco bliżej jezdni. W takich chwilach człowiek traci poczucie czasu. Jednak w pewnym momencie coś mnie jakby tknęło i «spojrzałam ponad jego głową w dół Marszałkowskiej. Od strony Ogrodu Saskiego, na wysokości ul. Moniuszki, dostrzegłam charakterystyczną sylwetkę męża. Znając jego zazdrość i porywczy charakter, powiedziałam spieszenie do przyjaciela:

—Musimy się natychmiast pożegnać. Idzie mój mąż. Wiesz, jaki z niego zazdrośnik.

—Wiem, wiem — zaśmiał się mój przyjaciel. — I nie mija mu to z czasem?

—Gdzie tam, raczej potęguje się — ja mu na to.

Wyciągnęliśmy do siebie ręce na pożegnanie. I kiedy tak nasze dłonie zbliżały się do pożegnalnego uścisku, a mąż był coraz bliżej, nie wiem, jak to się stało, że memu przyjacielowi wypadł rewolwer. Uderzając o chodnik, wypalił, a kula trafiła mnie w nogę, szczęśliwie nie naruszając kości. Upadłam z jękiem. Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam przerażoną twarz męża, bladą twarz przyjaciela i policjanta spisującego protokół.

Odchyliła kódrę i pokazała mi obandażowaną nogę.

—Stało się, jak pan przewidywał. Wypadek, wojskowy, skandal. Mąż na razie nic nie mówi, ale czuję, że dzieje się z nim coś niedobrego. Boję się, że będzie chciał rozejść się ze mną. Niech mi pan jeszcze postawi te swoje zdumiewające karty.

Postawiłem karty. Zapewniłem na ich podstawie, że wszystko ułoży się jak najpomyślniej.

Jak się później dowiedziałem, dochodzenie zostało umorzona. Pan prokurator pogodził się z żoną. A był moment, że zarówno pan prokurator, jak i prowadzący badania sędzia śledczy, zakładali, że była to schadzka miłosna, a strzał ten nie padł przypadkowo. Prawdopodobnie ów oficer chciał zabić swoją kochankę...

18

Miałem wtedy 6 lat, a do dziś to pamiętam. Pani Wójcowa, przezwiska „Litwinka”, matka trzech dorastających córek, o wschodzie słońca, na progu domu swojej sąsiadki, zarżnęła tęym nożem kuchennym czarnego koguta i jego krwią pokropiła drzwi wejściowe do czworaku, wypowiadając zaklęcie mające na celu spowodowanie utraty rozumu mieszkanki tego domu. Miała to być zemsta za „odbicie”, zalecającego się do jednej z jej córek, żołnierza.

Efekt był piorunujący. Kiedy wróciła do swego domu, córka, na której konto czar uczyniła, przywitała ją dzikim śmiechem i śmiała się tak długo, aż ją do znaczorki powieźli.

Od tego czasu bałem się czarów i czarownic i za żadne skarby nie chciałem z tym mieć nic do czynienia. Ale „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi”. W 1937 r. zgłosiła się do mnie po poradę młoda panienska. Przedstawiła się jako Zula i powiedziała, że dowiedziała się o moich cudownych zdolnościach w „Bratniaku” Akademii Sztuk Pięknych. Ma, jak zapewniała, straszne zmartwienie. Kocha bez opamiętania człowieka, który nie zwraca na nią żadnej uwagi. Nie może żyć bez niego. Błaga o czary. Przecież na pewno to potrafię.

Prawie na klęczkach przysięgałem jej, że nie znam się na czarach i w czary nie wierzę. Nie uwierzyła mi. Wyszła urażona i nie usłuchała mojej rady, żeby „czarownikom” nie wierzyła i nie szukała ich w Warszawie, gdyż na pewno takowych nie znajdzie.

Ona jednak była uparta i w końcu znalazła przy ul. Polnej „wtajemniczoną”, która przyrzekła, że za niewielką opłatą

pozyska dla niej serce ukochanego. Ale żeby tego dokonać mogła, musi od zainteresowanej otrzymać w naturze lub równowartość: 1) dużego, czarnego psa z białym kołnierzem i takim ogonem, 2) nocną jedwabną koszulę damską, 3) kalessony męskie, 4) garnek emaliowany litrowej pojemności, 5) opakowanie szpilek krawieckich, 6) jeden metr i dwadzieścia centymetrów satyny.

Ponadto w gotówce: 28 zł jako honorarium dla profesora czarnej magii w Raciążku, 5 zł dla służącej profesora, która będzie zabijała psa i wytapiała zeń tłuszcz na czarodziejską świecę, oraz 45 zł dla kierowniczkii działu produkcji fabryki świec „Polo”, jako zapłata za zrobienie odpowiedniej świecy.

Panna Zula dała to wszystko i duszę by dała, ale niestety, czy to pies był niedobry, czy satyna zła, a może gatki nieodpowiednie lub czarna msza niewłaściwie odprawiona, czar się nie udał. Panna Zula zapłakana i zrozpaczona znowu mnie błagała, żebym czar rzucił na czarownicę i zmusił ją do zwrotu kosztów.

I znowu zaklinałem się, że nie potrafię, i znowu mi nie uwierzyła.

— Wiem, że pan umie robić czary. Powiedzieli mi koledzy, że pan jest jedynym człowiekiem w Warszawie, który ma „Siódmą Księgę Mojżesza”. A tam wszystko jest napisane.

Księgi tej szukałem przez kilka lat. A kiedy ją zdobyłem, rozczarowany srodze, pierwszy raz w życiu cisnąłem książką

opodłogę. Był to zbiór najgłupszych pod słońcem przepisów i rad, od czarnej magii począwszy, a na kosmetyce kończąc. Wydana ona została w Filadelfii w 1889 r. w języku polskim.

I żeby ktoś nie pomyślał, że blaguję, podaję z niej dwa zalecenia, może one będą pomocne?

1 zalecenie: „Aby cię ukochany nie opuścił”. „Gdy pragniesz, aby cię ukochany nie opuścił lub do cię się przywiązał, wyrwij mu z głowy włosów kilkoro, a jeszcze lepiej z miejsca Adamowego (pagórka Wenery u kobiety), zawiń je w czysty nie zapisany pergament. To zasię oblep gliną,

której ogień nie ima i wmuruj to w piecu kuchennym, gdzie płomień do komina wiata. Jak długo płomień nie spali włosów, tak długo ukochany będzie ci wierny, jak pies swemu panu”.

2 z a l e c e n i e: „Jak włosy pozyskać”. „Jeśli masz głowę łąsą jak kolano, a chcesz mieć bujne włosie, weź sukę szczenią a karmiącą mlekiem szczenięta, a zważ, by to była suka kundel, udój ją i mleko to wcieraj w skórę głowy. Robiąc to, zważaj jeno, by ci na dłoni włosy nie urosły”.

19

Poznałem go w lecie 1937 r. Przedstawił mi się jako pan K. Później, gdy nawiązałem z nim bliższe kontakty, dowiedziałem się, że jest pułkownikiem w stanie spoczynku.

W owym czasie byłem już stałym mieszkańcem tego niezwykłego miasta — Warszawy. Cudu tego dokonał pan Warowny, administrator domu przy ul. Elektoralnej 29. Uczynił to po prostu z sympatii do mnie.

Mieszkałem przy ul. Siennej 27, odnajmując razem z Alko Stefańskim pokój u pana Beli Magida. Pokój był ciemny, ponury, niesamowicie zapluskwiony, ale niekrępujący i, co najważniejsze, z prawem do korzystania z telefonu.

Moją jedyną wówczas troską było zdobycie środków finansowych na opłacenie komornego. Każdy zdobyty grosz ciulałem na ten cel, niejednokrotnie srogo głodując. Wielkim luksusem było wtedy dla mnie spożycie w „Kri-Kri” przy ul. Zielnej obiadu z trzech dań za 55 groszy.

Ubierałem się na Wałówce, a buty kupowałem, naturalnie używane, na Kercelaku. Na śniadanie przeciętnie wydawałem 20 gr; tyle mniej więcej na kolację. Jedyną rzeczą, na którą nie skapiłem pieniędzy, były rarytasy pomorskie, najwspanialsze papierosy pod słońcem.

Okolo trzyletnia bezdomność i tułaczka po ulicach Warszawy, sypianie na dworcach lub na ławkach w Alejach Ujazdowskich, chwywanie się byle jakiej pracy, żeby tylko przetrwać dzień, pozostawiły na mnie do dziś niezatarte

piętno strachu przed jutrem. Każdy nowy rok witam z uczuciem wielkiej trwogi. Toteż nic dziwnego, że za wszelką cenę usiłowałem zapewnić sobie dach nad głową.

Ale zarówno wtedy, jak i później, nie reklamowałem się w prasie. Interesanci przychodzili do mnie z polecenia tych, którym moje przepowiednie spełniały się. Miałem ogromne szczęście, że umiałem przewidzieć zdarzenia na bliższą metę. Poza tym bardzo szybko zorientowałem się, że warszawiacynie bardzo reagują na ogłoszenia w prasie. A reklamujących się jasnowidzów, cudotwórców i czarodziejów było bardzo dużo. Ustna reklama była jednak najskuteczniejsza. Kto ją zdobył — ten wygrał.

Do najbardziej reklamujących się należała „Pryma” przy ul. Chmielnej, „Pary-Banu” przy Polnej, „Astrid” na Kopernika i inne. Dużą sławą cieszyły się: Jadwiga Domańska, Mańkowska, Wiodrowa, Sabina Choromowicz. Lekceważąco traktowano „Pyffela”, Szyllera-Szkolnika, Said Foady’ego, a nawet Starzę-Dzierzbickiego, choć ten nie produkował się jako wróżbita, a jako astrolog. Legendarną zaś postacią, niedostępną dla naszego klanu i nie zarabiającą podobno (choć znam przypadek, że za kurę raczył zajrzeć w czyjaś tam przyszłość) w ten sposób, był inż. Stefan Ossowiecki.

Jego popularność była tak wielka, że nic dziwnego, iż jakiś cwaniak zaczął buszować na prowincji, reklamując się jako „jasnowidz Osowicki”. Tego bezczelnego oszusta, jak słyszałem, inż. Ossowiecki podał do sądu za zniesławienie, aliści, jak mawia pan Waldorff, sąd stanął na stanowisku, że pseudonim „Osowicki” nie uwłacza powodowi i sprawę o zniesławienie oddalił. Ten sam cwaniak, kiedy uzyskałem pewien rozgłos, podsztył się i pod moje nazwisko, ale na to nie zareagowałem.

Zatem, jako początkujący jasnowidz, konkurencję miałem nieliczną, a przygotowania „naukowego” do tej profesji — żadnego, prócz intuicji, a może po prostu — szczęścia?

Tasując karty, te same, którymi po dziś dzień posługuję się, uprzedziłem pana K., że nie jestem jasnowidzem, co go

bardzo ujęło. Powiedział, że od kilku dni przeżywa wielkie zmartwienie. Poniósł dotkliwą stratę. Był w tej sprawie u wielu reklamujących się jasnowidzących, nawet u samej Sabiny Choromowicz, ale żadna z nich nie odgadła, co go trapi i nie dała wskazówki, jak tę stratę odzyskać. O mnie słyszał od znajomych wiele pochlebnych opinii i dlatego mimo rozczarowania jasnowidzami, przyszedł do mnie.

Byłem jeszcze wtedy taki młody, niedoświadczony i zielony, że zaryzykowałem postawić mu kabałę. Obecnie nie podjąłbym się tego, gdyż ludzie biegający od wróżki do wróżki to specjalny gatunek i z takimi lepiej nie zaczynać. Są oni podobni chorym z urojenia, co stale zmieniają lekarzy i godzinami wysiadują w przychodniach rejonowych.

To, co mu wyszło w kartach, było dla mnie tylko symbolem, ale nazwa tego symbolu zaszokowała pana K. Liczba 27 w moich kartach rozpatrywana obrazkowo daje wizerunek „psa”. Powiedziałem więc: „obok pana najbliżej w kartach jest pies”.

— Mój Boże — wykrzyknął pan K. — I pan twierdzi, że nie jest jasnowidzem. Jest nim pan, niech mnie kule biją. Właśnie o psa mi chodzi. Czy żyje? Gdzie jest ten biedaczek?

Okazało się, że pan K. jest namiętym psiarzem. Posiada aż dwanaście przepięknych, rasowych pekińczyków i jednego skradziono mu parę dni temu. Lata po wrózkach jak oszalały. I dopiero ja pierwszy nazwałem jego utrapienie po imieniu.

Jak siebie kocham, mówiąc o liczbie i symbolu „pies”, pojęcia nie miałem, że mu chodzi o psa z krwi i kości. Ale nadrabiając miną brnąłem dalej w tę „psią kabałę”.

Wyszedł ode mnie z przekonaniem, że jego ulubieniec żyje i że trzeba go szukać w pobliżu siebie. Jak później mi opowiadał, a powtarzał to i swoim znajomym, czyniąc mi niesłychaną reklamę, wpoił mi przekonanie, że pies musi być u kogoś z sąsiednich kamienic. Zaczął od tego, że dał 50 zł dozorczy ze swej kamienicy, a ten po pół godzinie przybył do niego z wiadomością, że pies znajduje się

po przeciwnej stronie ulicy u dozorczy. Pan K. w towarzystwie posterunkowego wpadł do dozorczy, a ten pod wpływem strachu pokazał im kryjówkę psa. Mieściła się ona w dość dużej piwnicy, zamienionej na masarnię. W masarni tej wyrabiano smaczną kielbasę „litewską”, dodając do niej psie i kocie mięso. Gdy tam wtargnęli, jego ulubieniec jeszcze żył.

Ta „psia kabała” zbliżyła mnie do człowieka, który, jak się okazało, posiadał również pewne właściwości parapsychologiczne.

Opowiedział mi, że kiedyś, jako młody oficer, wraz z przyjaciółmi, również oficerem, mieszkali w jednym pokoju i mieli wspólnego ordynansa. Chłopak ten był bardzo do nich przywiązany. Na nieszczęście, któregoś dnia, pod ich nieobecność, czyszcząc broń uległ śmiertelnemu wypadkowi. Po jego pogrzebie, mając już nowego ordynansa, zostali zaproszeni na seans spirytystyczny. Potraktowali to jako miłe spędzenie czasu i dla żartu pan K. polecił medium wezwać ducha nieżyjącego ordynansa. Po seansie, na którym nic ciekawego nie działo się, odwiedzili restaurację. Wypili tam parę kieliszków wódki i w dobrych humorach udali się na kwatere. Rano obudził ich dziki wrzask nowego ordynansa. Gdy poderwali się z łóżek, ujrzeni ordynansa zasłaniającego rękami głowę, którą z zapamiętaniem była szczotka do zamiatania podłogi. Po ucieczce ordynansa z pokoju szczotka uspokoiła się i stanęła w kącie. Następnie otwarła się szafa i wypłynęła z niej szczotka do butów. Ujrzeni, jak but unosi się do góry i jak szczotka go dokładnie pucuje.

Od tego poranka w pokoju ich działały się same niesamowitości. Ordynans nie mógł przekroczyć nawet progu, gdyż, jak tylko się zjawił we drzwiach, szczotka natychmiast podrywała się z kąta i waliła go po łbie. Za to ich buty, ubiór, broń i całe pomieszczenie było utrzymane w idealnym porządku.

Opowieść ta była tak fantastyczna i nieprawdopodobna, że i teraz, kiedy o tym wspominam, odnoszę wrażenie, że pan

K. błagował na sto dwa. Byłem jednak w jego domu świadkiem dwóch makabrycznych zdarzeń.

Podczas oblężenia Warszawy w 1939 r. mieszkałem przy ul. Kruczej, a więc bardzo blisko domu, w którym mieszkał pan K. Zajmował trzypokojowe mieszkanie w lewej oficynie, na drugim piętrze w amfiladzie. Okna jego mieszkania wychodziły na ciemne jak dno studni podwórko. Mieszkał wraz z matką, staruszką głuchą jak pień, z żoną, kobietą niezwyklej urody, oraz dwunastoma pekińczykami. Mieli również służącą. Była to młoda, układna i bardzo wścibska Niemka.

Matka pana K. była prawosławną. Ponieważ pan K., zeniąc się powtórnie z katoliczką, przyjął jej wyznanie i bardzo zaprzyjaźnił się z księdzem prałatem Pełką, znanym liberałem i doskonałym szachistą, starsza pani stale, gdy ich odwiedzał, wzywała go na świadka, że syn w razie jej śmierci musi pochować ją na cmentarzu dla prawosławnych, a do tego w asyście batuszki.

— Jeśli tego nie uczyni — zapewniała — wyskoczę z trumny.

Ksiądz prałat solennie ją zapewniał, że dopilnuje, by syn, jeśli ją Pan Bóg powoła do swojej chwały, pochował ją zgodnie z jej wolą.

Mieszkanie było ciemne. Starsza pani siadywała w fotelu ustawionym w środkowym pokoju nie opodal okna i godzinami czytała Pismo Święte. Będąc głuchą, nie reagowała na żadne zjawiska dźwiękowe.

Gdy wybuchła wojna, a najeźdźca dotarł do Warszawy, a następnie ją oblegać, K. chciał matkę usadowić inaczej, a przede wszystkim z dala od okna. Nie zgodziła się na to, twierdząc, że nie zginie. W miarę przybierania na sile ataków niemieckich na miasto, gdy co chwila dom drżał od wybuchów bomb lotniczych i salw artyleryjskich, gdy coraz niespokojniej piszczały psy, a pan K, co chwila był wzywany do gaszenia pożarów, odporność psychiczna malała,

widok starszej pani siedzącej na wprost okna i spokojnie czytającej wielką księgę był jak balsam kojący rany.

Starsza pani wiedziała, że Warszawa jest oblężona, więc

od czasu do czasu pytała domowników:

—Strzelają?

—Strzelają — pisano jej na kartce papieru.

—Niech sobie strzelają — odpowiadała i dalej pograżała się w lekturze.

25 września, w dniu najtragiczniejszym dla Warszawy, o godzinie 11 naloty niemieckie objęły i naszą dzielnicę. Bomby burzące, a zwłaszcza zapalające, sypały się jak grad. Jedna wielka bomba burząca spadła na sam środek skrzyżowania ul. Kruczej i Wilczej. Byłem wtedy o jakie 20 metrów od wybuchu. A kiedy przerażony wyskoczyłem z bramy domu, w którym skryłem się na chwilę, i pognałem Wilczą w stronę Mokotowskiej, bomba zapalająca spadła mi na ramię, a potem stoczyła się pod same nogi. Nie zapaliła się. Odruchowo schyliłem się, żeby ją podnieść, ale w tym momencie ktoś mnie szarpnął do tyłu i wciągnął do pobliskiej bramy. Była to brama domu, w którym mieszkał pan K. On to mnie właśnie wciągnął do bramy.

—Masz szczęście, że się nie zapaliła. Zobacz, jak to wygląda.

Stanęliśmy w otwartej bramie. Na wprost nas, po przeciwnej stronie ulicy, na poręczy balkonu drugiego piętra paliła się taka właśnie bomba, rozpryskując wokół siebie blade języki ognia, które przylegały do metalu i rozżarzały go do czerwoności.

Nie śniłem nawet wtedy, że za kilka lat, na widok o wiele straszniejszych bomb zapalających, zamknięty na trzecim piętrze wraz z innymi straceńcami, będę się cieszył, że taka ich ilość spada na tych, co tę wojnę rozpętali.

Na drżących po przebytych wrażeniach nogach, kuchennymi schodami, wszedłem w ślad za panem K. na drugie piętro do jego mieszkania. Gdyśmy weszli do kuchni, do naszych uszu doleciał szum, ujrzelśmy błysk oświetlający okna, a potem huk. Dom zadrżał, a z sufitu posypał się tynk. Pan K. rzucił się w stronę jadalni, gdzie zwykle przed oknem siedziała starsza pani. Ale nie ujrzał jej na tym miejscu. Zamiast niej z fotela zwisała nieżyjąca już panna służąca, z ziejącą raną na plecach. Natomiast starsza pani

sza żywo w naszą stronę prowadząc od drzwi frontowych dwóch młodych wojskowych. — Usłyszałam dzwonek — powiedziała na nasz widok — więc poszłam otworzyć i patrzcie, prowadzę wam dwóch żołnierzyków.

Była bardzo z siebie zadowolona. Ale gdy ujrzała zwłoki dziewczyny w swoim fotelu, umilkła nagle, potem przeżegnała się trzykrotnie.

— Tak jej widać było sądzone.

W parę tygodni po upadku Warszawy starsza pani zmarła. Pan K. zdobył trochę desek i zbiliśmy z nich trumnę. Było to raczej koryto, ale w tych warunkach i to można było uznać za luksus. Zarówno w czasie oblężenia, jak i później, zmarłych grzebano na placach i skwerach. Pan K. wraz z księdzem prałatem Pełką postanowili przewieźć zwłoki starszej pani na cmentarz Powązkowski, gdzie ksiądz prałat zdobył dla niej kwaterę.

Ułożyliśmy starszą panią w tym korycie, a obok niej Pismo Święte, z którym od kilku lat nie rozstawała się. Gwoździ zabrakło, więc trumnę obwiązaliśmy byle jak sztukowanym sznurkiem.

Ksiądz prałat zmówił krótką modlitwę, dwóch grabarzy uniosło trumnę do góry ustawiając ją na swoich barkach, jak to drwale czynią z kłodą drzewa, co ją ukraść z lasu pragną, i kondukt przekroczył próg mieszkania. O ile pamiętam, pierwszy szedł ksiądz prałat, którego oblężenie nie odchudziło, a za nim pan K. z żoną, następnie grabarze, a na końcu ja. Próg przeszliśmy szczęśliwie. Bez przygód zeszlśmy trzy stopnie w dół zbliżając się do półpiętra. I wtedy nastąpiło to najgorsze. Któryś z grabarzy potknął się. Trumna zachwiała się na ich ramionach, a potem z hukiem spadła na stopnie klatki schodowej. Sznurek rozrwał się, wieku trumny odpadło. Pismo Święte potoczyło się w dół, a tuż za nim przeokożółkowała starsza pani, podbijając nogi bardzo tęgiemu księdzu prałatowi. Pod tym uderzeniem nieszczęsny duszpasterz jęknął rozdzierającym głosem i legł plackiem na półpiętrze, a czcigodne zwłoki starszej pani w malowniczej pozie spoczęły na nim. Pan K.

z żoną stali oniemiały, tuląc się bojaźliwie do ściany klatki schodowej.

O dalszych losach czcigodnych zwłok starszej pani, która jednak zmusiła syna i księdza prałata do dotrzymania słowa, należy z szacunkiem dla niej powiedzieć, że były one normalne. A więc takie, jak sobie życzyła przed śmiercią. Pochowano ją na cmentarzu prawosławnym na Woli i w asyście batiuszki.

20

W przyrodzie jest wiele zjawisk dziwnych, niekiedy trudnych do wytłumaczenia, a więc cudownych. Zostaną jednak one rozwiązane i oddane na zły lub dobry użytek człowieka. Czy jasnowidzenia niektórych ludzi należą do zjawisk cudownych czy zwykłych — myślę, że nieprędko zostanie to rozwiązane. Że jednak są ludzie o niezwykłych uzdolnieniach, o tym nikt nie wątpi.

Dlaczego jednak mnie los pchnął na drogę graniczącą z cudownością i miernością, nie wiem i chyba nigdy się nie dowiem.

Jesienią 1937 r. cierpiałem na nerki. Tego dnia, kiedy panna Emma, służąca pana Magida, wprowadziła do mego pokoju te dwie młode niewiasty, leżałem w łóżku, silnie gorączkując. O tym, żebym wstał z łóżka i postawił im karty, nie mogło być mowy. Mogłcm najwyżej powróżyc im z dłoni.

Ale nawet tego nie chciałem uczynić. Tłumaczyłem im, że źle się czuję. Je mam podwyJs/oiu) temperaturę i przede wszystkim, że nie mam nastroju. One jednak uparcie, zwłaszcza nieco starsza, błagały mnie na wszystkie świętości, abym im wyświadczył tę łaskę.

—Jestem w strasznej sytuacji — błagała — i tylko w panu moja jedyna nadzieja. Błagam, niech mi pan pomoże.

Poprosiłem ją, aby postawiła krzesło obok łóżka i usiadła na nim. Tej młodszej kazałem usiąść na tapczanie, bo więcej krzeseł nie miałem.

Pozostając w pozycji na wpół leżącej wziąłem ją za rękę.

Była ciepła, wypielegnowana i miła w dotyku. A to jest bardzo ważne. Przymknąłem oczy. Leżałem chwilę, jak mnie później zapewniały, zachowując pogodny wyraz twarzy, ale w pewnym momencie twarz moja pobladła, czoło zmarszczyło się i pokazały się na nim kropelki potu. Nie otwierając oczu powiedziałem:

—Pani mąż w tej chwili umiera. To samobójstwo. Pokój w hotelu. Kazali mu to uczynić. Nic więcej nie powiem. Dajcie mi spokój.

Niewiasta z okrzykiem przerażenia wyrwała dłoń z mojej ręki. Nim zdążyłem otworzyć oczy, już ich nie było w pokoju.

Panna Emma powiedziała mi później, że owe biedne niewiasty uciekały, jakby je sam demon gonił.

Naturalnie „honorarium” nie uiszczyły.

Pani owa odwiedziła mnie w dwa tygodnie później. Była w czerni. Powiedziała:

—Kiedy pan mówił: „Pani mąż w tej chwili umiera”, spojrzałam odruchowo na zegarek. Była dokładnie godzina 18. O tej godzinie, w jednym z pokoi hotelowych we Lwowie usłyszano wystrzał. Gdy tam wbiegli, na środku pokoju z przestrzeloną skronią leżał młody oficer. To był mój mąż. Polecono mu to uczynić, gdyż, jak się dowiedziałam, podejrzewano go o szpiegostwo na rzecz Niemców. Ale ja w to nie wierzę. Zapłacę panu, ile tylko pan zażąda, ale niech mi pan powie prawdę: był mój mąż szpiegiem czy nie?

Rozłożyłem karty i zapewniłem ją, że mąż jej padł ofiarą mistyfikacji. Mówiąc to nie wiedziałem, czy mówię prawdę. A zresztą, co to jest prawda?

21

W 1937 r. pan kapitan G. powiedział mi, że jesteśmy obaj zaproszeni do pensjonatu przy ul. Widok. Właścicielką tego schronienia dla samotnych panien, jak się wyraził, jest wdowa z trzema córkami. Pensjonariuszek ma sześć. Razem dziesięć kobiet i jeden mężczyzna. Mąż najstarszej córki. „Dziewczyny” nie brał pod uwagę. Mieliśmy

tam, ja jako medium, a on jako mój guru, zdemaskować złodzieja. Zginęła cenna kolia należąca do najstarszej córki.

W pierwszym porywie pani domu powiadomiła o tym policję. Ci, po przeprowadzeniu przesłuchania, doszli do wniosku, że kradzieży dokonała jedna z mieszkanek pensjonatu, ale z braku dowodów sprawę umorzono. Stroskana mama udała się do pana Ossowieckiego. Pan Stefan na podstawie opakowania, w którym przechowywano ten klejnot, orzekł, że kradzieży dokonała „dziewczyna”. Klejnot ukryła w poduszce. Sprawa była tak oczywista, że dla „mamusia” nie ulegało wątpliwości, kto jest złodziejem. Zadowolona z seansu, jak na skrzydłach anielskich wróciła do pensjonatu.

Tego samego dnia po kolacji, gdy wszyscy byli zgromadzeni przy stole biesiadnym, zawołała „palawer” i ogłosiła rewelację kochanego pana Stefana. Zgromadzeni przyklasnęli temu odkryciu i postanowili działać bezzwłocznie i energicznie. Wezwano „dziewczynę”, zresztą dość sympatycznego garnkotłuka, i kategorycznie zażądano od niej zwrotu przywłaszczonej kolii. Jeśli dobrowolnie nie odda, wiedzą, gdzie ją ukryła. Odnajdą i biada jej. Nie wyjdzie z kryminału. Już oni się o to postarają. A jeśli odda po dobroci, zbiją jej tylko głowę i wyrzucą z pracy.

Dziewczyna w ryk. Uklękła przed nimi jak przed katami i nuże błagać o litość. Nie ukradła. Na oczy jej nie widziała.

—Ha, niegodziwa dziewczko — zdenerwowała się mamusia.

— Nie dajesz po dobroci, to my ci pokażemy.

—Pokażemy ci! — zakrzyknęli dziko pozostali i zabrali się do dzieła. Więc najpierw zaciągnęli ją do kuchni, wrywając nieco włosów z głowy, gdyż ciągnęli ją za włosy. Tam kazali jej uklęknąć. Uczyniła to bez szemrania.

—Mów — zawył zięć strasznym głosem. A gdy ta milczała, dodał: — Wszystko wiemy. Zaraz ci pokażemy, gdzie ją ukryłaś. I biada ci. Tnij, mama, poduszkę.

Mama schwyciła nóż i rozpruła poduszkę. Rzucili się na tę poduszkę jak harpie i nuże ją patroszyć. Frunęły

obficie pierza. Kuchnia w mig uczyniła się biała, jakby ją śnieżycza zawiąła. Ale kolii nie było.

—Pruj, mama, jasiek.

A gdy to nie pomogło, zięć zdecydował:

—Pruj, mama, pierzynę.

Popruli pierzynę. Klejnotu nie było. Za to wszyscy wyglądali jak bałwany. A służąca tonęła w tych pierzach, wciąż klęcząc z wtuloną w ramiona głową.

—To spryciara! — zawołała któraś z pensjonariuszek. — Na pewno schowała w którejś z naszych poduszek, żeby rzucić na innych podejrzenie. — A gdy służąca nic na to nie odpowiedziała, w nich jakby szatan wstąpił. Biegali z pokoju do pokoju i w dzikim szale pruli. A kiedy rozpruli dwanaście jaśków, dwanaście poduszek i dwanaście pierzyn, sąsiedzi narobili wrzasku i wezwali straż pożarną. Wtedy dziewczyna załamała się. Dostała ataku hysterii i nim się spostrzegli, wypila pół litra octu. Musieli wezwać pogotowie i odwieźć ją do szpitala. Sprawa nabrała posmaku skandalu. Żeby to jakoś zatuszować, przeprosili dziewczynę, która dalej u nich pracowała.

Ale kochana mamusia nie dała się tak łatwo przekonać o niewinności dziewczyny.

„Ta podła złodziejka — myślała — na pewno schowała klejnot w poduszce, tylko nie u nas, a u którejś z przyjaciółek. Stefcio nie kłamał. Ale jak na tę poduszkę trafić?”

I wtedy diabli mnie tam nadali.

Kochana mamusia, jakimś znanym jej tylko sposobem, dotarła do kapitana G. i tak go omotała, że ten po prostu zmusił mnie do udania się do tego pensjonatu, nie zdradzając mi celu tych odwiedzin. Powiedział zdawkowo, że jest tam ponad dziesięć osób, którym będę wróżył. ,

Gdyśmy w oznaczonym dniu tam przybyli, wszyscy mieszkańcy pensjonatu z zięciem na czele, chłopem o aparycji boksera ciężkiej wagi tudzież gębie rzeźnika z Chicago, przyjęli nas, jakbyśmy byli co najmniej cudotwórcami. Tylko niegodziwa dziewczyna drżała ze strachu, spodziewając się nowych tortur. Po wstępnych pertraktacjach ustaliliśmy, że

nie będziemy urządzali seansu spirytystycznego, a po prostu usiądę w drugim pokoju i będę im czytał po kolei z ręki. Albowiem, jak dowodziliśmy, na dłoni wszystko Allah zapisał.

— Mustafa — zachwalał kapitan — jest geniuszem. Wszystko wie i wszystko powie.

„Niech cię diabli porwą” — pomyślałem idąc do drugiego pokoju. Pierwszym do czytania był zięć. Odchodząc, powiedział, że czytałem owszem, niezgorzej, ale nie na temat. On chciał wiedzieć, kto skradł koleję, a ja powiedziałem, że nim upłynie rok, rozejdzie się z żoną i to z jej winy. Następną była kochana mamusia. Ta nie dała sobie czytać. Po prostu żądała ode mnie, żebym zmusił służącą, aby zdradziła mi, gdzie schowała ten klejnot. Żądała zastosowania hipnozy, czarów i diabli wiedzą czego jeszcze. Wywijiałem się jak piskorz. Kiedy wreszcie dała mi spokój, odsapnąłem nieco. Ale już strach zaczął mnie ogarniać, że wpadłem w coś nieczystego. Po niej przyszły jeszcze dwie babki. Nic nie odkryłem na ich dłoniach. Stawałem się zły i zdenerwowany. I wtedy wkroczyła niewiasta, na widok której coś we mnie zadrgało.

Było to bardzo dziwne uczucie. Nie mogłem go sprecyzować. Szybko wziąłem ją za rękę i zacząłem pilnie wpatrywać się w sieć linii na dłoni. Ręka jej lekko drżała. A potem zaczęła się pokrywać drobnymi kropelkami potu. Zrobiło mi się zimno w okolicy pępka. Później przeczytałem, że gdzieś tam mieści się splot słoneczny.

Machinalnie zapytałem:

—Gdzie pani była, jak ta kolia zginęła?

—W lombardzie — odpowiedziała szybko i urwała. Szarpnęła rękę i wybiegła z pokoju.

Nie zdążyłem jeszcze ochłonąć po jej dziwnej reakcji, jak drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i cała zgraja mieszanek tego domu wpadła krzycząc:

—Taki łobuz! Co ty sobie myślisz! Wyrzucić go!

A najgłośniej wrzeszczał zięć.

—Jak śmiesz oskarżać moją żonę! Nie mogła sama sobie ukraść kolii! Ja ci pokażę!

Wstałem. Chciałem coś powiedzieć, ale mi nie dali dojść

do słowa. Kapitanowi, który chciał przyjść w sukurs, również zaczęli urągać.

—Oszusta nam pan przyprowadził. Ale my go... — Zięć zacisnął pięści i zaczął zbliżać się do mnie z niedwuznacznym zamiarem sprawienia mi takiego lania, że aż hej.

—Mruczusiu! — zawołała wtedy jego żona — nie bij go. Daj mu tylko kopa w zadek, żeby zęby na schodach pozbiarał.

Ja jednak nie czekałem na to. Porwałem się jak osaczony odnieniec i dałem nura na klatkę schodową. Za mną biegł kapitan G., potrząsając tłustym brzuchem.

W dwa miesiące później ujrzałem zięcia ponownie. Przyszedł do mnie. Nie był bojowo nastrojony. Odwrotnie, był całkowicie załamany.

—Przyszedłem pana przeprosić— i jednocześnie uregulować dług.

—Czy w postaci tego „kopa w zadek”? — zapytałem.

Położył na stole dwadzieścia złotych. W owych czasach było to bardzo wysokie honorarium. Popatrzyłem na te pieniądze, a potrzebowałem ich bardzo, ale nie tknąłem.

—Niech pan nie odmawia — prosił. — Jest to skromne zadośćuczynienie, ale na razie nie mogę więcej panu zapłacić.

—Zapłata dla mnie — powiedziałem — jest fakt, że pan mnie odwiedził. Na pewno czuje się pan upokorzony? A upokorzenie bardzo boli. Czy mogę żądać więcej?

—O, bardzo boli. Ale równocześnie jestem panu wdzięczny. Jestem w trakcie przygotowywania sprawy rozwodowej. Tak jak pan wyczytał z ręki. Wykrył pan również, że kradzieży nie dokonała służąca. To moja żona zastawiła klejnot w lombardzie, a pieniądze dała swemu kochankowi. Kwit z lombardu miała żona. Któregoś dnia wypadł jej z torebki i ja go znalazłem. A reszty już się pan domyśla.

Rozstaliśmy się w wielkiej zgodzie. Pieniędzy nie wziąłem. Ale jednocześnie przyrzekłem sobie wtedy, że nie będę mieszał się do spraw kradzieży. Słowa dotrzymałem z jednym tylko wyjątkiem. Ale w tym przypadku złodziejem nie był człowiek.

Poznałem go w 1937 r. Miał wtedy 37 lat. Był żonaty. Wydawało mi się, że jest to bardzo dobre stadło. Jego żona Wanda, starsza od niego o kilka lat, uważała go za ósmy cud świata. Pan Eugeniusz pracował w jednej z kolektur loterii państwowej. Zarabiał stosunkowo nieźle, oddając cały zarobek żonie, która komasując go ze swoją pensją, oszczędnie prowadziła dom i wychowywała troje dzieci ze swego pierwszego małżeństwa. Mieszkali dość wygodnie na Powiślu, niedaleko obecnej fabryki cukrów „Syreny”. Byłem u nich kilka razy na obiedzie, a potem udzielałem korepetycji jego pasierbicy. Poznałem go kupując los loteryjny. Los nie wypalił, ale znajomość z nim wyszła mi na dobre.

Pan Eugeniusz interesował się okultyzmem i parapsychologią, tak jak interesują się laicy, szukając w tym nie wiedzieć czego. Był częstym uczestnikiem różnego rodzaju seansów i znał prawie wszystkie wróżki, czarodziejki i czarownice stolicy. To on mnie wtajemniczył w zwyczaje szumnie ogłaszającej się jako „jedyna wróżka Pryma” działająca przy ul. Chmielnej. Twierdziła ona, że jest jedyną znawczynią systemu wróżenia z fusów kawy, choć tajemnice kuli też nie są jej obce. Za seans brała 10 zł. Kwota, jak na owe czasy, bardzo duża. W życiu codziennym, poza normalną skłonnością do zaglądania do kieliszka, czarodziejka Pryma urządziła dla swych wielbicieli, podobnie jak król Stasio, wieczory czwartkowe, gdzie zamiast słuchania wierszy Trembeckiego, pito na umór zdrowie kryształowej kuli. Na wieczory te niekiedy zapraszała i to z dobrym skutkiem duchy: Aleksandra, Hannibala,, Cezara, Kleopatry czy Napoleona I.

Nie wiem, jakich sposobów użył pan Eugeniusz, ale pewnego czwartkowego wieczoru i ja znalazłem się w tym doborowym towarzystwie, naturalnie w jego asyście. Ziemia wtedy dobiegała dwudziestego szóstego obrotu wokół słońca od

chwili mego pojawienia się na niej, a słońce było w znaku Wagi. Od trzech lat byłem już na ścieżce jasnowidzów i w swej naiwności zaproszenie to potraktowałem jako szczególne wyróżnienie. Szedłem tam, jakbym kroczył na dwór co najmniej królowej Saby. Przyjęto mnie z wyrozumiałą pobłażliwością, patrząc z politowaniem na mój więcej niż skromny ubiór. Wprawdzie pan Eugeniusz przedstawił mnie jako potomka chanów tatarskich, ale zdaje mi się, że to niewiele dodało mi splendoru w ich oczach. Uważali mnie po prostu za początkującego oszusta, który im w tej sztuce nigdy nie dorówna.

Sądzę, że jednak nieco im zaimponował koméntarz pana Eugeniusza na temat mojej znajomości czarnej magii, w której arkaną wtajemniczył mnie sam Lama Siedmiokroć Mądry. Toteż gdy wypito parę toastów za zdrowie kryształowej kuli, pani Pryma zaproponowała, abym popisał się przed tak znakomitym audytorium swoimi umiejętnościami. Wódka mi zaszumiła w głowie, więc odważnie zażądałem, aby pogasili światła, zostawiając tylko lampkę nocną, żeby nie siedzieć w całkowitej ciemności. Gdy to uczynili, usiadłem na krześle ustawionym na samym środku pokoju i powiedziałem :

—Kto ma odwagę stanąć za mną, położyć dłoń na mojej głowie, niech to zrobi, a dowie się prawdy o sobie.

Długi czas panowała cisza. Czekałem.

—Nie ma odważnych — zadrwiła pani Pryma. — Ja zaryzykuję. Nie ma takiego maga, który by mi dorównał. — Wypiła duszkiem jeszcze jeden kieliszek wódki. Stała sapiąc za mną i położyła mi ciężką rękę na głowie, jednocześnie lubieżnie przylegając biustem do mych pleców. Zrobiło mi się mdło z obrzydzenia. Strasznie cuchnęła potem. Siedziałem mimo to spokojnie z przymkniętymi oczami. Nie wiem, jak długo to trwało? Nie spałem. Nawet nic nie myślałem. Ot, siedziałem sobie. I w pewnym momencie usłyszałem głos. Głos, ten wydobywał się z mego gardła. Nie z ust. Był głuchy, zachrypnięty, nieskładny i brzmiał tak nieprzyjemnie, że do dziś czuję obrzydzenie:

—Antonino.

—Ach! — usłyszałem pisk pani Prymy i jeszcze kilku niewiast.

A głos dalej płynął z mego gardła:

—To ja, twój mąż, Józef. '

—Jezus, Maria! — wrzasnęła pani Pryma i chciała odsunąć się ode mnie. Ale ja wtedy, diabli wiedzą dlaczego, szybko podniosłem ramiona do góry i zarzuciłem jej na szyję przyciągając silnie do siebie, a głos płynął dalej:

—Rzuć tego drania Bronka. On cię na każdym kroku zdradza. Łajdaczy się z każdą dziewczką za twoje pieniądze.

—Precz! — wyła pani Pryma. — Puść mnie.

A ja jeszcze silniej przyciągnąłem ją do swoich pleców i belkotałem:

—Miałaś mi postawić nagrobek, ty k... Uduśzę cię.

I zdaje mi się, że zacząłem ją dusić. Siłą oderwano ją ode mnie. Zapalono światła. Co się tam później działo, wołę nie pisać. Gdyśmy zasapani z umęczenia srogiego stanęli na rogu Marszałkowskiej, a „drań Bronek” zaprzestał pogoni, pan Eugeniusz zapytał:

—Skąd pan wiedział, że jej mąż nazywał się Józef, a ona Antonina?

—A cholera wie skąd.

—On umierając żądał nagrobka. Dziwne, dziwne. To z pana medium...

Rzeczywiście dziwne. Dziś, gdy o tym wspomnę, wydaje mi się to fantazją.

Po rozmowie doszliśmy do wniosku, że o tym przypadku lepiej nikomu nie mówić. I jeszcze ustaliliśmy, że jeśli pan Eugeniusz gdziekolwiek ze sobą zabierze mnie na jakiś seans, to nie zdradzi, że zajmuję się wróżeniem.

W kilka miesięcy później pan Eugeniusz zabrał mnie ze sobą na ulicę Karową. Gdy tam przybyliśmy i za niewielką opłatą zajęliśmy miejsca dla widzów, zastaliśmy sporą liczbę osób z niecierpliwością oczekujących na rozpoczęcie seansu. Z programu dowiedzieliśmy się, że widowisko będzie nie lada. Na pierwszy ogień miał iść niejaki Wołoszczuk, na-

zwany przez pana mecenasa Wotowskiego „fenomenem naszych czasów”. Więc kiedy wszedł na podium, tylko w przepasce na biodrach, z wyglądu zewnętrznego raczej mierny, widownia wydała pomruk niezadowolenia i rozczarowania. Na to tylko czekał autor „Magii i czarów” pan mecenas Wotowski. Stał obok obiektu niezadowolenia i gromkim głosem obwieścił:

—Oto widzą państwo człowieka, z wyglądu zewnętrznego niepozornego i wydającego się słabym fizycznie. Ale w nim tkwią wielkie moce. Pod wpływem siły ducha, wprowadzając się w trans, pokona wszystkich Garkowienków i Stekerów razem wziętych. Gdy wyciągnie rękę w stronę metalu, ten jak do magnesu będzie do niej leciał. Gdy przyłoży platerową tacę do policzka, to przylgnie do niego jak małża do swej muszli i oderwać jej nie będzie łatwo.

Na widowni ktoś zagwizdał. Ktoś wrzasnął: „lipa!”, a reszta tupiała niecierpliwie. Pan Wołoszczuk stał tymczasem spokojnie, oddychając miarowo. A pan Wotowski grzmiał dalej:

—Oto nasz mistrz oddycha głęboko, tak głęboko, jak go uczyli jogowie, u których studiował przez wiele lat, ukryty w niedostępnych wąwozach Himalajów. Wyrzekł się on wszelkich uciech świata tego. Żył w srogim celibacie i pił tylko kozie mleko.

—Kozie mleko, kozie mleko — szemrała widownia pełna podziwu, tylko nie wiadomo, czy dla mecenasa Wotowskiego, czy Wołoszczuka, czy koziego mleka?

—Jest to zdumiewający napój — piał mecenas. — Leczy gruźlicę, daje siłę ducha i rozwija właściwości magiczne...

—A czy leczy łysinę?

—A piegi czy usuwa?

Pan mecenas udał, że nie słyszy tego.

—Czy pan już gotów? — zwrócił się do Wołoszczuka. Ten powiedział, że tak. — Więc zaczynamy. Kto stanie do walki z tym panem? — Widownia milczała. — Widzę, że tchórz was obleciał — zadrwił pan mecenas.

Na taką zniewagę widownia nie mogła pozwolić. Zaraz

się poderwał chłop jak dąb i wbiegł na podium. Gdy stanął przed Wołoszczukiem, wyglądał jak Benito przy Emanuelu. Wyciągnął do niego ręce jak młyńskie koła, chcąc prawdopodobnie schwycić go za kołnierz i porządnie potrząsnąć, ale zanim to uczynił, Wołoszczuk ruchem jak błyskawica uchwycił te ręce w swoje małe dłonie. Usłyszeliśmy straszny krzyk wielkoluda, a potem ujrzelśmy, jak pokornie klęka przed „wymoczkim”, bije kornie czołem o deski podium. Gdy to uczynił, Wołoszczuk delikatnie podniósł go z kłęczek.

—Wracaj, biedaku, na swoje miejsce — powiedział, a ten jak zbity pies zszedł z podium, przeszedł salę i znikł za drzwiami.

Widownia zamarła z podziwu. A potem zobaczyliśmy, jak różnej wielkości przedmioty metalowe podskakują do góry w stronę rozpostartych nad nimi dłoni ucznia jogów. A gdy taca platerowa przyłgnęła do jego policzka i ani rusz nie można jęj było oderwać, widownia przyjęła to jako cud nadzwyczajny. Pan mecenas tryumfował.

Część druga pokazu, polegająca na odgadnięciu za pomocą telepatii, co kryje się w zalakowanej kopercie nadesłanej z Gdyni, dla mnie, jako początkującego jasnowidza, była bardziej atrakcyjna, więc z wielką niecierpliwością czekałem, kiedy się zacznie ten popis.

Prelekcję do tej części wygłosił mały wzrostem, ale za to wielki czupryną i brodą pan Prosper, prezes Towarzystwa „Meta”. Mówił on wielce uczenie na temat parapsychologii i sił niezbadanych tkwiących w człowieku. Dawał przykłady i sposoby ich wyzwolenia i wreszcie podkreślił, że do zawodów o palmę pierwszeństwa w jasnowidzeniu stanęły takie sławy, jak: Sabira Choromowicz, Wiklińska, medium prof. Pawłowa, znana pod imieniem Stasia, Pary-Banu, Jasnosłyszająca z ul. Miedzianej i wiele, wiele innych. Podkreślił, że wśród widzów znajduje się również wielu znawców Wiedzy Tajemnej. Wystarczy tylko wymienić znakomitego pana Łączyńskiego, mistrza i fakira w jednej osobie, żeby zrozumieć, jaką rangę zjawiskom parapsychoicznym nadaje społeczeństwo Stolicy. I nie tylko Stolicy.

Słuchałem wniebowzięty. Tyle znakomitości na tak skromnej sali. O bogowie, bogowie! A gdy padło wielkie imię prof. Saida Foady, myślałem, że zemdleję z wrażenia. Niestety pan Eugeniusz sprowadził mnie z obłoków. Zaczął jak szatan szeptać mi do ucha:

—Said Foady odkupił od córki Szyllera-Szkolnika praktykę astrologa. Zanim to nastąpiło, popisywał się, pod imieniem „Klu-Klu”, na arenach cyrkowych jako znakomity połykacz żab. Medium prof. Pawłowa, ta gruba pani Stasia, zanim odkryła w sobie dar prorokowania, pracowała w podrzędnej knajpie w Łodzi jako pomoc kuchenna. Ona to pod kierunkiem, głuchego jak pień, mecenasa Krzemienieckiego w czasie seansu spirytystycznego, urządzonego u znakomitego internisty, nawiązała kontakt z duchem dziadka tego lekarza. A dziadek ten zażądał od wnuka, aby w pokoju stołowym nad drzwiami wisiał zawsze kawałek krwistego befsztyka wołowego, a na stole stała czaraka krwi wieprzowej. Jeśli tego nie będzie, dziadzio nie dostanie się do rajku.

Posłuszny wnuk, aby dogodzić dziadkowi i przyczynić się do otwarcia mu bram rajku, przez parę lat zawieszał nad drzwiami krwistą wołowinę i stawiał czarękę krwi wieprzowej na stole, zwłaszcza w czasie posiłków lub uroczystych przyjęć. To nadało całemu mieszkaniu swoisty urok trupiarni, dokąd w upalne letnie dni zlatywały się roje much różnej wielkości i maści.

W miarę słuchania pana Eugeniusza zacząłem pojmować, co to jest okultystyczne rozdwojenie jaźni. Albowiem słysząc ten dwugłos, przeżywałem na przemian to zachwyt, że znalazłem się wśród tak wielkich ludzi, to obrzydzenie, że obcuje z szarlatanami...

Niestety ten popis jasnowidzek nie udał się. Jakiś niedowiarek, a może konkurent, kiedy wręczono nagrodę za trafne „odczucie”, co zawiera paczka nadana w Gdyni, podał jurorom zalakowaną kopertę. Koperta została przyjęta, otwarta, a kartka w niej tkwiąca odczytana ku uciesze publiczności. Wynikało z jej treści, że zwycięzczyni kon-

kursu pod nazwą „Jasnowidz z Bożej Łaski” sama sporządziła tę paczkę, która przez znajomego mieszkającego w Gdyni została nadana do Warszawy.

Co się tam później działo, nie wiem. Pan Eugeniusz porwał mnie za rękę i szybko wyprowadził z sali. Od tego czasu upłynęło już ponad 33 lata. Sądzę, że wielu uczestników owego konkursu zażywa już nirwany, młode zaś po-

kolenie, gdyby te wspomnienia do niego dotarły, uznałyby mnie za starego nudziarza i kłamcę. No cóż, czasy się zmieniają. Ale człowiek tak szybko się nie zmienia.

W 1969 r. dr med. S., znakomitość w swoim zawodzie, zaprosił mnie do K. Nabył tam dom i chciał uzyskać moją opinię, jako człowieka „wyczulonego na fluidy”, czy w domu t; m będzie mógł mieszkać spokojnie, nie napastowany przez złe „astrale”. Przy tej sposobności powiedział mi, że kilka dni temu przeżył dość osobliwy moment. Dnia tego, a była to sobota, siedział późnym popołudniem w fotelu w swoim gabinecie w Warszawie. Sprawdzał zapiski w katalogu. Posiada bowiem wspaniałą księgozbiór, zarówno z zakresu nauk oficjalnych, jak i nauk tajemnych, zwłaszcza z zakresu astrologii. W gabinecie było jeszcze dość widno, więc nie zapalił światła. Czuł się wypoczęty i rześki. W pewnym momencie podniósł głowę znad katalogu i odruchowo spojrzął przed siebie w róg gabinetu. Zdziwił się niezmiernie. W rogu tym stał mężczyzna. Był bardzo wysoki i ubrany tak jakoś dziwnie, że nawet nie można tego określić. Włosy miał jasne jak len, długie, faliste. Stał ze skrzyżowanymi rękami na piersiach. Jakiś czas przypatrywali się sobie nawzajem, a potem gość powiedział:

—Ile pan ma książek. I wszystkie je pan przeczytał? I czy znalazł pan w nich coś ciekawego?

—Nie wszystkie przeczytałem, ale mam nadzieję, że zanim umrę, zdążę je przeczytać — odpowiedział doktor.

—Ma pan nadzieję? To dobrze. Chciałbym i ja je przejrzeć, więc jeśli pan pozwoli, to w stosownej chwili zjawię się u pana.

—Ale kim pan jest? — chciał zapytać doktor, lecz zanim ta myśl została przeobrażona w słowa, w gabinecie nie

było nikogo.

Doktor pokiwał głową. Pokiwałem i ja, myśląc jednocześnie, że jeśli się wkracza w ósmy krzyżyk, to skleroza

mózgu może spłatać wiele figli. Takie zwidy u starych ludzi, to rzecz normalna. Czasem jednak stają się one niebezpieczne. A pan doktor mówił dalej:

—Następnego dnia odwiedziła mnie pani Tamara. Słyszał pan o niej?

Powiedziałem, że nie.

—Mieszka stale w Krakowie. Od czasu do czasu odwiedza Warszawę. W pewnych kołach słynie ona jako wybitna „wizjonerka”. Potrafi, tak mnie zapewniano, odgadnąć, w jakiej epoce żył ten, z kim ona rozmawia.

Pomyślałem sobie, że na pewno każda z jej wielbicielek dowiaduje się, że była kiedyś Kleopatram, Królową Sabą lub co najmniej Heleną, a kto wie, czy nie kapłanką Izidy? To takie urzekające.

Doktor zaś snuł dalej:

—Posiada ona nadzwyczajny dar jasnowidzenia, szczególnie zaś celuje w odkrywaniu zmor i usuwaniu złych „astrali”.

—Nie do wiary! — wykrzyknąłem.

—A jednak to prawda — zapalił się doktor. —Moja dobra znajoma, doktor psychologii, doradca w jednym z resortów, mieszka na Powiślu. Ma ładne, trzypokojowe mieszkanie z kuchnią. W starym budownictwie. Ale kuchnia jest przygnębiająca. Doszło do tego, że nie mogła tam wejść bez odrazy i lęku. Ale nie tylko ona to odczuwała. Każdy, kto tam wszedł, mówił, że czuje się źle. Gdy to zbadałem, poradziłem sprowadzić Tamarę.

—I co?

—Tamara stawiała się najpierw u mnie. Gdy ją wtajemniczyłem, przyrzekła mi, że uczyni wszystko co w jej mocy, aby kuchnię oczyścić ze złej siły. Powiadomiłem o tym telefonicznie moją znajomą. Ta zaprosiła swoje przyjaciółki. Wieczorem o umówionej godzinie zawiozłem tam Tamarę.

Słuchając pana doktora, przymknąłem oczy. Wyobraziłem

sobie, że widzę tę nieszczęsną kuchnię. Widzę Tamarę, tęgą, wulgarną babę, widzę dostojnego doktora, znakomitość w swoim zawodzie, widzę panią dr psychologii, doradcę resortu, widzę jej czcigodne przyjaciółki, co najmniej członkinie Akademii Nauk. Widzę, jak wchodzi do tej kuchni, jak ustawiają się...

—Jak tylko wkroczyliśmy do tej kuchni — ciągnął doktor dalej — Tamara, niczym „Cywil”, pociągnęła nosem.

—Czuję cię, ty stara ropucho! — krzyknęła, a nam mrowie po krzyżu przeszło. — Tylko nie próbuj chować się. Wszędzie cię dojrzę. Więcej światła — rozkazała.

—Jak mi wiadomo — przerwałem doktorowi — już swego czasu Goethe tak wołał. Czyżby Tamara...

—E... — machnął pogardliwie ręką eskulap. — Tamara z trudem pisze swoje imię.

—I co było dalej ? — zapytałem pokornie, żeby zatrzeć nietakt.

—Wyciągnęliśmy z zakamarków starą lampę naftową, kilka świec stearynowych i ziluminowaliśmy tę kuchnię, aż w oczach jaśniało.

—Znajdę cię, żebyś pękła! — wołała groźnie Tamara, biegnąc z kąta w kąt, zaglądając to pod stół, to pod krzesła. — O, już cię widzę.

—Zrobiło się nam bardzo niewyraźnie na duszy.

—Hej, ty stara poczwaro — tryumfowała Tamara. — Zachciało ci się ludziom siły zabierać jak pająk muchom życie? Ja ci zaraz pokażę. Prędkiej, nożyczki.

Pani doktor psychologii, mimo swej tuszy nieliczej, niczym sprinterka rzuciła się w głąb mieszkania po nożyczki. W mig je przyniosła i podała Tamarze. A kochana Tamara, posuwając się na kolanach, z ręką wyciągniętą przed siebie i uzbrojoną w nożyczki, niczym św. Jerzy w dziedę, jak Parka nic życia, przecinała przed sobą powietrze, wykrzykując: „ciach!”

I kiedy całą kuchnię tak oporządziła, rozkazała otworzyć okno. Rozkaz w mig wykonano. Sam pan doktor to zrobił. Wiadomo, mężczyzna. Wtedy Tamara wstała

z klęczek, podbiegła do stołu i z zacięciem ostatni raz przecięła nad nim powietrze, wyjąc omal: „ciach!” A potem zawołała:

—A kysz, a kysz! Precz, zjawo przekłeta! Won! Zamknąć okno. Szybko.

I ten rozkaz wykonał sam doktor.

—Zgasić światło i na pół godziny wyjść z kuchni.

Wielce uczone grono opuściło kuchnię. Czuło się ono jakoś dziwnie podniecone i lekkie na sercu. A kiedy pod wodzą Tamary weszli do kuchni, wykrzyknęli jak jeden mąż:

—O, jak tu teraz lekko! O, tak!

Po namyśle pan doktor dodał:

—Tamara posiada dziwne właściwości. Wprawdzie nasz rodziny znawca „latających talerzy” jej nie lubi, ale to przecież ograniczony typ.

Nie wiedziałem, co na to panu doktorowi odrzec, ale on mnie wyręczył.

—W kilka dni później właścicielka kuchni, wracając z pracy, na Ślimaku, schodząc po schodach w dół, spotkała się oko w oko z tą poczwarą, którą Tamara od niej wygoniła. Była to ohydna, brudna żebraczka o kiju. A tak stara jak świat. Szła powoli schodami w górę. I kiedy mijaly się, obrzuciła ją tak nienawistnym spojrzeniem, że ta omal nie zemdląła z wrażenia.

Nic na to doktorowi nie odrzekłem. A kiedy wyciągnął rękę i wskazał nią wielką, rozłożystą topolę, rosnącą na jego nowej posesji, i zapytał mnie, co tam widzę, po długim, o jakże długim wpatrywaniu się w wierzchołek drzewa, ze wstydem odrzekłem, że nic nie widzę. Wtedy doktor powiedział z tryumfującą miną:

—Tamara mnie zapewniła, że siedzi tam wspaniały, astralny orzeł. A jak właścicielka tej willi naprzeciwno wyjdzie na werandę, on otwiera dziób i syczy na nią ze złością. W ten sposób wyraża swoje oburzenie i broni mego domu przed tą babą.

—A dlaczego właśnie na nią on się tak oburza?

—Ho ten babsztyl sprzedał mi ten dom za drogo. I zanim tu się wprowadziłem, zlikwidowała telefon i wiele innych przykrości doznałem, kupując od niej ten dom.

Jakie to szczęście, pomyślałem, że nie mam własnego domu. Nie potrzebuję astralnych orłów do pomocy i mogę w nocy spać spokojnie, pewny, że nic mi nie zginie. Bo nic nie mam.

23

Wiosną 1937 r. zjawił się u mnie student. Przynajmniej podawał się za takiego. Zaczął od tego, idiota, że tyle dobrego o mnie słyszał, jako o wrózu (a tego wyrażenia nie lubię) i choć osobiście nie wierzy w żadne wróżby, postanowił zaryzykować. Takich filozofów jest wielu, co zarzekają się, że nie wierzą w żadne cuda, a jak im kot drogę przebiegnie, oczekują na koniec świata.

Słuchałem jego bajdurzenia udając głębokie zainteresowanie i robiąc minę mędrca, a w brzuchu mi kiszki marsza grały. W owym bowiem czasie głodowałem częściej niż derwisz na pustyni. A on się rozkręcał coraz bardziej. Potworni są mężczyźni gaduły, stokroć gorsi od bab z bazaru.

Miał, jak twierdził, dostać pracę i nie dostał. Miał narzeczoną i ta go puściła kantem. Akademik lada dzień zostanie zamknięty, a on nie będzie miał gdzie spać. W tej chwili, wstyd się przyznać, jest nawet głodny. Jednym słowem pech. Ale on w pecha nie wierzy. Na wszelki wypadek przyszedł do mnie, bo może rzeczywiście ja mu tę złą passę odmienię. A gdybym mu jeszcze powrózył za darmo, byłby mi bardzo wdzięczny.

W pierwszym odruchu zacząłem tasować mechanicznie karty, ale w miarę jego gadaniny, zaczęła we mnie zbierać złość.

„Do diabła ciężkiego — myślałem. — Nie będzie miał gdzie spać? Ä ja miałem gdzie spać? Jest głodny, a ja co, ucztuję? Niech śpi, jak ja to robiłem — na dworcu”.

Z pasją rzuciłem karty. Patrząc spod zmarszczonych

brwi wprost mu w oczy, wrzasnąłem:

—Niech mi pan, do cholery, nie zawraca głowy! Nie ma pan gdzie spać? Na dworzec! Jest pan głodny, szybko na dworzec! No! Ale już!

Wstałem. On się poderwał jak pod wpływem prądu elektrycznego. Poczzerwieniał. Otworzył usta, ale zaraz zamknął. Prawie biegiem znikł z mego pokoju. Myślałem, że więcej go nie zobaczę. Aliści omyliłem się.

Po jego zniknięciu, kiedy nieco ochłonałem, zacząłem odczuwać coś w rodzaju skruchy. „Mój Boże — myślałem — dlaczego go tak ordynarnie potraktowałem? Mnie przecież niejednokrotnie ludzie pomagali. Trzeba mu było te karty postawić. Niedobrze się stało. Niedobrze”. W końcu jednak uspokoilem się, a po paru godzinach przestałem o tym myśleć. I wtedy stała się rzecz dziwna. Panna Emma zapukała do mego pokoju, uchyliła drzwi i dramatycznym szeptem powiedziała:

—Proszę pana, wrócił ten pan, który w obiad wyleciał stąd, jakby go kto gonił. Czy mogę go wpuścić? Jest zasapany i dziwnie czerwony. Boję się. Może chce pana zabić?

„Tego mi jeszcze brakowało” — pomyślałem, a głośno powiedziałem:

—Niech go panna Emma puści. Jakoś sobie poradzę z nim.

Na wszelki wypadek stanąłem za stołem, żeby przynajmniej w ten sposób zasłonić się przed jego ewentualnym atakiem. Pamiętałem bowiem, jak swego czasu rozwścieczony klient pobił znakomitego mistrza wiedzy tajemnej i zarazem autora niezbyt wprawdzie poczytnej, ale o frapującym tytule broszury pt. „Twarz zwierciadłem duszy”. Na okładce tego wiekopomnego dzieła widniała wielka, nalana, o świńskich oczkach i trzech podbródkach podobizna samego Mistrza.

Młody człowiek wszedł. Twarz rzeczywiście miał czerwoną, a na dodatek spoconą. Oddychał szybko. I wionęło od niego „wodą życia”. Patrząc na mnie, zaczął powoli zbliżać się do stołu, za którym stałem, jak prezes Towarzystwa „Meta” za

swoją wielkiego wzrostu żoną, w postawie obronnej. Stał przy samym stole. I tak, on po jednej, a ja po drugiej stronie stołu staliśmy, patrząc na siebie.

—Proszę pana, czy mogę usiąść?

Zadarłem swoją kosią brodkę. Albowiem dla dodania sobie powagi zapuściłem brodę. A że zarost, jak to często bywa u laponoidów, miałem raczej nikły, broda ta wyglądała jak półtora nieszczęścia. Wiedziałem o tym i krępowano mnie to. Ale nie zgoliłem jej, gdyż moi klienci, widząc mnie bez brody, mówili: „Ach, jaki pan młody. Czy taki młody może się znać na losach ludzkich?”.

—Niech pan siada — wyraziłem swoją łaskawą zgodę.

A kiedy usiadł, usiadłem i ja i czekałem, co będzie dalej.

—Nie wiem, jak to wyrazić — zaczął. — To, co mnie spotkało dziś, jest czymś niesamowitym. Czy pan jest jasnowidzem?

Zatkało mnie.

—Nie jestem jasnowidzem i nigdy nim nie będę.

—A jednak jest pan jasnowidzem. I kto wie, czy nie posiada pan jeszcze innych właściwości.

—Naprawdę nie rozumiem pana. Przyznaję, że zachowałem się...

Przerwał mi.

—Tego, co pan ze mną uczynił, inaczej nie można nazwać, jak czary. Jestem przekonany, że jest pan czarownikiem.

„O do diabła — pomyślałem — to chyba wariat?” — i odsunąłem się nieco od stołu. A on mówił dalej:

—Gdy pan z pasją rzucił karty na stół, zrobiło mi się zimno ze strachu. A gdy pan wrzasnął, abym szedł na dworzec, przeraziłem się tak, że zapragnąłem jak najszybciej zniknąć panu z oczu. Pan sobie nie wyobraża, jak ja biegłem. Pędziłem Sienną, Wielką i Chmielną w stronę dworca, jakby mnie wszyscy diabli gnali. Otwierając drzwi do poczekalni, niechcący potrąciłem jakiegoś jegomościa w starszym wieku. Odruchowo powiedziałem „przepraszam” i chciałem iść dalej. Ale ten schwycił mnie za rękę i przytrzymał.

—Dokąd tak pędzisz młodzieńcze — powiedział głosem tubalnym, w którym nie było gniewu. — Trzeba szanować starszych.

—Jeszcze raz najmocniej pana przepraszam, ale niech mnie pan puści. Bardzo mi się spieszy.

—Nie szkodzi — trzymał mnie dalej za rękę. Patrzył przy tym na moją głowę. Byłem bowiem w czapce studenta politechniki. Najczęściej noszę ją w kieszeni. Kiedy wybiegłem od pana, włożyłem ją na głowę. — Student?

—Tak.

—Z politechniki?

—Architektura.

—Złociuteńki! — zawołał on wtedy. — Z samego nieba mi spadasz. A który rocznik?

—Ostatni, proszę pana.

—Patrzcie, patrzcie. Ostatni rok. A ma pan indeks przy sobie, a może dowód osobisty?

—Czyżby za to, że niechcący pana potrąciłem, chce pan oskarżyć mnie na policji?

—A fe, młody człowieku! Policja! Pan mi jest potrzebny, ot co! Wpadłem do Warszawy dosłownie jak po ogień. W nocy jadę do Paryża. Zanim wyjadę, muszę zdobyć do mojej pracowni młodego architekta. Na dwa miesiące. Ale nie tarasujemy ludziom przejścia. Jak mi pan sam w ręce wpadł, to już pana tak łatwo nie puszcę. Ma pan czas? Idziemy na setkę.

-Poszliśmy i po paru kieliszkach wódki zostałem zaangażowany na dwa miesiące do pracy. Mam już bilet do Wilna i zadatek na poczet mojej pensji. Żegnając się ze swoim chlebodawcą, powiedziałem mu o panu. Mój chlebodawca nazwał to czarami. Pan mnie zahipnotyzował i zmusił do pójścia na dworzec. Ale skąd pan wiedział, że na tym dworcu o tej godzinie, a może minucie, natknę się na człowieka, który mnie potrzebuje?

Żebym ja wiedział skąd? Niestety nie wiem.

Często słyszy się, że bywają ludzie, którzy sprowadzają nieszczęście. O takim przykładzie chcę właśnie opowiedzieć.

Czternastego września 1939 r. od godziny 3 rano stałem w kilometrowej kolejce do piekarni. Nie odstraszało nas bombardowanie ani ostrzał z dział. Jeśli ataki lotnictwa niemieckiego nasilały się, a bomby i pociski artyleryjskie gęściej padały, kolejka rozlatywała się, by po chwili sformować się od nowa. Stali w niej starcy, kobiety, podrostki i dzieci. Głód bowiem dawał się już we znaki.

O godzinie jedenastej piekarnia była pusta. Na chodniku widniały ciała dwojga zabitych dzieci i jęczała ranna kobieta; spóźnili się o ułamek sekundy i nie zdążyli skryć się do pobliskiej bramy. Chleba dla mnie już zabrakło, a byłem taki głodny, że aż mi się płakać chciało. Niestety musiałem odejść z niczym. Postanowiłem więc z Powiśla przedostać się do Śródmieścia, a potem do Hal Mirowskich. Sądziłem, że może w Halach zdobędę coś do jedzenia.

Na rogu Solca i Tamki płonął dom. Przyłączyłem się do grupy z opaskami LOPP i co najmniej przez godzinę tłumilem pożar. Potem powlokłem się w górę Tamki. Pociski armatnie nadlatywały z przejmującym wyciem od

strony Pruszkowa. Zanim przedostałem się do ulicy Kopernika, było już po trzynastej i wtedy od Okęcia nadleciała eskadra samolotów. Wskoczyłem do pobliskiej bramy, gdzie zastałem tłum ludzi.

Lęk mnie już opuścił, w głowie miałem pustkę, patrzyłem niewidzącymi oczami. I wówczas właśnie, w pewnej chwili dostrzegłem dwoje starszych ludzi, którzy wyrosli mi w bramie. Sapali z wysiłku i z przejęcia. Staruszka miała na głowie nocny czepiec, ongiś śnieżnej białości, obecnie brudny od pyłu i sadzy, staruszek rozwiane długie włosy na głowie, a w ręku czarny długi parasol.

Zamiast zwykłego ubrania miał na sobie marynarkę od

stroju wieczorowego i spodnie od pidzamy. Prawą ręką trzymał się za serce.

Ktoś zapytał ich, co się stało i skąd tu przyszli.

Spojrzeli na nas wyblakłymi oczami i mężczyzna powiedział :

—O piątej rano w nasz domek na Dolnym Mokotowie uderzyła bomba. Służąca zginęła, a my uciekliśmy tak, jak nas widzicie. Od świtu głodni i bez sił idziemy do placu Napoleona. Tam mieszka nasz syn.

—Z Dolnego Mokotowa, i tak długo idziecie — zdziwił się któryś z młodszych słuchaczy. — Przecież to nie jest tak daleko.

Staruszka popatrzyła na niego i żałośnie pokiwała głową, a ktoś z przekąsem powiedział:

—Nie widzisz pan, że to staruszkowie? Jak pan tych lat dożyje, to będzie dłużej szedł do tego miejsca, gdzie się siusiu robi.

Mimo woli zaśmieliśmy się. Słysząc było nadlatujące bombowce. A staruszek powiedział:

—Od samego rana te przekłete bomby i pociski nas gonią. Sześć pocisków trafiło w te bramy, gdzieśmy się schronili.

—I trzy bomby — dodała uzupełniająco jego towarzyszka. Ledwie uszliśmy z życiem.

— A kilka osób zostało zabitych w tych bramach — obwieścił staruszek.

Poczułem mrowie na plecach. Popatrzyłem na słuchaczy i zdało mi się, że w ich postawach coś się zmieniło. Widziałem, jak poniekąd bojaźliwie odsuwają się od nich. Dyskretnie wyszedłem z tej bramy, wpadłem z impetem do następnej kamienicy i w tym momencie dom, z którego uciekłem, zadrżał w posadach. Usłyszałem wołanie o ratunek. Samoloty odleciały. Ze zbombardowanego domu sympatyczna para staruszków, jeszcze bardziej zapylona, ruszyła kuśtykając wzdłuż Kopernika w stronę ul. Pierackiego.

Widząc ich tak drepczących, nie wiem, dlaczego ruszyłem ich śladem. Z ulicy Kopernika nawet tak zawilą drogą na

plac Napoleona niedaleko, a myśmy szli trzy godziny. W tym czasie przeżyliśmy trzy wielkie naloty bombowców, z tego dwie bomby trafiły w kamienice, w których oni się kryli. Kilka pocisków armatnich rozerwało się na środku jezdni i odłamek jednego z nich trafił w dwu złodziei, którzy ze sklepu wynosili worek cukru. A oni uparcie szli do placu Napoleona. Chmielną, a potem Szpitalną doszedłem do ul. Hortensji. Kiedy skręcałem, przebiegając przez pustą, pełną odłamków szkła jezdnię ku Przeskokowi, a potem kryjąc się za domami docierałem do Boduena, oni przecięli Warecką. Pociski leciały z zachodu na wschód. Oni szli po wschodniej stronie placu. I kiedy dotarli do wysokości ul. Sienkiewicza, nadleciał pocisk i wyrznął w stos worków ochraniających parter Poczty Głównej.

Ujrzałem błysk, a potem padających bezwładnie obok siebie staruszków. Kiedy do nich dotarłem, biegnąc przez środek pustego placu, już nie żyli. Kilka osób wyskoczyło z gmachu Poczty Głównej i zabrało zwłoki zabitych.

Przeżony dowlokłem się do którejś z bram przy ul. Mazowieckiej, żeby przeczekać kolejny nalot. Wchodząc potrąciłem kogoś i nie patrząc, machinalnie powiedziałem „przepraszam” i chciałem iść w głąb bramy, ale potrącony

zatrzymał mnie za ramię. Podniosłem głowę i ucieszony niezmiernie poznałem pana Bellę M. W jego oczach widziałem również radość z tego spotkania.

—Mieszkam na trzecim piętrze. Chodźmy do mnie. Pan na pewno głodny?

—Piekielnie głodny, panie Bella, ale lepiej przeczekajmy nalot.

Pan Bella pogłaskał swoją czarną jak krucze pióra brodę, uśmiechnął się, wziął mnie pod rękę i weszliśmy na klatkę schodową. Słyszałem warkot nadlatujących bombowców. Ścisnął mnie silniej za ramię; idąc ze mną powoli po schodach w górę, powiedział:

—Uj, panie Mustafa. Przecież pan wie, że ja wiem, i ja wiem, że pan wie, że każdy bomb ma swój adres. A pan jest głodny. Nu?

Niektórym osobom karty układają się logicznie, przepowiednia jest jasna i niekiedy zdumiewająco szybko sprawdza się. Nawet w drobnych szczegółach. Są jednak osobnicy, których rozpoznanie losu jest dla mnie absolutnie niemożliwe. U tych osobników karty układają się chaotycznie, bohater horoskopu występuje tu jako karta marginesowa. W takich przypadkach nie jestem w stanie słowa z ust wydobyć. Staję się niemy, a karty są wtedy zwykłą tekturą, bezdusznym papierem.

Są osoby, które po wyjściu ode mnie zapominają, co im mówiłem, a po pewnym czasie zapominają o mnie. Nieraz takie zapomnienie trwa lata całe, aż przychodzi dzień, kiedy przepowiednia im udzielona i ja, jako jej zwiastun, stają im żywo w pamięci. Następuje to w momencie, kiedy wydarzenie, przewidziane na lata naprzód, przybiera realne kształty.

W dwa lata po drugiej wojnie światowej, w słotne jesienne popołudnie, kiedy, wracając z uczelni, zbliżałem się Puławską do placu Unii Lubelskiej, jakaś bardzo tęga niewiasta zawisła mi na szyi i zaczęła ścisnąć mnie tak, że aż dech mi odebrało.

—Mistrzu — wołała, że słyhać ją musiało być pod kolumną Zygmunta. — Pan żyje? O, jak to dobrze. Myślałam tyle lat o panu.

Chciałem się wyrwać z jej czułych uścisków i prysnąć, gdzie oczy poniosą, ale gdzie tam. A ona rozplywała się:

—To byłoby straszne, żeby taki jasnowidz zginął.

—Niech pani mnie puści. Nie znam pani — szeptałem, uginając się pod tym słodkim ciężarem.

To ją trochę utemperowało, więc rozluźniła uścisk, ale nie na tyle, żebym mógł uciec, i ciszej już nieco powiedziała :

—Jestem tą, której pan na dwa lata przed wojną przepowiedział pobyt w klasztorze.

Wtedy przypomniałem sobie tę absurdalną przepowiednię.

Przyszła do mnie stroskana wielce w 1937 r. Była rozwódką i miała dwoje dzieci. Powodziło jej się dobrze. Była właścicielką „Izby Handlowej”, powiązanej z innymi przedsiębiorstwami, handlującymi z państwami ościennymi. Miała piękne mieszkanie, ale... Zakochała się w dziennikarzu, rokującym duże nadzieje w swoim zawodzie, ale w uczuciach niestałym. Chciała dowiedzieć się, czy ich losy połączą się i czy zostanie jego żoną. Powiedziała, że parę dni temu była u Mistrza Starży-Dzierzbickiego. Wyliczył jej, na podstawie gwiazd, że będzie miała wspaniałą przyszłość, szczególnie od 1940—1945. Nie ma powodu, żeby takiemu znawcy nie wierzyć, ale słyszała, że ja, choć taki jeszcze młody, posiadam szósty zmysł, więc prosi mnie, bym użył tego zmysłu dla spenetrowania jej przyszłości.

Postawiłem jej kabałę. Wyszło, że jej ukochany wkrótce się ożeni, ale nie z nią. Pojmie za żonę bardzo młodą niewiastę niskiego stanu. Wkrótce po ślubie przyjdzie do niej. I będzie ją stale odwiedzał, gdyż jako kochanka bardzo mu odpowiada. I ona na to się zgodzi. Będzie przyrzekał

jej, że rozejdzie się i ożeni z nią. Ale słowa nie dotrzyma. W jakiś czas później wraz z żoną, wbrew woli, opuści Polskę i nigdy już do niej nie wróci. A ona? Ona, zanim upłyną dwa lata, utraci wszystko. Ocaleją tylko dzieci, które najdą schronienie z dala od niej. Ją zaś „wrogowie” będą prześladować. I kiedy znajdzie się na pograniczu katastrofy, los zrządzi, że znajdzie schronienie w k l a s t o r z e .

Czyżby to wszystko naprawdę się- zdarzyło ? Zaintrygowany, zaproponowałem jej kawę w pobliskiej kawiarence. Zgodziła się chętnie. Po drodze do tej kawiarenki mówiła:

—Zenek, jak pan przewidywał, ożenił się. Z córką stróża. W trzy dni po ślubie już był u mnie. Przyjęłam go i stale mnie odwiedzał aż do wybuchu wojny. We wrześniu został ewakuowany wraz z innymi dziennikarzami na wschód Polski. Zabrał ze sobą żonę. Przez Zaleszczyki przedostał się do Rumunii, a stamtąd dotarł do Wielkiej Brytanii. Po wojnie wyemigrował do Kanady i napisał do mnie, że do Polski już nigdy nie wróci, bo mu ideologia nie odpowiada.

Przerwała zasapana srodze. Żal mi się zrobiło tej biedaczki, a i ciekawość 'moja została pobudzona, więc przystanąłem, żeby sobie odsapnęła. A potem weszliśmy do kawiarenki. Na szczęście stolik był wolny. Gdy podano nam kawę, ona po krótkiej zadumie zaczęła dalej snuć wspomnienia:

—W czasie ferii letnich w 1939 r. dzieci odwiozłam do znajomych na Podlasiu, gdzie co roku spędzaliśmy wakacje. Wybuch wojny uniemożliwił powrót dzieci do Warszawy. Na szczęście. Po klęsce wrześniowej nie sprowadziłam ich do siebie, lecz zostawiłam tam, płacąc za ich pobyt za rok z góry. Sądziłam, tak jak większość Polaków, że wojna dłużej nie potrwa. Dzieci tam uczęszczały do szkoły podstawowej. Ja zaś w dalszym ciągu usiłowałam prowadzić swoją Izbę, ale szło mi to coraz gorzej. W 1941 zbankrutowałam. Zaczęłam wyprzedawać rzeczy, żeby jakoś żyć. Na nie-szczęście zaczęłam tyć. Może nie tak jak teraz, ale tyłam.

Na domiar złego, choć moi dziadkowie byli Niemcami, urodziłam się, jak pan widzi, podobna do Żydówki. A koszmar okupacji stale wzrastał. Kiedy zaczęli niszczyć Żydów, nie mogłam wyjść na ulicę. I przyszedł taki dzień, że musiałam z domu uciekać. Uprzedził mnie dozorca, że go wciąż nachodzą jacyś podejrzani osobnicy i wypytyują, czy jestem Żydówką. Zanim do tego doszło, udało mi się zdobyć kapsułkę z cyjankiem potasu. Stale nosiłam ją pod językiem. Nie chciałam żywa znaleźć się w kazamatach gestapo. Mam ją i teraz przy sobie. Ale w torebce. Po co? Boję się. I myślę, że jak zestarzeję się doszczętnie, niech pan spojrzy na moją monstrualną otyłość, żeby dzieciom zaoszczędzić kłopotu, przyda mi się ona.

Rzeczywiście miała ją w torebce. A potem, kiedy lata płynęły a ona tyła coraz bardziej i stawała się niedołączna, kapsułkę wyrzuciła, albowiem doszła do wniosku, że życie, choć najgorsze, lepsze jest od śmierci. Ale nie uprzedzajmy faktów.

W 1943 r. po klęsce Hitlera pod Stalingradem, srożące się w Warszawie represje doprowadziły do tego, że posta-

nowiła rozgryźć tę kapsułkę. Po tej decyzji udała się do Ogrodu Saskiego. Bardzo go lubiła. Usiadła na ławce przy głównej alei biegnącej od Grobu Nieznanego Żołnierza do Żelaznej Bramy. Traf zrzucił, że w tym samym momencie aleją szła zakonnica. Mijając ją, spojrzała przelotnie na nią, przeszła kilka kroków dalej i stanęła niezdecydowana. Po chwilowym wahaniu zawróciła i szybko podeszła do niej. Jaka była ich rozmowa, o co ją pytała, nie pamięta już. A może słowa zakonnicy w ogóle do niej nie docierały?

Na rozkaz zakonnicy wstała z ławki i posłusznie poszła za nią. Doszły do Bednarskiej, a potem nie wie, co się z nią działo. Po kilku dniach odzyskała przytomność. Powiedziała jej pielęgniarka, że jest bezpieczna i znajduje się pod opieką zakonnicy.

W kwietniu 1944 r. nad ranem ubrano ją w strój zakonny i odwieziono w okolice Krakowa do klasztoru żeńskiego.

Do tego czasu żyła jak we śnie. Ale kiedy przypadkiem spojrzała w lustro i zobaczyła siebie jako zakonnice, cała moja przepowiednia odżyła i ujrzała mnie w swojej wyobraźni. Podobno rozszochała się na to wspomnienie.

— Nie jestem specjalnie wierząca, ale często modliłam się o bezpieczeństwo dla moich dzieci i o szczęśliwe dla pana przetrwanie wojny. I widzę, że modły moje zostały wysłuchane. Pan żyje.

26

W październiku 1939 r. spotkałem Igora M. na ulicy Marszałkowskiej. Był jeszcze w mundurze wojskowym i sprzedawał czekoladki. Nie miał, jak mi się przyznał, mieszkania. Wziąłem go do siebie. Zawsze to we dwójkę jest różnie. Był to okres ciężki nie tylko dla nas. Nie mieliśmy ani grosza, a jeść się cholernie chciało. Zaczęliśmy uprawiać handel uliczny. W owym czasie Igor nie był jeszcze zarozumiałym, nadętym bufonem, a po prostu wesołym, uroczym chłopakiem. Pięknie śpiewał aksamitnym barytonem i z wielkim powodzeniem czarował panienki.

Niestety, do handlu nie miałem zupełnie zdolności. Za tę nieudolność w dwadzieścia trzy lata później srogo zostałem ukarany przez Wydział Finansowy. Natomiast Igor umiał wszystko i każdemu sprzedać. Po prostu prosili go, by im cokolwiek sprzedał, nawet byle co.

Współzycie układało się nam dobrze. Ale były dni, że Igor stawał się nie do zniesienia. Chodził po pokoju, jęczał, targał czuprynę, wył bohaterskim basem lub wzdychał rozdzierająco. Przyczyną tego stanu była panna Zosia. Według niego — ósmy cud świata. Do wybuchu wojny tańczyła w zespole baletowym Opery Warszawskiej. Gdy wrócił z Modlina dowiedział się od jej rodziców, że wraz z innymi artystami Opery opuściła Warszawę, udając się na wschód.

Gdy tak pewnego dnia szalał, postanowiłem zabawić się jego bólem. Położyłem się wygodnie na tapczanie, choć w brzuchu mi burczało z głodu, i powiedziałem:

—Siedz cicho. Zaraz wpadnę w trans. Gdy powiem „już”, połóżysz mi rękę na czoło i zapytasz mnie: „Kiedy się spełni moje największe marzenie?”, a ja ci na pewno, odpowiem prawdę.

Igora jakby kto na sto koni wsadził.

—Złociutki. Mistrzuniu kochany, zrób to, zrób, a czić cię będę jak Żydzi Salomona.

Żeby „trans” wypadł jak się patrzy, zacząłem się zgrywać. Stękałem, jęczałem, mruczałem, wykrzykiwałem, podskakiwałem na tapczanie jakby mnie milion pcheł gryzło, aż na końcu ucichłem i leżałem, jakbym naprawdę był pogrążony w stanie kataleptycznym.

Igor, przejęty moją „męczarnią”, siedział cicho jak trusia.

—Już! — zawołałem, a nie był to głos wołającego na puszczy.

Igor podskoczył, a potem położył mi rękę na czole i to z takim rozmachem, jakby z niego pragnął wycisnąć wszystkich jasnowidzów kuli ziemskiej, i zawołał konającym głosem:

—Gdzie jest moja Zosia?! Kiedy wróci? Mów, a nie kłam, bo ci lepetynę rozgniotę.

—Zosia jest w drodze — ja na to. —Będzie tu w środę.

—Nie pleć. W jaką środę. Dziś jest sobota.

—Powiedziałem, że w środę, i niech ci to wystarczy. Gdybyś nie ścisnął tak mocno mojej głowy, może miałbym lepszą „wizję”? A tak musisz czekać na środę.

—Ale śród jest pięćdziesiąt dwie w roku — wołał zrozpaczony.

—Nic na to nie poradzę — otworzyłem oczy i usiadłem. Usiadł i on. Milczeliśmy chwilę, a potem zaczęliśmy się obaj śmiać. Albowiem dla tych, co nas znają na co dzień, nigdy nie jesteśmy cudotwórcami. Nie darmo mówi się u nas: „Nie ma proroków we własnym domu”. Zdaje mi się, że to Goethe powiedział kiedyś: „Nie ma bohatera dla kamerdynera”.

Ale piątego dnia od tej „wizji”, w środę, kiedy ciemność zaczęła zasłaniać okna, ktoś w nie zapukał. Igor usłyszawszy to pukanie, zbladł i błędnymi oczami spojrzał na mnie. Jednak zapytał, choć bardzo nietęgą miał minę:

—Kto tam?

—To ja, Zosia. — Usłyszeliśmy trwożliwy głos, szyb w oknach nie było. — Czy to ty, Igorze?

—Ja! — wrzasnął Igor i wyleciał z pokoju.

Po chwili wniósł na rękach drobniutką, rumianą blondyneczkę, o twarzy jak u porcelanowej lalki.

—Czekałem na ciebie dzisiaj — Igor tańczył kadryla.

—A skąd wiedziałeś, że dziś będę?

—On mi powiedział — Igor wskazał palcem na mnie.

—Przypatrz mu się dobrze... To jest Mistrz, przez duże M.

Milczałem skromnie. Oni się tak sobą cieszyli. Ja jednak wiedziałem, że po paru latach małżeństwa rozstaną się ze sobą jako nieprzejednani wrogowie. A on własną córkę, spłodzoną z tą niewiastą, odda w ręce milicji, żeby ją pod konwojem odwieźli do matki, bo, nie dojadając u tatusia, skradnie mu dziesięć złotych... Ale tego im nie zdradziłem... Albowiem kiedy udawałem trans, myśl moja krążyła wokół tych spraw... O ich prawdziwości... dowiedziałem się w piętnaście lat później od matki Igora.

Zostałem sam. Zosia zabrała Igora. Było mi początkowo

bardzo markotno. No i głód nielecho doskwierał. Zaczęło się robić coraz zimniej. Okna w dalszym ciągu nie były oszkłone. Nie miałem ani za co, ani czym ich oszklić. W nocy marzłem dotkliwie. I takiego jednego, bardzo głodnego dnia, gdy na dworze deszcz mżył, przybyła do mnie starsza pani w żałobie.

Chodziło jej o kabałę. Potasowałem i rozłożyłem karty. Bardzo długo wpatrywałem się w nie. Nie mogłem ich rozszyfrować. Jej żałoba była tak sugestywna, że bałem się, a może nie mogłem przez ten nastrój przeniknąć głębiej w jej podświadomość? W końcu powiedziałem, ale wychodziło to jakby spoza nas:

—Znak śmierci jest nad pani mężem, ale to było dawno, wiele lat temu...

—Tak — szepnęła przejęta i zamieniła się w słuch.

—W domu, w niedługim czasie — wesele. Ożeni się młody mężczyzna. To pani syn... Żałoby nie ma... Może pani ją włożyła jako żałobę narodową?

—Nie, proszę pana. Mój syn, jak wynika z dowodów, które mi dostarczyli jego koledzy — poległ na froncie... Ale nie jestem tego tak bardzo pewna... Pan wie... łudzę się... Jego koledzy przynieśli mi złoty zegarek, listy od narzeczonej i wiele innych dobrze mi znanych drobiazków. Zegarek zdjęli mu z ręki. Pochowali go...

Zaczęła rzewnie płakać. Zrobiło mi się jej ogromnie żal.

—To są tylko karty. Ale dlaczego w nich nie występuje śmierć pani syna, nie wiem... Jestem przekonany, że pani syn żyje. Musiała zająć jakąś omyłką.

Gdy wyszła ode mnie, siedziałem długi czas nad tymi kartami. Myślałem: „Wobec takich dowodów wasz upór, moje kochane, jest zwykłą głupotą. Ale to nie wasza, a moja wina. Jestem po prostu błagierem”. Zwinąłem je i schowałem do szufladki biurka. Nie byłem z siebie zadowolony. I przekonany byłem, że więcej owej pani nie zobaczę.

Jednak odnalazła mnie w lutym 1940 r. Przyszła na ul. Fabryczną, gdzie podówczas mieszkałem, ale nie sama, z synową.

Wchodząc do mego pokoju starsza pani chciała uklęknąć przede mną. Zaskoczony, powstrzymałem ją. Nie poznałem jej. Przypomniała mi o sobie. Jej syn żyje. Wrócił cały i zdrowy. W miesiąc po powrocie do domu ożenił się. Zbiegły się zatem i radość, i wesele.

W czasie odwrotu jego oddział został rozproszony. Z kilkoma żołnierzami przedzierali się w stronę Warszawy. Nad Pilicą, dzień był upalny, panowała chwilowa przerwa w nalotach, więc zapragnął zażyć kąpieli. Ubranie położył na brzegu. Kiedy był w wodzie, nadleciały samoloty. Dał nurka. Gdy wypłynął na powierzchnię, samoloty oddalały się już. Wyszedł z wody. Kolegów nie było, ale prócz bielizny nie było nic z jego rzeczy. W bieliźnie dotarł do wioski i od gospodarza pożyczył ubranie cywilne. Bez dokumentów, jako cywil, powoli wędrował w stronę Warszawy. Nim do niej dotarł, skapitulowała.

Ten, co go okradł i przebrał się w jego mundur, miał pecha. Zginął w czasie nalotu na kolumnę wojska maszerującego drogą. Gdy go grzebali, był bez głowy. Głowy nigdzie nie mogli znaleźć. Na podstawie drobiazgów i listów znalezionych przy zabitym wywnioskowali, że to jest syn mojej klientki.

27

Z panem mecenasem M. zetknąłem się po raz pierwszy w marcu 1940 r. Odwiedził mnie w widocznym celu, powołując się na znanego literata J.S. Czas jego wizyty zbiegł się z silnym katarem, jaki mnie nawiedził. Usiłowałem, wykorzystując tę okoliczność, spławić go, ale on nie dał się tak łatwo wyprosić. Żeby mi udowodnić, jak dalece jest odważny i nie boi się kataru, pokazał na swój nos, z którego ciekło jak z fontanny i na ręcznik, który wyciągnął z kieszeni, zamiast chusteczki. Zasiadliśmy, obaj zasmarowani, do stawiania kabaly.

W czasie tego pierwszego naszego zetknięcia powiedziałem mu, że będzie miał syna, ale mimo to rozejdzie się

z żoną. Syn zostanie pod jego opieką. Żeby to jakoś osłodzić, powiedziałem, że po niewielu latach ożeni się po raz wtóry i będzie z nią do końca życia.

Co do innych spraw, które wtedy poruszaliśmy, przewidywania moje były raczej wieloznaczne. Jedyne konkretne stwierdzenie, co okazało się aż nazbyt trafne, to zamach na jego życie. Przewidziałem również, że nie będzie go tam, gdzie zamachowcy będą nań czekali. Przyszli, nasłani z pobudek prywatnych, do mieszkania mecenasa. Ale go akurat w tym dniu nie było w Warszawie.

Najzabawniejszy w tym wszystkim był fakt, że kiedy wtargnęli do domu, podając się za członków organizacji podziemnej, gosposia powiedziała im:

—Pan Mustafa trzy lata temu powiedział, że przyjdziecie.

I powiedział, że mecenasa nie zastaniecie w domu.

—Co za Mustafa?

—Mecenas powiedział, że Kara.

—Zwariowana baba. Idziemy.

Poszli i więcej nie pojawili się. Mecenas wydedukował, od kogo przyszli i odpowiednio sprawę załatwił.

Gdyśmy się rozstawali zadowoleni z siebie, sądziłem, że jest to przelotna wizyta, ale omyliłem się, jak w wielu innych sprawach.

Nasz kontakt trwa do chwili obecnej. W okresie okupacji zaś spotkania nasze były dość częste i poświęcone sprawom szczególnym, których mecenas bez pomocy kabały nie potrafił rozwikłać.

Któregoś dnia mecenas przyszedł do mnie wyjątkowo zaniepokojony. Jak się okazało doszło między nim a Träuchendlerem do ostrego zatargu. Pan mecenas zdobył datę jego urodzenia i pragnął, bym na tej podstawie ustalił, jak się ułoży ich dalszy stosunek służbowy. Uciekłem się wtedy do numerologii. Były to wyliczenia, z których największy patałach spośród astrologów uśmiełby się co niemiara, ale czas wykazał, że trafiłem w sedno.

Wszystko, co mówiłem, pan mecenas skrzętnie notował. W kilka dni później, w rozmowie z Niemcem w sposób

możliwie delikatny powiedział mu:

—Z gwiazd wynika, że jest pan jurystą i siedział w więzieniu.

Niemiec najpierw podskoczył na krześle, a potem zbladł i zaczął wpatrywać się w mecenasa z wyraźnym niepokojem w oczach.

A wtedy pan mecenas dodał:

—W najbliższej przyszłości będzie pan również aresztowany, ale na krótko.

Niemiec jęknął ze zgrozy i szeptem zapytał, mimo że byli tylko we dwójkę w pokoju:

—Za co?

—Za kontakty z ciemną kobietą.

—Herr Gott!

—Jeśli chce pan cało wyjść z tej przygody, niech pan tę kobietę niezwłocznie gdzieś ukryje. Jeśli pan tego nie zrobi, jej grozi śmierć a panu obóz koncentracyjny.

—Mój Boże, mój miły Boże — szeptał Niemiec przerażony. —Skąd pan o tym wie?

—Mówiłem panu, z gwiazd.

—Astrologia?

—Tak. Mój przyjaciel to wyliczył.

Po tej rozmowie Niemiec szybko ubrał się i znikł z biura. Nie było go trzy dni. A kiedy ponownie zjawił się w biurze, był blady, oczy miał podbite i zaczerwienione jak z bezsenności. W dwie godziny później przyjechali gestapowcy i wzięli go ze sobą. Do pracy wrócił po miesiącu. Wezwał do siebie pana mecenasa i powiedział mu:

—Być może pracuje pan w polskim wywiadzie. Jeśli tak jest, jest to zdumiewający wywiad. Dzięki niemu żyję i dopóki żyć będę, nie zapomnę im tego. A jeśli to nie wywiad, to ten, co panu to wyliczył czy odgadł — jest geniuszem. Mam do pana zaufanie, więc powiem, jak to było. Przed dojściem Hitlera do władzy byłem lewicowcem. Krótko, ale siedziałem w więzieniu. Po wyjściu z więzienia stałem się człowiekiem tchórzliwym. Staralem się być lojalny, ale gdzieś w głębi duszy czułem wstręt do tego wszystkiego. Ta „ciemna kobieta”, za którą mnie aresztowali, ale zdą-

żyłem ją dobrze przed nimi schować, była Żydówką.

Po tym zwierzeniu pan mecenas odczytał mi dalszy ciąg wyliczeń. Najbardziej Niemca zdumiał fakt, iż odgadłem, że ma czworo dzieci, był ranny na polowaniu i to akurat osiem lat temu.

Niemca wkrótce przenieśli z Warszawy dalej na Wschód. Z mecenasem mój kontakt się urwał, gdyż nie wychodziłem z domu, a on widocznie mnie nie potrzebował. Ale w listopadzie 1943 r. musiałem wyjść. Traf chciał, że na ulicy Wilczej natknąłem się na mecenasa. Na mój widok ucieszył się bardzo i zmusił mnie, bym wstąpił do jego mieszkania. Mieszkał kilka domów dalej.

Gdyśmy zasiedli w jego gabinecie, dużym, mrocznym pokoju, w wygodnych fotelach, on po jednej, a ja po drugiej stronie ogromnego mahoniowego biurka, i gdy przed nami stała pękata butelka bursztynowego płynu, dwa kieliszki, wędlina i pieczywo, a gosposia zamknęła za sobą drzwi od gabinetu, mecenas, podnosząc kielich do góry, powiedział:

—Nasze zdrowie, panie Mustafa.

—Nasze zdrowie, panie mecenasie.

—Myślałem o panu — powiedział pan mecenas. — Myślałem bardzo intensywnie od kilku dni. Nawet postanowiłem udać się do pana. A tu sam los postawił pana na mej drodze. Na zdrowie.

Wychyliliśmy znowu po kieliszku. Zrobiło się nam ciepło i jakoś przyjemnie na sercu.

—Mam zmartwienie, panie Mustafa. Bardzo poważne zmartwienie. O wiele większe niż z Träuchendlerem.

—Pan mnie przeraża. Co się stało?

—O właśnie... stało się.

Ponownie nalał do kieliszków. Podnieśliśmy je w górę.

—Nasze zdrowie — powiedzieliśmy razem.

—Proszę dobrze przypatrzeć się temu fotelowi, na którym pan siedzi. Piękny? A jaki wygodny. I w tym, na którym zawsze tak jak i teraz siedzę, zrobiłem schowek i przechowywałem tam dolary. Kiedy szykowałem ten schowek, winszowałem sobie, że mam taki genialny pomysł. Cały mój dorobek życiowy.

—Skradziono? — zapytałem jak głupi.

—Oczywiście, że skradziono. Ale, oby tylko skradziono. Diabli mpie skusili udać się do Stefanka.

—Ciekawe, bardzo ciekawe! — wykrzyknąłem pełen podziwu i szacunku dla tego imienia. — I co pan Stefan na to?

—Stefcio — mówił to z wielką ironią — kiedy mu

owszystkim powiedziałem i dałem strzępek z tego fotela, najpierw zbladł, potem poczerwieniał. Zerwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju, wykrzykując jakieś urywane zdania. A we mnie, gdym na to patrzył, serce rosło i napa- wało się nadzieją, że Stefcio dolary znajdzie. Był w transie.

—Zdumiewające...

—Diabli tam zdumiewające.

Znowu naleliśmy do kieliszków i wypiliśmy nasze zdrowie.

—Stefcio opisał mój gabinet. Powiedział, jak ustawione są fotele. A potem opisał złodzieja. Dwie krople wody nie są tak do siebie podobne, jak opisany przez niego złodziej do naszego dozorca. Gdy to usłyszałem, pomyślałem sobie: „O, łobuzie, już ja cię urządzę”. A Stefcio dalej opisywał w natchnieniu. Tym razem gdzie mieszka ów złodziej. Wypisz, wymaluj stróżówka w naszym domu. Trzy schodki w dół. Kuchnia. Nad piecem półka z glinianymi gameczkami. Drugi pokój. W łóżku chora żona złodzieja. Nasza dozorczyńni. A dolary? Ten łobuz schował do gameczka na półce. Tego trzeciego od okna. Myślałem, że Stefcia uduszę z radości. „Oto jasnowidz” — myślałem z tkliwością, wracając z seansu. Wszystko widzi. Nasze zdrowie.

Więc wypiliśmy nasze zdrowie. A mecenas prawil dalej:

—Stefcio miał rację. Nikt inny nie mógł ich ukraść, tylko nasz dozorca. Sprzątał u mnie, więc miał dostęp do fotela. Udałem się do komisariatu. Miałem tam znajomego oficera policji. Gdy mu powiedziałem, co i jak, bez słowa udał się ze mną. Weszliśmy do tego łobuza dozorca. Na nasz widok zbladł strasznie. Widząc to zacierałem ręce w duchu.

—Sprzątałeś u mecenasa? — oficer policji groźnie zapytał dozorcę.

—Sprzątałem, panie władzo.
—Ruszałeś fotel?
— Ruszałem, panie władzo.
—Widziałeś dolary?
—Jakie dolary, panie władzo?
—Nie udawaj wariata — zdenerwował się pan władza.
— Oddaj po dobroci.
—Czego panowie chcą ode mnie? Nic nie wiem o żadnych dolarach.

Wtedy z drugiego pokoju wyszła w koszuli chora żona dozorczy. Uklękła przed nim. Wyciągnęła ręce.

—Litości, panowie. Mój mąż nie jest złodziejem. On nikomu jeszcze w życiu nic nie wziął. Zlitujcie się...

—Proszę wracać do łóżka. Wiemy, co mówimy. A jak nam nie wierzycie, to zaraz was przekonamy. W którym garneczku one leżą?

—W tym trzecim, największym — wskazałem palcem ten cholerny sagan. —No, nasze zdrowie.

Wypiliśmy. Szumiało nam już w czubach. A on prawił dalej:

—Oficer policji, chłop dość wysoki, podszedł do tej półki, stanął na czubkach palców i jak wytrawny sztukmistrz wpakował rękę do tego garneczka aż po łokieć, jednocześnie mówiąc: „Zaraz zobaczycie”. A potem zaklął szpetnie i szybko wyciągnął rękę. Była aż po łokieć ubabrana w śmietanie. Ten łobuz trzymał tam nie dolary, a śmietanę.

—I co dalej? — pytałem, rad wielce z tej przygody pana mecenasa.

—Co dalej ? Musiałem przeprosić ciecia. Zażądał satysfakcji. Dałem mu ją. A nie była mała. Paręset złotych poszło. A dolarów nie ma. Ach, ten Stefcio. Nasze zdrowie.

Wypiliśmy, a jakże. Mecenas smutno zwiesił głowę.

Zaśmiałem się głośno.

—Mnie nie do śmiechu, panie Mustafa. Tu chodzi o honor.

—A czy pan dobrze przeszukał ten fotel?

—Jak najdokładniej i to kilka razy.

Coś mnie tknęło. Zwiesiłem rękę pod swój fotel. Zacząłem

pod spodem szukać otworu. Był. Wpakowałem weń rękę. Weszła z łatwością. A kiedy zacząłem głębiej ją pakować, natrafiłem na pakiet. Wyciągnąłem go i z tryumfującą miną położyłem na biurku.

—Czy tak wyglądała ta paczka?

Mecenas otworzył szeroko usta i patrzył na mnie jak na... złodzieja. A potem zerwał się.

—Na Belzebuba, to one. Moje złocienkie. — Wziął zawiniątko i zaczął gorączkowo rozwijać. Przeliczył. Zwinął. Znowu odwinął i przeliczył. Nie mógł uwierzyć, że to one. Nalał do kieliszka wódki. Przez roztargnienie tylko sobie. Nie powiedział „nasze zdrowie”. Wypił duszkiem i z westchnieniem, jak chłop po ciężkiej pracy, usiadł na swoim fotelu. Wtedy ja nalałem sobie kieliszek i też nie mówiąc „nasze zdrowie” wlałem sobie do gardła. Pan mecenas zawołał :

—O, panie Mustafa, gdyby nie fakt, że jest pan tu po raz pierwszy, nikt by mnie nie przekonał, że pan tych dolarów nie ukradł!

Wtedy się rozsierdziłem. Powiedziałem, że jeśli chce mieć te dolary, to niech czym prędzej usunie je z tego domu. Jeśli tego nie uczyni, straci je bezpowrotnie.

—E, panie Mustafa — pan mecenas na to — teraz tak je ukryję, że sam czort ich nie znajdzie. Ale jak one się mogły przenieść do tamtego fotela?

—One tu były od początku. Tylko dozorca poprzestał fotele — i stąd ten cały kram.

—Teraz rozumiem. W obu fotelach były kryjówki.

—Właśnie. Od kogo pan kupił te fotele?

—Całe mieszkanie otrzymałem od adwokata Żyda; w zamian za to oddałem mu swoje.

—Rozumiem. Ten biedak też w podobny sposób chciał zabezpieczyć swój dorobek. Niepewne są te kryjówki, szczególnie w tak niepewnych czasach.

Kiedy opuszczałem podwoje gabinetu mecenasa, nogi pode mną mocno się chwiały, ale mecenas trzymał się dziarsko. I nawet nucił aksamitnym barytonem: „Szła dziewczeczka do laseczka”.

W kilka tygodni później pan mecenas nie śpiewał, a kłął. Kłął jak szewc.

—Zamiast spalić pana na stosie—powiedział siadając — dopuściłem do tego, że spłonęły moje dolary.

Nie ma ich. Został tylko popiół, proch marny.

—Do licha. Jak to się stało?

—Zwyczajnie. Widział pan tę murowaną półeczkę nad kaloryferami, w moim gabinecie?

—Widziałem. Bardzo gustownie założona.

—Kupiłem azbest. Zawinałem weń dolary i położyłem na tej półce. Na to postawiłem piecyk elektryczny. Z daleka wyglądało to bardzo naturalnie. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że pod piecykiem leżą pieniądze.

—Myślę, że ma pan słuszność. Ale dlaczego spaliły się?

—Przez roztargnienie. Włączyłem piecyk, żeby zagotować sobie wody na herbatę. Zapomniałem wyłączyć. Wyszedłem z domu i Kiedy wróciłem, zobaczyłem... Ech, lepiej nie mówić.

28

Pan Stanisław P. złożył mi pierwszą wizytę w 1941 r., tuż po napaści Hitlera na ZSRR, a ostatnią w 1946 r., na tydzień przed nielegalnym wyjazdem z Polski. W 1948 r. napisał do mnie z Konga, że szczęśliwie tam wylądował z żoną i synem, i prosił, abym mu przesłał horoskop. Chciał wiedzieć, jak potoczą się jego dalsze losy. Nie odpisałem. Kontakt się urwał i nie wiem, co się z nim teraz dzieje.

W czasie pierwszej wizyty powiedziałem mu, że wkrótce rozejdzie się z żoną, a następnie ożeni się po raz drugi. Z drugą żoną będzie miał syna. Wyczytałem mu z kart, że zdobędzie wielką fortunę. Jednakże bogatym długo nie będzie. Wojna i jej skutki zrujnują go prawie doszczętnie. Zniechęcony wyjedzie z kraju.

Ale nie to nas zafrapowało. Przewidywanie wielkiej fortuny jest zawsze miłe dla tego, kto tej fortuny pragnie. Myśl o rozwodzie z żoną wydała mu się fantastyczna.

Wyjazd z kraju raczej nieporozumieniem, możliwym do przyjęcia, ale określenie, że wkrótce będzie zawdzięczał życie ptakowi, nie mogło mu się pomieścić w głowie. Zaczął mnie męczyć, domagając się jakiejś bliższej informacji o tym ptaku. Więc rad nierad zacząłem intensywnie szukać bliższych określeń z sąsiednich kart. Nic nie wychodziło. Zły, powiedziałem: „najbliższą liczbą względnie symbolem, towarzyszącą słowu «ptak», jest synonim «głupota». Można to interpretować albo głupi ptak, albo głupi ten, co szuka nazwy ptaka”. Zwinąłem karty i pożegnałem się z nim.

Wychodząc ode mnie, mój gość mruczał wielce zafra-sowany: — Głupi ptak. Głupi ptak.

Ja również parę dni głowiłem się nad tym, aż w końcu machnąłem ręką i zająłem się swoimi sprawami. Wkrótce zarówno pan Stanisław, jak i jego „głupi ptak” wywietrzeli mi z głowy.

W niecały rok potem pan Stanisław P. odwiedził mnie ponownie.

Był elegancko ubrany, pewny siebie, promieniejący zdrowiem i energią. Zupełne przeciwieństwo tego człowieka, z którym rok temu rozmawiałem. Wówczas był nieśmiały i wymizerowany.

Przywitał się ze mną bardzo serdecznie.

— Część przepowiedni pana spełniła się. Nie do wiary. Kiedy mówił mi pan o rozejściu się z żoną, nie mieściło mi się to w głowie. A jednak rozchodzę się. Zakochałem się w innej. To okazało się silniejsze od mojej woli. Równocześnie zaczęło mi się wyjątkowo powodzić i szczęścić w interesach. Staję się bogaty. Już pertraktuję w sprawie nabycia niewielkiej fabryki tekstylnej. Ciekawym, jak mi pójdzie ten interes.

—Jeśli człowiek wejdzie w dobrą passę, to powodzenie przychodzi i drzwiami, i oknami. Ciekawym, na czym pan się dorobił?

—Najpierw szła rąbanka, potem bimber. Następnie zorganizowałem wytwórnę papierosów i szmugiel tytoniu. W tej chwili pracuje u mnie 40 pań przy wyrobie papierosów.

—Rzeczywiście wykazał pan nadzwyczajną przedsiębiorczość — powiedziałem z uznaniem, ale bez zazdrości. Były to bowiem tego typu przedsięwzięcia, którymi się raczej brzydziłem. Ale cóż. Była wojna. Okupant tak rządził w Polsce, abyśmy co psędzej zmarli z głodu. Tacy ludzie, jak mój klient, byli wtedy dobroczyńcami. Łamali prawo okupanta i ratowali ludzi od śmierci głodowej.

—Powodzenie to zawdzięczam panu. Pan swoją kabałą natchnął mnie wiarą i odwagą. Przede wszystkim wiarą w siebie. Ale w tej chwili stanąłem wobec bardzo niebezpiecznego problemu. Chcę pana prosić o jeszcze jedną kabałę. Niech mi pan tego nie odmawia. Od pana przepowiedni wszystko zależy.

Przystąpiłem do tej kabały bardzo niechętnie. Zauważyłem, że ilekroć przychodzi do mnie ktoś w sytuacji wymagającej natychmiastowej decyzji, moje wycucie jest mętne. Natomiast im dalej od jakiegoś wydarzenia, tym precyzyjniejsza jest moja przepowiednia. Zarówno co do czasu, jak i charakteru zdarzenia. Są jednak przypadki, kiedy i na bliższą metę potrafię trafnie przewidzieć przebieg wypadków. Zaryzykowałem. To, co zobaczyłem, podałem mu w skrócie telegraficznym:

—Przedsięwzięcia w zasięgu działania Marsa, choć niebezpieczne, bardzo korzystne. Saturn przychylny panu pod względem fortuny. Ale jest to przychylność ojca, który pewnego dnia pożre swoje dzieci.

—Mój Boże!—wykrzyknął klient.— Nic z tego nie rozumiem.

—Powie panu po ludzku. Wszystkie sprawy związane z wojną lub wojskiem są panu przychylnie. Zdobywanie pieniędzy będzie szło łatwo. Ale kiedy pan stanie się bardzo bogaty, straci pan wszystko.

—Po raz drugi mi to pan mówi. Skoro wiem o tym, uczynię wszystko, żeby temu zapobiec. Przecież człowiek jest istotą przezorną.

Życzyłem mu dalszych sukcesów i wiary w siebie. A co ma być, to i bez mojej ingerencji będzie.

Odwiedził mnie dosłownie w trzy miesiące później. Usiadł

naprzeciw mnie i bez słowa patrzył na mnie. Ja patrzyłem na niego i czekałem. Siedzieliśmy tak może z dziesięć minut.

W końcu odezwał się:

— Jest pan jasnowiedzem. Tak, jasnowiedzem czystej wody. Staje się to zrozumiałe po fakcie. I kiedy to się stało, kiedy było po wszystkim, w całej jaskrawości uprzytomniłem sobie, że paif to musiał widzieć na prawie półtora roku przed faktem. Zdumiewające.

— Ale co, proszę pana?

— Tego głupiego ptaka.

— Głupi ptak, głupi ptak... — starałem się usilnie przypomnieć sobie, co na ten temat mówiłem. — I co to był za ptak?

— Gęś, proszę pana. Zwyczajna martwa gęś.

— Martwa gęś? I jej zawdzięcza pan życie?

— Właśnie jej. Stało się to dosłownie tydzień temu. Wiozłem wielki ładunek wszelkiego rodzaju broni i amunicji. Dostarczałem ją partyzantom. Kiedy byłem u pana po raz drugi, upewnił mnie pan, że mogę się tymi sprawami zająć. Mars miał być dla mnie łaskawy. Broń dostarczałem ciężarówką. Dla niepoznaki na wierzch kładłem ładunek. Węgiel. I tego krytycznego dnia uczyniłem to samo. Węgiel przykryłem brezentem. Wczesnym świtem wyjechałem z fałszywym listem przewozowym w stronę Lublina. Tam mia-

łem przekazać broń innemu człowiekowi, a ten ją odwoził na miejsce. Kierowcę miałem bardzo dobrego. Odważny i rozsądny. Mogłem w razie czego polegać na nim. Jeździł jak szatan. A nasze drogi są nieszczerólnie. Musieliśmy bardzo uważać. Najgorsze to krowy, a w mijanych wioskach ptactwo domowe, świnie i dzieciaki. Wszystko to wałęsało się po drodze, nie mówiąc już o furmankach jadących bez żadnego ładu i składu.

Dotychczas dawaliśmy sobie z tym radę. Ale tego dnia prześladował nas jakiś pech. Co chwila musieliśmy zwalniać bieg i w ostatniej chwili hamować przed niebezpieczeństwem. Ale w jednej z mijanych wiosek nastąpił krach. Znienacka zza rogu wyszło stado gęsi. I nim zdążyliśmy zahamować, jedną z nich potrąciliśmy i padła martwa.

Na nieszczęście kierowca, zamiast zwiększyć prędkość i uciec, stanął. Momentalnie zostaliśmy otoczeni przez rozwścieczone baby. Wymyślały nam od bandytów i wygrażały pięściami. Zaczęli się schodzić chłopci. Niektórzy z widłami. Zrobiło nam się nieswojo.

„Do diabła — pomyślałem sobie — to nie przelewki. Trzeba sprawę załatwić polubownie i to natychmiast”. — Wyskoczyłem z szoferki.

—Dajcie spokój, ludzie. Ile chcecie za tę gęś?

To poskutkowało. Zaczęli się naradzać i po wielu korowodach ustalili cenę.

—Dacie 500 zł, to was puścimy, a nie, to do policji.

Dąłem żadaną sumę i wsiadłem do szoferki.

—Ruszaj i jedź jak diabeł — powiedziałem do kierowcy, a ten powiada:-

—A gęś, szefie?

—Jaka gęś?

—A ta cośmy ją sztuknęli.

—Do diabła z gęsią. Uciekajmy stąd jak najprędzej.

—O nie, szefie. Sztuknięta gęś jest nasza.

Nim się spostrzegłem, kierowca wyskoczył z szoferki, wyrwał babie gęś z ręki, rzucił byle jak na brezent przykry-

wający węgiel w ciężarówce, wpadł do szoferki, zatrzasnął drzwi i ruszyliśmy z tego fatalnego miejsca, aż się za nami kurzyło.

Byliśmy jednak zdenerwowani i każdy na swój sposób złorzeczył na przemian to babie, to głupiej gęsi.

—Cholerny pech. Zatracona baba aż 500 zł wzięła. Ech, szefie! Jeszcze takiej drogiej gęsiny nie jadłem. Ale jak dojedziemy na miejsce, sam ją upitraszę. To będzie uczta.

—Nie gadaj pan tyle. Żeby ta cholerna gęś jeszcze nam nowego licha nie ściągnęła na głowę — mitygowałem kierowcę.

Kierowca przesądnie odpukał w nie malowane drewno, a zawsze woził ze sobą polano sosnowe. Specjalnie w tym celu, żeby odpukiwać niewłaściwe, jego zdaniem, powiedzenia. Był bardzo przesądny.

Niestety, odpukiwanie nie na wiele nam się przydało.

Zanim ujechaliśmy dalsze dwadzieścia kilometrów, musieliśmy nagle zatrzymać się. Nie było ratunku. Gdyśmy wjechali na wzgórze, ujrzelśmy w dole stojące po obu stronach szosy różnego typu pojazdy. Mechaniczne i konne. Nawet dostrzeżliśmy ryksze. Kilka wozów leżało w rowie. Na środku szosy stał posterunek żandarmerii niemieckiej.

—Po nas, szefie. Czy mam jechać na nich?

—Nie. Nie damy rady. Podjedź i stań.

Stanęliśmy prawie przy samym karabinie maszynowym. Niemcy sprawdzali dokładnie każdy pojazd. Z niektórych wozów kazali wszystko wysypywać do rowu. Parę ciężarówek, wiozących tak jak i my węgiel, stało doszczętnie wypróżnionych. Węgiel leżał w rowie. Wysiadłem z szoferki. Podeszło do mnie dwu żandarmów. Pokazałem kenkartę, a w niej złożone dwie pięćsetki. Niemiec wyrwał mi ją z ręki i cisnął z wściekłością pod moje nogi. Schyliłem się, żeby ją podnieść.

—Ty Świnio nie myta! — wrzeszczał żandarm. — Gdzie masz zezwolenie na wyjazd?

Pokazałem mu je. Spojrzał, pobieżnie przeczytał i dalej wrzeszczy.

—Węgiel! Ja ci dam węgiel! Bierz łopatę i zrzucaj go z ciężarówki!

Wziąłem od drugiego Niemca łopatę i ruszyłem z nią na tył wozu. Byłem jak sparalizowany. Gdyśmy stanęli za samochodem, Niemiec podszedł do klapy, uchwycił się jej i lekko podniósł do góry. Byłem wyższy od niego i dokładnie widziałem tę cholerną gęś. On dojrzał ją również.

—Szmugiel. Szmugiel. Dawaj tę gęś i to już.

Sięgnąłem po nią i dałem mu. On pomacał ją jak znawca i nim się spostrzegłem, schował ją do obszernego chlebaka.

—Franz — krzyknął do swego towarzysza — puść ich. To tylko nędzni szmuglerzy!

A zwracając się do mnie krzyknął:

—Precz stąd, ty Świnio nie myta!

Oddałem mu łopatę, wskoczyłem do szoferki. Kierowca zapuścił motor. Niemcy krzyknęli, żeby nas przepuścić.

Puścili nas. Jak dojechaliśmy do celu, nie pamiętam. Kierowca gnał jak szalony i również milczał.

—Szefie, jak tylko wrócimy do Warszawy, zaraz idę do spowiedzi.

Głos kierowcy podziałał na mnie jak wystrzał armatni. Ale oprzytomniałem.

—Biorę niebo i ziemię na świadków i ciebie mój drogi — powiedziałem do kierowcy — że jak długo żyć będę, nie zabiję żadnej gęsi i nie będę jej spożywał. Przysięgam.

—Ej, szefie. Taki głupi ptak, a ocalił nam życie.

—I wtedy usłyszałem inny głos: „Życie będzie pan zawdzięczał ptakowi” — to był pana głos.

„Zdumiewający gbieg okoliczności” — powiedziałem po wysłuchaniu go. Ale on nie chciał nawet słyszeć o żadnym zbiegu okoliczności. To było jego zdaniem przeznaczenie. Nie zaprzeczyłem mu. Bo cóż my wiemy o przeznaczeniu?

Tym razem kabała nie wyszła. Nie umiałem nic wyczytać. Zwinąłem karty.

—A może mam przyjść kiedy indziej?

—Niech pan stara się zabezpieczyć swój majątek, a jeśli wolą naszą możemy zmieniać losy nasze, to moja przepowiednia, że utraci pan majątek, co ongiś powiedziałem, okaże się kłamliwą. Oby tak było.

Odwiedził mnie w sierpniu 1945 r. Z ogromnego majątku pozostały mu tylko wypalone mury fabryki. Powiedział mi, że, pomny moich przestroóg, postanowił majątek ruchomy zabezpieczyć. Żeby to dobrze przeprowadzić, udał się do pana Stefana. Ten mu powiedział, że najbezpieczniejszym miejscem do ukrycia zapasów surowca, półfabrykatu i gotowych wyrobów, a było tego mnóstwo, jest Warszawa. Rosjanie zajmą ją w biegu, podczas gdy inne miejscowości będą zniszczone doszczętnie. Usłuchał tej rady... i wszystko spłonęło lub zostało zabrane przez Niemców, rabujących mienie wyrzuconych z miasta mieszkańców.

Postanowił odbudować fabrykę i założyć spółkę robotniczą. Każdy pracownik byłby udziałowcem. Układ kart nie potwierdził tej idei. Natomiast nieodparcie sugerował,

że bohater horoskopu po dokonaniu „dzieła” zostanie pozabawiony korzyści osobistych. Rozżalony opuści kraj i nielegalnie wyjedzie bardzo daleko.

Żegnając się ze mną, powiedział, że ma do moich kart ogromne zaufanie, ale tym razem na pewno się mylę i źle je interpretuję. A w 1947 r. otrzymałem od niego list z Afryki.

29

Pan W. żyje do dziś. Miewa się bardzo dobrze. Nawet przeżywa trzecią młodość. A to, że żyje, działa, kocha i cierpi, zawdzięcza, jak twierdzi, mojej interwencji w jego losy. Tej sprzed 29 laty, tj. z 1941 r.

Był to pamiętny rok. W roku tym upłynęło 129 lat od napaści Napoleona na Rosję w 1812 r. W tym samym dniu, co cesarz Francuzów, Hitler uderzył na ZSRR. Zgodnie z numerologią, jaką ja stosuję, każda decyzja lub czyn podjęty pod datą, która, w stosunku do analogicznej decyzji lub czynu podjętego w przeszłości, w końcowej liczbie wykaże „9” — musi zakończyć się podobnie. W tym przypadku — klęską. Jeśli od 22 VI1941 r. — odejmiemy 22 VI 1812 r., otrzymamy 129. Na tym spostrzeżeniu oparłem w owym czasie swoje przekonanie o nieuchronnej klęsce hitlerowców.

Napaść Hitlera na ZSRR dla pana W., a o niego przecież tu głównie chodzi, miała mieć kolosalne znaczenie. Decydowała o życiu lub śmierci.

Zanim w jego życiu zdarzyła się ta zdumiewająca przygoda, pan W. siedmiokrotnie odwiedził mnie, abym mu postawił kabałę. Za każdym razem nic mu nie mogłem powiedzieć. Nie pomogło nawet to, że powołał się na najmilszego memu sercu Witolda Strusiewicza. Karty milczały jak zakłète. Sądziłem, po tej siódmej nieudanej wizycie, że więcej już do mnie nie zawita. Ale on był uparty. Przyszedł.

Pamiętam, jakby to było dziś. Szybko potasowałem karty. On przełożył je jak zwykle. Rozłożyłem je na biurku, czyniąc to niedbale, ot, aby zbyć, gdyż byłem przekonany, że

i tym razem nic mu nie wyjdzie. Spojrzałem na te obrazki i bez namysłu powiedziałem:

—Dziś panu powiem. — I powiedziałem. Nie operowałem symbolami ani przenośniami. Mówiłem jasno i zwięźle, jakbym obserwował każdy jego krok w czasie i przestrzeni. Sądzę, że wtedy byłem naprawdę jasnowidzem.

Wyszedł ode mnie nieco oszołomiony.

Kiedy przekraczał ulicę Zielną, drugą przecnicę od mego domu, natknął się na przyjaciela.

—Do diabła ciężkiego! Szukam cię od rana — zawołał na jego widok przyjaciel. — Sprawa nie cierpiąca zwłoki. Musisz najbliższym pociągiem jechać do Lwowa, a stamtąd dalej, do granicy węgierskiej. Wszystko mam w tej walizeczce. Bilety również.

Prawie siłą wetknął mu walizeczkę do ręki.

—Nie mogę tak nagle wyjechać — usiłował protestować pan W. — Muszę uprzedzić żonę — a w duchu pomyślał: „O Boże, zaczyna się”.

—Żona już uprzedzona. Idziemy na dworzec. Po drodze wszystko ci wyjaśnię.

I wyjaśnił. Podał hasło. Miejsce spotkania. Opisał człowieka, z którym ma się spotkać. Kazał dokładnie zapamiętać „legendę”, na użytek hitlerowców, gdyby go, nie daj Boże, schwytano.

Pan W. bez przygód dotarł o określonym czasie na miejsce spotkania. Noc była widna. Księżyc w pełni. W jego blasku dokładnie mógł przyjrzeć się swemu rozmówcy. Wymienili hasła. Przekazali sobie odpowiednie materiały. Zamienili walizeczki. W osobnej paczce pan W. otrzymał dolary. Paczkę włożył do wewnętrznej kieszeni letniego płaszcza. W walizeczce, jak go poinformował emisariusz, była prasa aliancka i ulotki w języku polskim.

Pożegnali się serdecznie i każdy ruszył w swoją stronę. Wczesnym popołudniem udało mu się zdobyć miejsce w przedziale pulmanu i rad z siebie czekał na ruszenie pociągu do Krakowa. Był niewyspany i zmęczony. Oparł się prawym łokciem o walizeczkę i zaczął drzemać. A potem

pograżył się w głębokim śnie. Nie słyszał, jak pociąg ruszył.

Jak długo spał, nie wiedział. Obudził się gwałtownie, jakby ugodzony sztyletem. Usłyszał wezwanie: „Hände hoch”. Odruchowo podniósł ręce do góry i spojrzał na tego, co go tak gwałtownie obudził. Ujrzał uzbrojonego cywila. „Rudy — przemknęła mu myśl — a więc jednak”. Serce w nim zamarło na chwilę, a potem zaczęło gwałtownie bić. Przedział był pusty. Na korytarzu żywej duszy. Rabuś przytknął mu pistolet do piersi, a lewą ręką zaczął szybko go rewidować. Natrafił na paczkę z dolarami. Wyciągnął ją. Wciąż mierząc weń pistoletem, rozwinął paczkę. Na widok dolarów jego oczy zaślniły chciwością.

— Nie ruszaj się, bydlaku, bo cię zakatrupię — powiedział to po polsku. Zawinął paczkę i schował do swojej kieszeni. — No, teraz mam cię, szpiegu.

Pan W. siedział jak sparaliżowany. A pociąg pędził z głuchym stukotem kół. Korytarzem nikt nie przechodził.

W pewnym momencie rabuś zaczął tyłem wycofywać się do drzwi z zamiarem opuszczenia przedziału. A kiedy odsuwał drzwi, powiedział: „Nie waż się ruszyć z miejsca. Zaraz przyjdę tu z moimi przyjaciółmi w mundurach”. Szybko wyskoczył na korytarz i zaczął się oddalać w kierunku biegu pociągu.

Panu W. wróciła przytomność. „Zwykły rabuś” — pomyślał i struchlał. Zabrał dolary. Ucieknie. Co powiem po powrocie do Warszawy? Jak się usprawiedliwie? Oskarżam mnie o sprzeniewierzenie. Lepsza śmierć niż to. Zerwał się. Schwycił walizeczkę i rzucił się w pogoń. Rabuś, słysząc za sobą kroki, zaczął biec, chcąc przedostać się do następnego wagonu. I kiedy tak gnali po korytarzu, pociąg zaczął zwalniać biegu i powoli wtaczać się na stację. Jeszcze pociąg nie stanął, a już rabuś zeń wyskoczył i zaczął uciekać wzdłuż peronu. Pan W. uczynił to samo. Na peronie było pusto. Tylko w przejściu do poczekalni stał kontroler. Na widok cywila biegnącego z pistoletem w rękę kontroler z przerażeniem uskoczył, przepuszczając obu mężczyzn.

Pan W., goniąc rabusia, nie myślał o skutkach tej pogoni.

Pragnął tylko odebrać mu pakiet. Mimo to, jakby podświadomie, spojrzął na napis na peronie i zapamiętał, że to Wierzchosławice. Świtało właśnie. Na ulicy, którą biegli w stronę pola, było jeszcze pusto. Zanim wypadli na otwartą przestrzeń, usłyszeli za sobą nawoływania: „Stać, stać!” Ale nie reagowali na nie. Ścigającemu serce podchodziło do gardła ze zmęczenia. Żeby nie krępować ruchów, walizeczkę rzucił do płytkiego rowu przydrożnego. Przyśpieszył biegu. Ścigany musiał również odczuwać zmęczenie, gdyż odległość między nimi zaczęła maleć. W końcu ścigający dopadł go. Zaczęli się szamotać. Szarpanina ta spowodowała, że rabusiowi pistolet wypadł z ręki. Chciał się schylić, by go podnieść, ale w tym momencie dopadło ich dwóch policjantów. W biegu zeskoczyli z rowerów i w mgnieniu oka rozdzielili walczących. Odebrali broń i pakiet z dolarami.

Pan W. chciał wyjaśnić, że to są jego pieniądze, ale rabuś zaczął głośno wykrzykiwać, że jest Niemcem i żądać, by wezwano gestapo albo zaprowadzono ich do Niemców. Zaprowadzili ich do komisariatu, a stamtąd zatelefonowali do Tarnowa, powiadamiając gestapo o schwytaniu dwóch podejrzanych, z których jeden podaje się za Niemca i twierdzi, że został napadnięty przez Polaka w celach rabunkowych. Tarnów polecił zatrzymać podejrzanych aż do przybycia policji niemieckiej. W dwie godziny później przybyła z Tarnowa karetka więzienna i obu pojmanych odwieziono do tego miasta i umieszczono w więzieniu.

Po spisaniu personaliów obaj zostali zaprowadzeni do pokoju mieszczącego się na drugim piętrze. Tam zostali przyjęci przez trzech cywilów. Ich widok był tak odrażający, że panu W. ciarki przeszły po grzbiecie. Zaczęło się badanie wstępne, w czasie którego bykowie poszły w ruch.

Zeznania ich protokołowano. Rabuś przyznał się, że jest Polakiem, ale nienawidzi Polaków. Zakochał się w Niemce i przyrzekł jej, że uczyni wszystko, żeby stać się godnym jej miłości. Otrzymał od jej brata broń; miał śledzić sąsiadów i donosić o wszystkich ich wrogich poczynaniach przeciw

Niemcom. Od sąsiadów dowiedział się, że w ich wiosce spotykają się szpiedzy i kurierzy, którzy tam przekraczali granicę między Generalną Gubernią a Węgrami, więc zaczął w tym kierunku węszyć. A kiedy dowiedział się, że z Warszawy ma przybyć posłaniec, czekał na jego przybycie. Tym posłańcem był właśnie ten drugi. Widział, jak spotkał się w krzakach z jakimś mężczyzną i zamienił się z nim walizkami oraz otrzymał pakiet, który schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Kiedy tamci się rozstali, on niepostrzeżenie szedł za przybyszem z Warszawy. Jechał z nim w jednym przedziale, ale nad ranem, kiedy dojeżdżali do Wierchosławie, szpieg go zaatakował, więc on wyrwał mu pakiet i zaczął uciekać. Uciekał w pole dlatego, że bał się Polaków.

Mówił tak trzy po trzy chyba z godzinę, a oni cierpliwie notowali, waląc go od czasu do czasu po gębie. Kiedy już nic nie mógł powiedzieć i tylko pluł krwią, kazali mu podpisać protokół i wyrzucili za drzwi. I wtedy zaczęło się szczegółowe badanie szpiega. Oświadczył on, i trzymał się tego z uporem, że wraca ze Lwowa. Pojechał, tam z Warszawy, żeby oddać dług honorowy żonie swego przyjaciela. Tym przyjacielem był oficer polski, który tuż po mobilizacji, zanim wyjechał na front w 1939 r., powierzył mu te dolary i pod słowem honoru zobowiązał go do wręczenia swojej żonie na wypadek, gdyby zginął na froncie. Żona jego mieszkała we Lwowie. Oficer ów zginął na froncie, a on do Lwowa nie mógł się dostać, gdyż miasto to było pod władzą sowiecką. Gdy wojska niemieckie „wyzwoliły Lwów”, uznał, że nadszedł czas, aby te dolary tam zawieźć. Niestety, Rosjanie przed opuszczeniem Lwowa część ludności ewakuowali na wschód. Wśród ewakuowanych była również żona jego przyjaciela. Dolarów nie miał komu zwrócić, więc wiezie je z powrotem do Warszawy.

Zaczęli go szczegółowo pytać o dane osobowe przyjaciela, o adres jego żony we Lwowie i o wiele jeszcze innych szczegółów, na co odpowiadał bez zajknięcia. „Legendę” opanował doskonale.

Walizki nie posiadał. Twierdzenie rabusia, że ją miał,

nazwał kłamstwem.

—Zatem dolary nie są twoje?

—Nie.

—Dlaczegoś ich nie oddał do banku, jak polecił Führer?

—Dałem oficerskie słowo honoru przyjacielowi, że pieniądze te przechowam i we właściwym czasie zwrócę jego żonie. Musiałem dotrzymać słowa. Czy pan złamałby słowo honoru?

—Milcz, Świnio! — wrzasnął Niemiec. — Wy nie macie honoru. Nie jesteście ludźmi. Mów prawdę. Skąd masz te dolary?

—Mówiłem...

Nie skończył. Otrzymał takie uderzenie bykowcem, że pociemniało mu w oczach i zachwiał się na nogach. Wtedy odczuł cios butem w nerki. Upadł. Zaczęli go kopać.

—Skąd masz te dolary. Gdzie walizka?

—Mówiłem...

—Przyprowadź tego drugiego.

A kiedy ten wszedł na ślaniających się nogach, wrzasnęli:

—Miał walizkę?

—Miał.

—Gdzie ona?

—Nie miałem walizki i nic o niej powiedzieć nie mogę.

Wtedy zaczęli bić obu na przemian. A kiedy obaj legli nieprzytomni na podłodze, wywleczono ich na korytarz. Polano wodą i po oprzytomnieniu zawleczono na dół do celi. Ale nie zostawili ich razem.

Przez następne trzy dni prowadzono ich razem na górę i poddawano najokrutniejszym torturom. W końcu rabuś załamał się całkowicie. Przyznał, że to była jego walizka. A na pytanie, co w niej było, powiedział, że szmugiel. A gdzie ją podział? Uciekając zostawił w wagonie.

Po tym „przyznaniu się”, pan W. przez trzy dni nie był wzywany na badania. Czwartego dnia, kiedy strażnik prowadził go na zeznanie, mimo woli dowiedział się, że rabuś za udowodnione winy został rozstrzelany.

„A więc stało się to, co mówił Mustafa — pomyślał

pan W. — Może Bóg da i tamto się spełni”.

Ale kiedy zaczęli ponownie go bić, a potem na całą dobę zamknęli w „korycie”, zwątpił we wszystko.

Po uwolnieniu z „koryta” był cały jak połamany. Leżał na pryczy i majaczył w gorączce.

A później zaczęły płynąć dni za dniami i nikt się nim nie interesował. Do jego celi przybywali wciąż nowi więźniowie na miejsce tych, co odchodzili: na rozstrzelanie, do

transportu do obozów koncentracyjnych, a bardzo rzadko na wolność. Po paru tygodniach pobytu tam znalazł już dokładnie niepisany regulamin więzienia. Znał godziny, w których wyprowadzano więźniów na rozstrzelanie, godziny transportów i godziny wezwań na badania.

Zatracił poczucie rzeczywistości. Zwątpił w siebie. Był na pograniczu załamania. Ale pewnego dnia, tuż przed pobudką, jakby prąd nim wstrząsnął. Usiadł na pryczy, wlepił nieprzytomne oczy w zabite deskami okno i zaczął głośno liczyć. A kiedy wykrzyknął: „osiem!”, poderwali się wszyscy ze swoich barłogów.

—Co mu jest? — pytali. — Zwariował? Czego wrzeszczysz?

—Nie wrzeszczę — powiedział pan W. — a liczę. Dziś wyjdę na wolność.

—A jednak on zwariował.

—Nie zwariowałem. Zobaczycie, że dziś wyjdę na wolność.

—A skąd o tym wiesz? Miałeś sen proroczy?

—Nie.' Ale tego dnia, kiedy, nie wiedząc o tym, że wyjadę, musiałem wyjechać z Warszawy do Lwowa, byłem u jasnowidza. Powiedział wtedy, że po wyjściu od niego, zamiast do domu, udam się w podróż. Do celu dotrę szczęśliwie. Jednak w powrotnej drodze zostanę napadnięty i obrabowany przez rudego mężczyznę. Schwytają nas i obu wsadzą do więzienia. „Rudego” rozstrzelają, a mnie po wielu torturach wypuszczą na wolność.

—Cuda, cuda — zadrwił któryś.

—I powiedział ci, w którym dniu wyjdiesz — zapytał inny.

—Powiedział, że wyjdę na wolność tego dnia, który dodany do miesiąca i roku da w sumie liczbę „osiem”.

—A... To dlatego wrzeszczałeś „osiem”?

—Przyszło to nagle — powiedział pan W. — Zdawało mi się, że usłyszałem głos i słowo: „Licz” i dlatego zacząłem liczyć. I wypadła mi „ósemka”.

Zaczęli wszyscy sprawdzać. Ani chybi „ósemka”.

Wtedy na ten cud wyjścia pana W. z więzienia zaczęli wszyscy z drżeniem serc czekać. A czas płynął. Minęła pora zeznań, jego nie wezwano. Minęła pora wyprowadzania do transportu, jego nie wezwano. Minęła pora, w której niekiedy zwalniano — jego nie wezwano. Miny im zrzedły. A on? Osowiał i stracił wszelką nadzieję.

—No widzisz, frajerze — odezwał się któryś. — Twój jasnowidz to zwykły nabieracz. Udało mu się przypadkiem odgadnąć, że będziesz w podróży.

—Ja nie jestem jasnowidzem — zaśmiał się inny — ale na dziesięciu frajerów, dziesięciu mogę przepowiedzieć, że będą aresztowani i uwięzieni, i okaże się to prawdą. Przecież teraz najłatwiej o więzienie.

Wezwano go na górę o godzinie 18. Pora, o której nic, zgodnie z niepisanym regulaminem, nie działo się ciekawego w więzieniu. Wszyscy przyjęli to ze zdumieniem. Zaś pan W. — jak mi później opowiadał — szedł za strażnikiem jak wół do rzeźni. Był kompletnie załamany. Wszystko zawiodło. Jeśliby znowu zaczęli bić, postanowił powiedzieć prawdę. Niech raz wreszcie wszystko się skończy. Lepsza śmierć niż tortury.

Jego kat stał z bykowcem. Był sam. Kiedy strażnik zamknął za sobą drzwi i zostali sami, ten powiedział:

—Jesteś, bydlaku, wolny.

Więźniowi zawirowało w głowie. Nie mógł tego pojąć.

Ten, jakby to wyczuwając, powiedział:

—Ja ci, bydlaku, nie wierzę. Ale muszę cię zwolnić. Takie mam polecenie z Warszawy. Musisz tylko zapłacić 30 tysięcy złotych grzywny za nielegalne posiadanie obcej waluty.

—Trzydzieści tysięcy — jęknął mimo woli więzień.
— Skąd ja wezmę tyle pieniędzy?

—Już za ciebie zapłacili. Bierz dokumenty, przebieraj się, ale szybko, i precz stąd, bo nie wytrzymam i strzelę ci w łeb.

—A dolary? Co z dolarami? Dałem słowo honoru.

—Milcz, Świnio.

Do celi już nie wrócił. Karetką więzienną odtransportowali go na dworzec. Niemiec w cywilu pomógł mu wsiąść do przedziału „Nur für Deutsche” i polecił go opiece siedzącego tam oficera Wehrmachtu, który, jak się okazało, jechał również do Warszawy.

Rano następnego dnia, po wyjściu na wolność, pan W. zameldował się w Warszawie, gdzie należało. Tam dowiedział się, że jego walizeczkę ukrył trzeci policjant, a następnie odwiózł do Warszawy. Poinformował ich o losie pana W. A oni uczynili wszystko, żeby go wykupić. I udało im się.

Pan W. jednak do dziś twierdzi, że gdyby nie moja wypowiednia, nie wyszedłby z tej przygody cało. Niech sobie twierdzi.

30

W połowie października 1941 r. zgłosił się do mnie niejaki pan Grabarek. Powiedział, że dzielnica, w której mieszkam, ma być wydzielona dla Niemców, a wszyscy Polafty zostaną przesiedleni do innych dzielnic. On mieszka tuż przy moście Kierbedzia. Ma tam trzypokojowe mieszkanie na drugim piętrze w niezbyt starej kamieniczce. Jako mąż volks-deutschki, z bólem serca przyszedł zaproponować mi zamianę. On z rodziną zajmie moje mieszkanie, a ja jego.

—Mógłbym oficjalnie dostać przydział na to mieszkanie, ale jestem Polakiem, więc pan rozumie...

Rozumiałem i zgodziłem się. Podał mi swój adres, abym obejrzał mieszkanie. Po jego wyjściu udałem się o piętro wyżej, do pana Lipperta. Na szczęście był w domu. Potwierdził, że faktycznie mamy być stąd wysiedleni i dodał, że ma odpowiednie stosunki i za niewielką sumę może mi załatwić sprawę przydziału mieszkania w dawnej dzielnicy

żydowskiej. Zgodziłem się. Tym niemniej postanowiłem obejrzeć mieszkanie pana Grabarka. Nie zastałem go w domu, więc postanowiłem udać się do administratora domu, żeby choć cokolwiek dowiedzieć się o tym mieszkaniu. Dozorca poinformował mnie, że administratorem jest kobieta i że w tej chwili można ją zastać. Udałem się zatem na pierwsze piętro. I gdy stanąłem pod drzwiami wskazanego numeru, ujrzałem na drzwiach wizytówkę z napisem: „Administrator — Olga J. geborene G.” Zmroziło mnie to „geborene”, a jako że nie jestem zbyt odważnym człowiekiem, w pierwszej chwili zapragnąłem dać nogę. Ale jak to u tchórzy bywa, desperacko nacisnąłem dzwonek, myśląc w duchu: „raz kozie śmierć” i po chwili znalazłem się twarzą w twarz z panią wprawdzie nie pierwszej młodości, ale dość jeszcze apetyczną, choć w stroju niedbałym.

Ku memu niezmiernemu zdumieniu wykrzyknęła:

—Mein Gott, Mustafa we własnej osobie.

Mam wrażenie, że miałem wtedy minę nietęgą, kto wie, może nawet otwarte usta.

Gestem zaprosiła mnie do pokoju. Usiadłem na dość chwiejnym krześle przy okrągłym stole. Pokój był ciemnawy, meble pospolite. Na ścianach wisiały jakieś oleodruki, w rodzaju jeleni na rykowisku i „Anioł Stróż unoszący się nad dzieckiem idącym po pniu drzewa zwalonym nad przepaścią”. Na honorowym miejscu wśród tych bohomazów widniał portret Führera z kosmykiem włosów spadającym na czoło.

Czekałem, a ona, zamiast zacząć rozmowę, zawołała w głąb mieszkania:

—Rudi, Rudi, chodź, pokażę ci tego jasnowidza!

„O, do diabła” — pomyślałem sobie i struchlałem na widok wchodzącego tęgiego draba w nie dopiętym mundurze podoficera SS. Był rudy, oczy miał maleńkie, wyblakłe, twarz nalaną, czerwoną, brwi jak świńska szczecina, ostre, rzadkie, nastroszone.

—Ten? — w głosie jego odczułem bezdenną pogardę.

Usiadł naprzeciw mnie przy okrągłym stole. Ona usiadła

obok, tuląc się do niego.

—I cóż za „proroczy” przypadek sprowadził pana do mnie?

Powiedziałem, że niejaki Grabarek mieszkający w tym domu zaproponował zamianę mieszkania i skierował mnie do niej jako administratora.

—Znam Grabarka. To idiota, ale ma mądrą żonę Niemkę i dzięki niej jego dwoje dzieci przyjęło folkslistę, co i jemu pozwoli żyć po ludzku. Mieszkanie ma ładne. Ale... — zawiesiła głos.

Myślałem gorączkowo, ale ani rusz nie mogłem sobie uzmysłwić, kiedy poznałem tego babsztyla i co jej jako wróżbita powiedziałem.

—Zanim przystąpimy do interesu, niech pan mi powie, czy pan mnie pamięta?

Powiedziałem, że nie.

—Ma pan szczęście, że nie jestem mściwa, bo gdybym nią była, siedziałby pan już w obozie koncentracyjnym. Prawda, Rudi? — Rudi burknął, że prawda. — Byłam u pana dwa lata temu na wróżbie. Przeraził mnie pan; ale dzięki Rudiemu — pogłaskała go po owłosionej ręce — wróciłam stopniowo do równowagi.

—Mój Boże — zawołałem — czym panią tak przeraziłem?!

—Powiedział pan rzecz straszną. Według pana przepowiedni przez około sześć lat będę kroczyła nad przepaścią, rozejdę się z mężem, popełnię „jakieś nieokreślone przestępstwo”, za co grozi mi nieodwołalnie pięć lat więzienia, w którym będę zamknięta. W dodatku stanę się przyczyną tego, że mój syn będzie również sądzony. Dla niego los będzie łaskawszy i uniewinnią go. W moje życie wejdzie nowy mężczyzna w¹ mundurze wojskowym, ale nasze losy nie są wspólne. I jeszcze wiele innych rzeczy, których treści już nie pamiętam.

— Führer takich „Wahrsagerów” każe zamykać w obozach koncentracyjnych — Rudi mówiąc to, uderzył pięścią w stół. — Ale Olga nie jest mściwa. Niemieckie kobiety są dobre. Niech pan dziękuje Bogu. A mieszkać w tym domu nie radzę. Niech pan szuka sobie mieszkania gdzie

indziej, a my tym mieszkaniem zajmiemy się we właściwy sposób.

Ten „właściwy sposób”, jak się niebawem przekonałem, polegał na tym, że po „załatwionej transakcji” dadzą mi 1500 zł za zrzeczenie się praw do tego mieszkania. Zrzekłem się go na piśmie. 1500 zł oko moje nigdy nie ujrzało, ale rad byłem, że się stamtąd wyrwałem.

W pierwszych dniach powstania dom ten został spalony. Na trzy dni przed wybuchem powstania do mego mieszkania zawitał pan Henryk W., a z nim syn pani Olgi ...sky z żoną.

Wtedy się dowiedziałem, że Juliusz ...sky, za namową matki, przyjął folklistę i przez cały czas pracował jako funkcjonariusz gestapo w al Szucha. Matka była dumna z syna, że jest „prawdziwym Niemcem”, a syn, korzystając z munduru gestapo, zajmował się przechowywaniem, transportem, wyszukiwaniem kryjówek dla Żydów, nie wzdrażając się też przed innymi „przestępstwami na szkodę Führera”.

Teraz razem z Henrykiem uciekają z Warszawy, gdyż szykuje się tu awantura, z której Warszawa nie wyjdzie cało. Zaproponowali, żebym zostawił wszystko i udał się z nimi do Łodzi. Mają konia, furmankę, a nawet prowadzą za wozem krowę, którą złapali gdzieś koło Strugi.

Podziękowałem im za dobre chęci i zostałem w Warszawie.

W 1946 r. przypadkowo spotkałem pana Henryka W. na ulicy. Ucieszył się bardzo na mój widok. Wiedział, że byłem zabrany do obozu i był przekonany, że nie wyjdę z niego.

Trochę mi urągał, że wtedy nie posłuchał go i nie uciekł z Warszawy, co zaoszczędziłoby mi wielu cierpień. Odpowiedziałem mu na to, że każdy człowiek ma swoją własną drogę do śmierci, i zanim nie przyjdzie właściwy czas, musi żyć i męczyć się.

I przyszedł mi na myśl Juliusz ...sky.

— Juliuszowi powodzi się dobrze. Miał sprawę w Łodzi, ale na swoją obronę miał tylu świadków, że został uniewinniony. Gorzej z jego matką, panią Olgą. W sądzie wy-

szło na jaw wiele świństw, których doznali od niej ludzie, dla których, gdyby nawet nie przyjęła folkslisty, nie znalazłaby pobjaźnienia. Skazano ją na pięć lat więzienia. Siedzi w Łodzi. I będzie siedziała. Juliusz ją czasem odwiedza. Pogodził się z ojcem, ale rozszedł się z żoną. Ot, takie życie.

„Ot, takie życie — pomyślałem — ale dlaczego na sześć lat przed, tymi faktami z takich, zdawałoby się, głupich «obrazków», jakimi są moje karty, przepowiedziałem to? I dlaczego, mimo że o tym wiedziała, kroczyła taką, a nie inną drogą. I co ona teraz, siedząc w więzieniu, myśli o mnie? Nie była mściwa... Ale mogła być...”

31

Jesienią 1943 r. niemiecka poczta polowa przekazała z frontu wschodniego list, zaadresowany na moje nazwisko. Numeru poczty polowej już nie pamiętam. Nadawcy na kopercie nie było. Długo trzymałem ten list w ręku, zanim, pełen niepokoju, otworzyłem go.

Pisał Tadzio. Do nazwiska miał dodane „von”. Tadzio? A więc on? Fantasta, poeta, kawalarz, blagier... a teraz... Taki dobry, szlachetny, a teraz? Bardzo wiele zawdzięczałem mu. W maju 1934 r. przybyłem do Warszawy. Cały mój majątek, to 20 zł, które otrzymałem na „drogę życia” po otrzymaniu świadectwa dojrzałości. Pierwszą osobą, z którą zetknąłem się w przedpokoju pani senatorowej Śliwińskiej przy ul. Świętokrzyskiej 5, był właśnie on, Tadzio. Kiedy odchodziłem z kwitkiem od pani prezes, on zaprowadził mnie wbrew jej woli na ul. Miodową 6 do Ogniska Akademickiego i powierzył pieczy Józefa Chęcińskiego, kierownika tegoż Ogniska. Dla upamiętnienia tej szczęśliwej chwili udaliśmy się do „Joska” przy ul. Długiej i jak najuczciwiej te dwadzieścia złotych przepiliśmy.

Treść listu była ohydna. Tadzio pisał, że jest dumny, bo został oficerem i służy w najszlachetniejszej jednostce SS. Nie szczędzi i szczędzić nie będzie wysiłków dla zwycięstwa Fiihrera. Jest mu bardzo dobrze wśród wspaniałych chłopaków

niemieckich, synów dzielnego narodu nadludzi. Pisze do mnie, bo chciałby z kimś, kto go zna z dawnych dni, podzielić się swoją radością. I prosi mnie jednocześnie, abym pod podany numer poczty polowej przesłał mu jego horoskop. Podał wszystkie dane niezbędne do jego opracowania.

Byłem po przeczytaniu tego listu dosłownie chory ze wściekłości. Taka Świnia. Takie bydło. Znałem jego rodziców. Siostrę. Brata. Wszyscy uczciwi, prawi Polacy. A on? Zdrajca.

Listu jednak nie zniszczyłem. Gnębiłem się niemal cały tydzień, w końcu jednak usiadłem i zacząłem układać jego horoskop. Obliczałem, skreślałem, ponownie liczyłem. A im więcej i bardziej w te liczby wnikałem, tym radośniej zacieriałem ręce. Nawet niecierpliwie chodziłem po pokoju, jak to czynią więźniowie w swych celach.

— Czekał, cholero, ja ci wyślę horoskop.

Obliczyłem wszystko. Podałem mu w tym horoskopie wszystkie ważniejsze zdarzenia z jego przeszłości, a następnie udowaśniałem mu, że mimo moich najszczerzych chęci nie przeżyje on dwóch lat i umrze w tym samym dniu, w którym ujrzał światło dzienne.

Na siedmiu stronach maszynopisu pisałem mu o tym z okrutną satysfakcją, wydając nań wyrok śmierci. Śmierci wyliczonej z daty urodzenia. Nie miałem żadnych skrupułów, że mogę się przecież mylić, a tego zawsze się boję. Złożyłem papier, umieściłem w kopercie. Kopertę zakleiłem i zaadresowałem. Było to w niedzielę wieczorem. W poniedziałek rano miałem go wrzucić do skrzynki pocztowej. A w nocy ujrzałem we śnie Tadzia. Biegł jak szalony przez pole. Pole było czarne, zaorane. Krajobraz ponury i zamglony. Ciężko bardzo oddychał. Czuję, że biegnie resztkami sił. Biegł w stronę kanału. Dziwny to był kanał. Wąski, woda w nim była czarna jak smoła i jak smoła gęsta. Stał nad tym kanałem bezradnie. Obejrzał się za siebie. W górze pojawiły się dwa samoloty. Zbliżały się w jego stronę. Zaczął uciekać wzdłuż tego kanału. Usłyszał ujadanie psów. Jakby

z podziemi wyłoniła się grupka Niemców z psem na smyczy. Tadzio dojrzał ich i desperacko skoczył do tego kanału. Woda nad nim zafalowała. A potem lustro wody stało się martwe, ciemne, straszne.

Obudziłem się zlany potem. Leżałem, długi czas nie zdając sobie sprawy, gdzie jestem. Do rana nie mogłem już usnąć. Rano wrzuciłem ten list i horoskop do ognia. Kiedy spłonął, odetchnąłem z ulgą. Jakby mi kamień spadł z serca.

W południe wpadł do mnie Tadzio. Żywy i- zdrów jak ryba. Ubrany był po cywilnemu.

—Dostałeś mój list?

—Dostałem.

—Napisałeś horoskop?

—Napisałem.

—Wysłałeś?

—Nie. Spaliłem idziś rano i list, i horoskop, bo miałem zły sen.

Tadzio westchnął głęboko i z ulgą.

—Chwała Bogu, żeś tego horoskopu nie wysłał, bobyś miał gestapo na karku. Ale po jaką cholere spalileś go? Co się stało, nie odstanie. Jak przeżyjemy, napiszesz mi nowy. Spieszyłem się jak cholera, żeby cię uprzedzić, bo gdybyś wysłał ten horoskop, byłbyś w strasznym niebezpieczeństwie.

—Idź do diabła — powiedziałem na to z wściekłością.

—Ja z Niemcami, a więc i z tobą nie chcę mieć do czynienia. Twój brat gnije gdzieś w obozie, ojciec umarł, matka i siostra ukrywają się, a ty, zdrajco, zostajesz oficerem SS.

Tadzio słuchał w milczeniu, patrząc na mnie z jakimś dziwnym politowaniem. ! wreszcie powiedział:

—O twojej inteligencji nigdy nie miałem wygórowanego mniemania, ale żeś taki jolop, to nigdy mi to na myśl nie przyszło. Jesteś zwykłym ciemniakiem. I takiego nazywają jasnowidzem? Teraz rozumiem Owidiusza i wiem, kogo miał na myśli, mówiąc: „o, nieszczęsna ciemnoto jasnowidzów”. Ciebie miał na myśli i to dwa tysiące lat temu.

—Wykręcasz kota ogonem.

—Otrzymałem rozkaz i rozkaz wykonałem. Niestety, wpadliśmy. Dwóm udało się uciec do partyzantów na Białorusi, jednego Niemcy zdążyli zastrzelić. A ja, jak widzisz, gnałem do Warszawy, żeby i ciebie w to diabelstwo nie wpakować. Bądź zdrow. I szkoda, że nie masz tego horoskopu. I czy choć był dobry?

—Bardzo pomyślny — powiedziałem na to.

—To daj gęby i bądź zdrow. A do polityki się nie mieszaj. To sprawa ludzi zwyczajnych.

Przytulił mnie do siebie, a potem lekko odepchnął i wyszedł.

W lecie 1945 r. powiedziała mi jego żona, że Tadzio zmarł 20 lipca 1944 r., a więc w dniu swoich urodzin. Zglądzi go we Flossenburgu jako zdrajcę Trzeciej Rzeszy.

32

Panu Ludomirowi Różyckiemu dwukrotnie stawiałem kabałę. W obu przypadkach chodziło mu raczej o pokrzepienie serca niż o ciekawość co do swojej przyszłości”. Po kilku zdawkowych słowach, zorientowałem się, że panu Różyckiemu zagraża utrata słuchu i wyczułem, że tego najbardziej się boi. Więc zacząłem rozsnuwać przed nim czarowną nić długiego i pogodnego dlań życia. Życia twórczego i pełnego zaszczytów. Twierdziłem, że czeka go nieprzemijająca sława. I że na równi z Moniuszką przejdzie do historii muzyki polskiej. Słuchając tego, usiłował niby protestować, ale wyraźnie odczuwałem, że sprawia mu to wielką wewnętrzną radość. A radość dla takich ludzi to jak pierwszy blask słońca dla wzrastającej rośliny.

Podczas drugiej wizyty, a było to pod koniec 1943 r., pan Ludomir powiedział mi o przepowiedni, jakiej na kilka lat przed wojną udzieliła mu pani Mirta Noel. Panią Mirtę znałem. Ale wtedy była to już zgrzybiała staruszka i niestety, jak to w starości bywa — nieco zidiociała, co i mnie czeka). W rozmowie ze mną powiedziała ni stąd, ni zowąd, że krasnoludki jej służą. I służą wiernie. Nawet jak je prosi, to i piec potrafią zreperować. Robią to przeważnie w nocy.

A może te „krasnoludki” naprawdę jej służyły? Pan Prosper Szmurło, wielce czcigodny prezes Towarzystwa Metafizycznego, utrzymywał, że obcuje z duszkiem. Duszek ten, kiedy on siedział w swoim gabinecie, pogrążony w półmroku, wychodził zza komody i w postaci małego, puszystego, białego jak śnieg zwierzątka biegał po pokoju. Doszło do tego, że pan Prosper kupił gumową kość, jak to właściciele szczeniąt psich czynią. Kość ta bardzo przypadła do gustu duszkowi i bawił się nią zapamiętale. Ale tylko wtedy, gdy pan Prosper był sam. Jak tylko ktoś wchodził do jego gabinetu, duszek znikał w mgnieniu oka. Nie mam podstaw wątpić w słowa pana Prospera.

— Stawiając karty, pani Noel, po krótkim namyśle, powiedziała mi — zaczął swoje opowiadanie pan Ludomir — że nim upłynie kilka lat, będę jak oszalały biegł poprzez płonące ulice Warszawy z panem Twardowskim pod ręką. Gdy to usłyszałem, szczerze mówiąc pomyślałem: „idiotka”, i dalszych jej bajdurzeń już nie słuchałem.

Kiedy płaciłem za wróżbę, dodała: „Ten pan Twardowski to czarownik”. Zły zapytałem: „Czy ten, co diabłu na księżyc uciekł?” „Ten sam”, powiedziała jak najpoważniej i zamknęła za mną drzwi.

W rok później komponując „Pana Twardowskiego” pojęcia nie miałem, że jest to początek spełniania się przepowiedni pani Noel. Na niecały miesiąc przed wojną skończyłem pisać i zaniósłem utwór na Świętokrzyską do wydawcy. Spodziewałem się, że zostanie wydrukowany w 1940 r. We wrześniu 1939 r. wybuchła wojna. A kiedy Niemcy w 25 dniu wojny zaczęli zasypywać Warszawę lawiną bomb burzących i zapalających, ja, proszę pana, biegłem środkiem Świętokrzyskiej, ściskając pod pachą mego „Pana Twardowskiego”, pragnąc go za wszelką cenę ocalić przed zniszczeniem. Do wydawcy dotarłem prawie na pięć minut przed uderzeniem w jego dom bomby burzącej. I zanim zdążyłem dobiec do placu Napoleona, już nie było tego domu, a pozostałe płonęły. Kiedy się w końcu schroniłem do jakiejś bramy i spojrzałem na mój utwór, przypomniałem sobie

słowa pani Noel: „Ten pan Twardowski to czarownik”.

Od tego czasu największym sentymentem darzę ten utwór.

33

Z 6 na 7 września 1944 r. śniło mi się, że jestem na placu kościelnym. Posuwałem się wraz z tłumem do kościoła. Tłum był podzielony: kobiety z dziećmi szły osobno, mężczyźni osobno. Wszedłem tam ostatni. Minałem kruchtę i wstąpiłem do nawy. W dali, ponad głowami tłumu, płonęła lampka oliwna, rzucając nikły cień na postać Chrystusa. Po bokach tej wielkiej nawy, zamiast ławek kolektorских, stały w dwurzędzie metalowe, trzypiętrowe łóżka. Podobne łóżka zobaczyłem na jawie w Dachau w parę dni później. Na łóżkach tych w nędznych barłogach leżeli nogami do wyjścia mężczyźni. Mieli głowy owinięte w brudne gałgany. Niektórzy z nich byli bez rąk, a niektórzy bez nóg. I w miarę, jak kroczyłem naprzód, postacie leżące na owych łóżkach były coraz potworniejsze. Gdy je mijałem, podnosiły głowy. Zdawało mi się, że chcą do mnie przemówić.

Stałem i chciałem ich zapytać, kim są, ale w tym momencie doleciało wycie syreny, obwieszczającej nalot. W kościele zawrzało. Tłum zakotłował się. Z łóżek spełzali ranni i razem z tłumem podążali ku wyjściu.

To samo w marcu 1945 r. przeżyłem na jawie w czasie nocnego nalotu na Frankfurt nad Menem. Byliśmy zamknięci na trzecim piętrze. Kiedy nadleciała fala bombowców, które zaczęły zrzucać bomby burzące, chorzy z naszego rewiru spełzali z łóżek i szturmowali drzwi. Ryczeli z rozpacz i strachu. Ja tuliłem się do betonowego filara. Sanitariusz tańczył z radości, że tyle bomb spada na Niemców.

Potem wszystko znikło. Ujrzałem się przed kościołem. Na placu płonęły świece dymne, tworząc coraz to gęściejszą zasłonę, aż stało się ciemno jak w nocy. Biegłem w tym dymie jak oszalały. A potem znalazłem się na otwartej przestrzeni. Miejsce to wydało mi się znane. Przypominało obecny plac. Na Rozdrożu. W dół stromo opadała droga.

Do złudzenia przypominająca Agrykolę. Pobiegłem tędy i dotarłem do mostku. Pomnika Sobieskiego tam nie ujrzałem. Ale dostrzegłem plac, a na nim traki tartaczne. Uwijali się tam ludzie. Zamiast pniami drzew cały plac był pokryty przymami ułożonymi z nagich, potwornie wychudzonych zwłok ludzkich. Zwłoki te układano na traki i piłowano.

Taki plac, a na nim tysiące, tysiące trupów ułożonych w stopy, ujrzałem w marcu 1945 r. w Belsen.

Wszedłem na ten plac. Żywi mnie nie dostrzegali. Pracowali pilnie. Zapytałem jednego z nich, czy nie widział moich bliskich. Odpowiedzi nie otrzymałem. Podszedłem do człowieka stojącego beczynnie na uboczu. Zapytałem:

—Gdzie jest ulica Klasztorna?

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie, ale odpowiedział:

—Jeśli stąd wyjdiesz, idź tak długo, aż wejdiesz na ulicę Kościelną. Ona cię zaprowadzi do bliskich.

Kiedy ledwie powłócząc nogami, pierwszy raz wyszedłem w maju 1945 r. z koszar w Zelle, by obejrzeć miasteczko, nie dochodząc do parku ujrzałem napis „Kirchenstrasse”; więc wkroczyłem w tę ulicę i ruszyłem do Polski, żeby szczęśliwie dotrzeć do Warszawy, a stało się to dnia 7 lipca.

Nazajutrz po tym śnie, tj. 7 września 1944 r. z naszej kamienicy wyszli mieszkańcy. Wyszedłem i ja. Nad miastem panowała dziwna cisza. Pożar jednak buszował wokoło. Ulice były pokryte gruzem i szkłem. Szliśmy przyśpieszonym krokiem w kierunku ulicy Żelaznej. A przed nami i za nami tłum gęstniał. To z bocznych ulic dołączali do korowodu inni. Gdyśmy wkroczyli w ulicę Miedzianą, a stamtąd dotarli do ulicy Srebrnej, gruzów było coraz więcej i ludzi mrowie. Towarową w stronę Wolskiej parła już lawina. Kobiety, starcy, dzieci. Niektórzy o kulach. Innych prowadzono pod rękę... Jeszcze innych niesiono na byle jakich noszach. Szli w milczeniu. Głowy mieli pochylone ku ziemi. Wszyscy byli brudni, zadymieni, przyprószeni pyłem i sadzą. Przy Wolskiej tłum falował jak morze. Wolska była uprzątnięta i czysta. Szeroka. Stali tam Niemcy i patrzyli na nas. Na ich widok poczułem w gardle jakąś suchość,

a w piersi dziwne rżenie, może łkanie? Nie wiem.

Gdy tłum na chwilę stanął w miejscu, do naszej grupy podszedł szczupły, siwawy wojskowy. Zapytał, czy jest wśród nas ktoś znający język niemiecki. Padło słowo „tak”.

— Jestem Węgrem. 'Współczuję waszej niedoli, ale nic wam pomóc nie jestem w stanie. Proszę was tylko, uważajcie. Zaprowadzą was do Pruszkowa. Chorych i starców oraz dzieci wywiozą dalej od linii frontu i zostawią w spokoju. Młodych wywiozą do Niemiec, większość, niestety, do obozów koncentracyjnych. Nie ufajcie nacjonalistom ukraińskim. Jeśli będziecie zmuszeni zwracać się o jakąkolwiek pomoc, to wśród strażników szukajcie starych Niemców, żołnierzy Wehrmachtu. Unikajcie SS-manów, to są mordercy.

Przed kościołem na Woli rozdzielono nas. Nieco inaczej to się stało niż we śnie. Niewiastom i dzieciom kazano wejść do kościoła, a nas mężczyzn ustawiono w szeregach pod murem cmentarnym. Po sprawdzeniu dokumentów, a trwało to około dwóch godzin, ustawiono nas czwórkami i pod zbrojnym konwojem pognano Wolską do Bema, a tamtędy do Dworca Zachodniego. Do Pruszkowa przybyliśmy : pociągiem elektrycznym. Po drodze widzieliśmy spacerujących ludzi, bydło pasące się na polach, słońce na niebie i wierzyć się nam nie chciało, że świat się nie skończył.

W kilka godzin później przywieziono kobiety. Odnalazłem wśród nich swoich bliskich. Otrzymaliśmy miskę kapuśniaku. Byłem tak wygłodzony, że smakował niczym ambrozja.

Nie próbowałem uciekać. Biernie zdałem się na los. Leżąc na betonie patrzyłem na wielkie matowe szyby, po których jak w teatrze cieni nieustannie przesuwały się i znikwały w otchłani kontury przechodzących za oknem ludzi. Cienie te jeszcze i teraz, po przeszło ćwierć wieku, gdy czasem jestem w nieszczególnym nastroju i przymykam oczy, snują się pod powiekami.

Na wiosnę 1944 r. moja stała klientka pani B. przypro-
wadziła na seans swoją kuzynkę. Pani B. odwiedzała mnie
bardzo często, utrzymując, że moje przewidywania zawsze
jej się sprawdzały. Doszło do tego, że w domu, jeśli kazała
komuś coś zrobić, pytano ją, czy aby pan Mustafa jej
tego nie zalecił?

Kiedyś, pamiętam, przyszła do mnie ogromnie uradowa-
na, że tak, jak przewidywałem, w określonym czasie, udało
się jej wykupić od Niemców syna, którego trzymali na
Skaryszewskiej. Ale ja ją, niestety, bardzo szybko sprowa-
dziłem z obłoków na ziemię. Powiedziałem, że w najbliższy
czwartek, a było to we wtorek, syn jej zostanie złapany na
ulicy. Wydobędzie go i tym razem, ale będzie to o wiele
więcej kosztowało. Wychodząc z tego seansu, przysięgała
mi, że uczyni wszystko, aby do tego nie doszło. Nie wypuści
syna z domu, choćby go miała łańcuchami przykuć do
ściany. Albowiem wierzyła, że to, co powiem, musi się stać.

Syn był młody i zielony. Mimo tylu przykładów, jakie
mu matka przytaczała na moją obronę, twierdził, że jestem
tylko cwaniakiem, co wyłudza od ludzi pieniądze. To, iż
powiedziałem jej, że wydobędzie go w określonym dniu ze
Skaryszewskiej, trafiło mi się po prostu jak ślepej kurze
ziarnko. Więc i tym razem i ją, i mnie wykpił. Na płacz
i błagania matki, żeby tego dnia z domu nigdzie nie wy-
chodził, zgodził się dla świętego spokoju.

Uszczęśliwiona matka poszła do pracy. Syn potulnie siedział
w domu... tak długo, aż zabrakło mu papierosów. Budka z
papierosami stała nie opodal na rogu. Wystarczyło
wyjść z bramy, przejść dziesięć kroków, skrócić dwa
kroki za róg i cel osiągnięty. Wyszedł.

O szesnastej, matka, przechodząc koło tej budki, z prze-
rażeniem dowiedziała się od sprzedawczyni, że niecałe pół
godziny temu syna jej, kiedy kupował papierosy, zabrali
gestapowcy. Wraz z innymi mężczyznami złapanymi na ulicy
wpakowali go do budy i odjechali.

Wykupiła go i tym razem, ale kosztowało to ją bardzo wiele.

Kuzynce postawiłem kabałę. Nigdy nie pytałem swoich interesantów, jaka troska sprowadza ich do mnie. Zawsze, z lepszym lub gorszym wynikiem, starałem się rozszyfrować sam ich los, bez ich pomocy. Powiedziałem, że z układu kart wynika, iż ma przy sobie dwóch mężczyzn. Po namyśle uzupełniłem — synów. Jeden z nich, ten starszy, siedzi w więzieniu, drugi znajduje się pod jej skrzydłami. O starszego niech będzie spokojna. Ma on żyć długo i dlatego w tej chwili nic mu nie grozi. Nim upłyną trzy miesiące, wróci do domu z bronią w rękę. Jeśli zamierza go wykupić, nic z tego nie wyjdzie. Za niego nie wolno jej nawet złotówki dać. On musi wyjść bez jej ingerencji. Ale tego drugiego, na Boga, niech strzeże, albowiem zginąć może i to w jej obecności.

Wyszła, jak później mi mówiła, rozczarowana. A do kuzynki powiedziała — idiota.

Jej syn siedział na Pawiaku, o tym przynajmniej wiedziała. Za jego uwolnienie winna była w najbliższych dniach zapłacić milion złotych. „Wyjść stamtąd i do tego z bronią w rękę... O, Boże”.

Miliona złotych nie udało się zdobyć. A pierwszego sierpnia wybuchło powstanie. Siódmego dnia powitania do schronu, w którym siedziała z młodszym synem, wszedł starszy syn z opaską AK na rękę i ze stenem w rękę. Odbili go wraz z grupką Żydów.

Mimo silnego ostrzału i lęku o młodszego syna, kazała mu natychmiast biec do kuzynki mieszkającej na tej samej ulicy, o parę domów dalej.

— Powiedz jej! — wołała za biegnącym synem — że Jurek wrócił, a Mustafa nie jest idiotą.

Ginęli obrońcy. Ginęło miasto. Po 63 dniach wyszła wraz z synami z Warszawy. Do wyzwolenia Warszawy mieszkali w Podkowie Leśnej. Stamtąd starszy syn poszedł na ochotnika do wojska. Dotarł szczęśliwie do Berlina. Po kapitulacji Niemiec, nie draśnięty, wrócił do matki. Młodszy brat

już nie żył.

Matka wraz z nim przedostała się w styczniu 1945 r. przez Wisłę i dotarła do Świdra do siostry. Miała w zapasie trochę złota, więc od czasu do czasu jeździła wraz z synem rowerami do Otwocka, żeby tam zaopatrzyć się w artykuły żywnościowe. Pewnego dnia wracali o szarówce przedwieczornej z targu. Z krzaków wyskoczył uzbrojony w pistolet rzeźmieszek. Zażądał oddania rowerów. Zobaczył na ręku kobiety zegarek. Zażądał, by go zdjęła i dała mu również. Odmówiła. Zaczął go przemocą zdzierać. Syn stanął w obronie matki. Wtedy z krzaków wyskoczył jeszcze jeden bandyta i w biegu strzelił z pistoletu w pierś chłopakowi.

35

Przez cały czas okupacji największym lękiem napawało mnie słowo „Dachau”. I właśnie tam mnie wywieziono.

Podróż do Dachau trwała dwie doby. Jechaliśmy towarowymi wagonami, po 60 więźniów w każdym. Pośrodku wagonu siedziało dwóch uzbrojonych konwojentów. Kiedy o świcie pociąg zatrzymał się po raz pierwszy od wyruszenia wieczorem z Pruszkowa, któryś z naszych dojrzał przez szparę kolejarza i zapytał go po niemiecku, co to za stacja? Usłyszeliśmy odpowiedź: „Glogau”, a potem komentarz po polsku: „Kiedyś to był Głogów i znowu będzie Głogów”.

W Dreźnie przez szpary w wagonie widzieliśmy ulicę idących w szeregu chłopców, ubranych w mundurki i powiewających chorągiewkami ze swastyką. W wagonach ludzie wrzeszczeli: „Wasser, Wasser!” Ale zamiast wody, na nasze wagony posypał się grad kamieni. Ich stukot uczynił na nas wrażenie kanonady z karabinów maszynowych, więc ucichliśmy i siedzieliśmy jak trusie.

Załatwianie potrzeb fizjologicznych pozostawili Niemcy naszej inicjatywie. Więc, zasłaniając strażnikom widok, scyzorykami wydrążyliśmy w podłodze wagonu otwór i tam załatwialiśmy swoje potrzeby. A robiliśmy to tak dyskretnie, że strażnicy tego nie widzieli albo udawali, że nie widzą.

W parę godzin po opuszczeniu zburzonego Drezna zatrzymano nasz pociąg na jakiejś nędznej stacyjce. Pozwolono nam nawet wyjść i pospacerować po peronie. Gdyśmy ponownie zajęli miejsca w wagonach, grono starszych pań, w strojach zbliżonych do zakonnych, poczęstowało nas małym spodeczkiem zupy. Starczyło tego zaledwie dla 10 osób z wagonu, a w wagonie było nas przecież 60. Zupkę taką dostali ci, co byli najbliżej drzwi i mieli silne pięści. Aż wstyd o tym pomyśleć: pchali się wszyscy po nią, nie dbając o własną godność. A byli wśród nas i tacy, co mieli pełne walizy jedzenia. Był nawet rzeźnik z Pragi, co w dwóch walizach wiozł cztery miliony złotych w banknotach po 500 zł zwanych „góralami”. O tym dowiedzieliśmy się w Dachau, gdzie, czekając na otwartym placu do rana, grzaliśmy się, paląc te banknoty. Właściciel tych pieniędzy, patrząc, jak pięknie płonie ognisko, ryczał jak zarzynany wół.

Do Dachau przybyliśmy o godzinie drugiej nad ranem 10 września 1944 r. Przez bramę weszliśmy na wielki plac i do 7 rano czekaliśmy, co będzie dalej. Z nudów, niepokojem, z zimna i z naturalnej potrzeby utworzyliśmy dowolnie dobrane grupy. Skupieni, ogrzewaliśmy się własnymi ciałami, gdyż ognisko z „górali” rychło wygasło. Ci, co mieli chleb i słoninę, nie jedli, a żarli, przekonani, że im to skonfiskują.

O świcie dojrzałem budynek z pochyłym dachem. Na tym dachu wielkimi białymi literami widniał napis: „Arbeit macht frei”.

Pod dachem tym mieściła się łaźnia, odwieszalnia, fryzjernia, sortownia i magazyn przedmiotów zabieranych nowo przybyłym więźniom.

Po apelu, który nas nie dotyczył, nasz zugang składający się z około 2000 więźniów ustawiono czwórkami, twarzami do tego budynku i kazano rozebrać się do naga. Ubranie polecono nam trzymać pod pachą, a po wejściu do łaźni zdać do depozytu, podobnie jak wszelkie dokumenty i kosztowności.

—W obozie — tak nas informował wysoki, elegancki,

grzeczny, z trzcinką w ręku pułkownik SS — wolno mieć swoją żywność i papierosy.

Na widok potłuczonych zegarków leżących na placu powiedział :

—Niepotrzebnie niszczycie. Po wojnie, jak wyjdziecie z obozu, zostanie to wam wszystko zwrócone. A wojna już prawie dobiega do końca.

Przyjeliśmy to w ponurym milczeniu.

Jednakże, kiedy wróciłem do Warszawy i udałem się do PCK, dowiedziałem się, że niektórzy więźniowie z Dachau po wyjściu na wolność otrzymali nawet swoje złote zegarki— Niemcy nie zdążyli już ich zrabować. Rzecz zdumiewająca, że rodziny tych więźniów, którzy byli ze mną i zmarli we Frankfurcie nad Menem, otrzymały z Dachau ich dokumenty, a ja, który przeżyłem to piekło, nie otrzymałem ani świstka papierku. Wszystkie moje dokumenty przepadły.

Nie wiem, co lepsze. Zwrot dokumentów i śmierć, czy brak dokumentów i życie? Do dziś mam kłopoty z powodu braku świadectwa szkolnego.

W Dachau byłem zaledwie 14 dni. Znalazłem się na 18 bloku, a wraz ze mną jeszcze 299 innych. Blok dzielił się na trzy izby. W każdej takiej izbie urzędował „sztubowy” i kilku funkcyjnych, czuwających nad porządkiem i czystością w pomieszczeniu. Byli to młodzi, elegancko ubrani i doskonale odżywieni chłopcy. Palili wyśmienite papierosy. Sztubowy w swoich na miarę skrojonych pasiakach wyglądał jak dostojnik w pidżamie. Blokowego nie widziałem nawet.

Gdy nam po kolacji pozwolono wejść do izby, zobaczyłem trzypiętrowe metalowe łóżka, takie same jakie ujrzałem we śnie. Na każdym łóżku leżał siennik wypchany ratafią i papierowy śpiwór, koc i niewielka poduszeczka. Jednym słowem „Kanada”. Wszyscy rzucili się, żeby wybrać sobie jak najlepsze miejsca do spania. Zanim się zorientowałem, zostało dla mnie wolne miejsce na trzecim piętrze łóżka stojącego w kącie izby, Żeby tak wysoko się wdrapać, trzeba było nogą stanąć na poręczy drugiego piętra i na rękach

podnieść się na piętro trzecie. Uczyniłem to, ale tak niefortunnie, że stopą potraściłem leżącego na samym dole współtowarzysza. To go tak rozsierdziło, że wyskoczył z wyra, a chłop to był wielki jak dąb, szczękę zaś miał jak nie przymierzając szympana, i wałnął mnie na odlew w twarz. Uderzenie było tak silne, że upadłem jak po uderzeniu młotem. Gdy oszołomienie nieco minęło, zacząłem powoli wstawać z podłogi. On stał i czekał. Inni wstali z łóżek i czekali, co będzie dalej. Sięgałem swemu napastnikowi zaledwie do ramienia. Podniosłem głowę i zająłem mu w oczy. Były to oczy okrutne, bezduszne, niczym u bestii jakiej. Pod wpływem mego wzroku rozstawił szeroko nogi i zacisnął pięści.

Czułem, że szykuje się dać mi takie lanie, abym już więcej w ogóle nie wstał. Dlaczego tak a nie inaczej postąpiłem, nie wiem. Po fakcie, ci, co byli świadkami tego zdarzenia, uznali to za czary. Zamiast kląć, powiedziałem, wciąż patrząc mu w oczy.

—Jesteś podłym człowiekiem. Za to, że uderzyłeś mnie w twarz, tu, gdzie wszyscy możemy zginąć, zanim upłynie doba, zostaniesz srogo ukarany.

—Zamknij mordę — warknął olbrzym.

—Zostaniesz srogo ukarany — powtórzyłem dobitnie.

—Co? Może ty mnie ukarasz?

—Nie ja, a krasnoludek. Biorę ich wszystkich na świadków. Ukarze cię krasnoludek. Będziesz tu leżał i jęczał.

Patrzyłem mu wciąż w oczy. Oglupiały, mruczając coś pod nosem, poszedł do swego łóżka. Ja przeniosłem się do drugiej izby, gdzie było jeszcze wolne miejsce. Do rana spałem spokojnym snem.

Pobudka o szóstej. Otrzymaliśmy ręczniki, a nawet po kawałku mydła, tego z gliny. W umywalni była woda bieżąca, ale piekielnie zimna. Myliśmy się szybko i byle jak. Co, jak mówili „sztubowi”, było niedopuszczalne, kiedy nadzór sprawowali SS-mani. Bykowcami gnano więźniów do mycia i bykowcami ich ocierano, a wszystko w piorującym tempie. SS-mani poszli na front. A więźniom jest o

wiele lepiej niż przed klęską Niemiec pod Stalingradem.

Po apelu otrzymaliśmy po misce „herbaty” i na tym koniec. Poranek był mroźny, ale pogodny. Niebo wysokie

1bardzo błękitne. Dreptaliśmy między dwoma barakami. W miarę podnoszenia się słońca na niebie stawało się coraz cieplej, a w południe nawet upalnie. Powietrze było rzadkie. Górskie. Apetyt wzrastał się. Narastało uczucie potwornego łaknienia. O godzinie 13 ogłoszono alarm lotniczy. Skryliśmy się do baraków. Tylko straż pożarna czuwała na zewnątrz. Zanim wbiegłem do baraku, spojrzałem w niebo. Usłyszałem narastający huk motoru. Wysoko leciał samolot otaczając smugą dymu obóz. Potem odezwały się działka przeciwlotnicze. Słyszeliśmy huk pękających poza obozem bomb. Jedna z nich uderzyła w budynek, w którym urzędowali SS-mani wyższej rangi. Leżałem na łóżku i słuchałem.

Był to jedyny nalot, jaki przeżyłem w Dachau.

O piętnastej otrzymaliśmy po misce zupy. Miski były metalowe, ale na szczęście zupa była zimna. Łyżek nie dali. Piliśmy tę zupę, jak pije bydło wodę z koryta. Była tak wstrętna i miała zapach tak paskudny, że mimo potwornego łaknienia z trudem ją połykałem. Później, gdyśmy się przyzwyczaili do tego świństwa, a następnie we Frankfurcie n. Menem, gdzie nas karmiono czymś znacznie gorszym, zupa ta wydawała się najwspanialszym pokarmem na świecie.

Ta nędzna porcja wody, w której pływały nieliczne ziarnka kaszy gryczanej, tylko podrażniła żołądki, potęgując jeszcze bardziej uczucie głodu. Byliśmy kompletnie wyczerpani tym nieustannym chodzeniem po niewielkiej przestrzeni między barakami i czas potwornie nam się dłużył.

O osiemnastej ustawiono nas po odbiór kolacji. Powiedzieli sztabowi, że dostaniemy: 5 g margaryny, 5 g twarogu, 250 g chleba, pół litra „herbaty” i po 3–4 ziemniaki w mundurkach. Mój wczorajszy pogromca pierwszy stał w¹ kolejce po odbiór jedzenia. W porównaniu z nami był prawdziwym wielkoludem. Na wolności musiał jadać niezgorzej, więc taka głódówka doprowadzała go do szału.

Chleb wydawał funkcyjny, dość rośli i spasiony. Margarynę i twaróg dawał nam chłopak o dziarskim wyglądzie. Ale ziemniaki, o dziwo,, wydawał chłopaczek wątlý, maleńki, zdawało się, że ledwie na nogach stojący. Jednym słowem chuchro. Przy moim przeciwniku wyglądał jak Dawid przed Goliatem. Jednym słowem krasnoludek.

Gdy mój przeciwnik nadstawił czapkę po te ziemniaki, żeby to wyszło sprawniej, musiał prawie że klęknąć. Inaczej ten krasnoludek nie sięgnąłby tak wysoko. Maluch spojrział na wielkoluda, wybrał dwa zgniecione ziemniaki i wrzucił mu do czapki. Wielkolud nie zdzierzył:

—Cóż ty s... synu. Zgniotki dajesz — zawołał. — Dawaj całe i to już, bo jak cię!

Więcej nie zdążył powiedzieć. Krasnoludek podskoczył do góry i małą pięścią walnął go między oczy, krzycząc równocześnie:

—Hilfe, hilfe.

I wtedy pokazano nam sztukę bicia. Po ostatnim ciosie, kiedy mój przeciwnik leżał nieprzytomny, wzięli go za nogi i zawlekli do baraku na jego łóżko.

Po tej koszarnej scenie, kiedy stałem wstrząśnięty, podeszło do mnie kilku z tych, którzy ubiegłego wieczoru słyszeli naszą z wielkoludem rozmowę i jeden z nich zapytał:

—Powiedz nam, ale prawdę. Skąd wiedziałeś, że on będzie dziś pobity? I właśnie przez takiego pokurcza?

A drugi dodał:

—„Krasnoludek”.

—Obserwowaliśmy ciebie. Cały dzień chodziłeś tak jak my i po deptaku, więc nie poszedłeś na skargę. A jednak oni go pobili?

—Nie pobili, a ukarali — odpowiedziałem im na to.

Spojrzeli na mnie spode łba.

—Zaczarowałeś ich?

—Nie wiem. Tak mi się wtedy wyrwało.

I zastanowiłem się, dlaczego tak się stało. Czy to było przecucie, czy zwykły zbieg okoliczności? A wyrażenie „krasnoludek”? No, oczywiście. Przypomniałem sobie.

Gdyśmy w internacie coś zbroili, a nasza ukochana mateczka, Oktawia, po ustawieniu nas w szeregi, wołała: „Kto to zrobił?!”, gdzieś w głębi szeregów, piskliwy głos odpowiadał: „krasnołudek”. Skojarzyłem obóz z internatem i dlatego to wyrażenie...

—Więc uważasz, że ukarano go za ciebie?

—Nie.

To samo odpowiedziałem następnego dnia, gdy wezwał mnie do siebie nasz sztabowy. Przedstawił mi się jako Thomas. Poprosił, abym usiadł na taborecie. Poczęstował mnie papierosem.

—Skąd pochodzisz i czym się zajmowałeś, nim tu trafiłeś?

—Jestem stałym mieszkańcem Warszawy. Dostałem się tu, jak pan zapewne wie, wzięty z powstania. Podobnie jak ci wszyscy, którzy ze mną tu przyjechali.

—A dlaczego oni wciąż powtarzają, że nie są bandytami? Przecież poza nielicznymi Niemcami kryminalistami, do których ja się nie zaliczam, wszyscy tu jesteśmy więźniami politycznymi.

—Bardzo niewielu z nas posiada ogładę i wykształcenie. Większość z nich to prości, zwyczajni mieszkańcy miasta. Dla nich słowo „obóz” jest równoznaczne z więzieniem. A u nas w więzieniu siedzieli tylko bandyci i złodzieje.

—No, nie bardzo. Przecież mieliście Berezę.

Zarumieniłem się. „Skąd wie o Berezie?” — pomyślałem.

On jakby odgadł moją myśl, powiedział:

—Jestem komunistą. Przyjaźnię się tu z wieloma Polakami. Dowiedziałem się od nich wiele o waszym kraju. Wiele dobrego. Ale nię o to chodzi. Powiedz mi, co to za pogłoski chodzą od wczoraj o tobie?

—Pogłoski? Nic o tym nie wiem.

—Mówią, że pierwszego dnia po przybyciu do obozu zostałeś uderzony w twarz?

—To jakaś plotka, proszę pana.

—Temu, co cię uderzył, powiedziałaś, że nim upłynie doba, zostanie za to ukarany. I ukarze go krasnołudek. Czy tak było?

—Niestety, tak było. Ale ja nie uczyniłem nic, żeby go ukarano.

—Jak było, tak było. Ale fakt pozostaje faktem. Powiedziałeś, i tak się stało. Nie jestem gestapo. Z czego żyłeś w Warszawie?

—Przepowiadałem ludziom przyszłość.

—A wiv'c jednak jasnowidz — wyraźnie ucieszył się Thomas. — Ale uprzedzam cię. Jak długo tu będziesz, unikaj wróżenia. Wśród nas jest wielu szpiegów i donosicieli. Musimy być bardzo ostrożni. A jacy mogą być ludzie, z którymi przyjechałeś, dowiesz się jutro. A teraz pokaż, co potrafisz. Jak wróżysz? Z kart, ręki czy pisma?

—Najłatwiej mi idzie z kart. Ale czasem udaje się z ręki.

—Z której ręki?

—W zasadzie bada się obie ręce.

—Proszę — wyciągnął obie dłonie.

Długo, bardzo długo przypatrywałem się tym dłoniom. Badałem wzrokiem każdą najdrobniejszą linię i ryse. Oczy miałem przymrużone. Bałem się. I chciałem temu Niemcowi, mimo wszystko, zaimponować. Wreszcie postanowiłem mówić, nie licząc się ze słowami, bez względu na skutki, jakie mogą wyniknąć, jeśli się pomylę. Albowiem najbardziej mnie przeraża w czasie wróżenia myśl, że mogę się mylić.

—Posiada pan jedną, bardzo charakterystyczną linię. O, ta — pokazałem mu palcem. — Jest to tak zwana linia małżeństwa. Żeni się wielu mężczyzn i wiele kobiet wychodzi za mąż; ale żadne z nich nie wie, jakie bierze na siebie ryzyko w tym małżeństwie. Ta linia u pana jest dominująca, ale w kierunku złym. Jeśli ludzie o takiej linii zawierają związki małżeńskie, muszą nieuchronnie związać swój los z osobą, przez którą przeżyją wielki dramat. Dalej linia ta łączy się z inną — o, ta — pokazałem mu znowu palcem. — Jak pan widzi, biegnie ona aż do pierwszego członka palca środkowego, a to w konsekwencji może prowadzić do więzienia, a nawet śmierci hańbiącej, za przyczyną żony. Szukając dalej...

—Nie trzeba.

Thomas był błydy. Małeńkie kropelki potu wystąpiły mu

na czole. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią twarz. Powoli wyciągnął papierosy. Poczęstował mnie. Zapalił sam i zaciągnął się głęboko dymem. Milczał. Milczałem i ja, czekając, co będzie dalej.

—No tak — powiedział to jakby do siebie. — Tak. Widzi mnie pan pierwszy raz w życiu.

Nazwał mnie panem.

—Ja o panu nic nie wiem. I nawet gdybym pana torturował, prawdopodobnie nie dowiedziałbym się od pana tyle o panu, co pan o mnie, patrząc tylko na te linie. Linie, których ja właściwie nie dostrzegam. Może ich w ogóle nie ma?

Trafił w sedno. Tych linii nie było. To ja je w'yobraziłem sobie i improwizowałem.

—Jestem inżynierem budowlanym. W Dachau siedzę już drugi raz. Dostałem się tu dzięki żonie. Jestem komunistą. Żona poszła do gestapo i oskarżyła mnie o to. Wiele włożyła wysiłku, żeby mnie powiesili, ale na szczęście nie udało się jej. Czy wyjdę stąd?

Powiedziałem bez wahania — tak.

—Dziękuję, więcej nie pragnę nic wiedzieć.

Na pożegnanie dał mi 10 papierosów. Później zdałem sobie sprawę, że, jak na obozowe stosunki, był to swego rodzaju majątek.

Następnego dnia po tym seansie do naszego baraku przybyło trzech elegancko ubranych więźniów. Jeden z nich wszedł na taboret i wezwał nas po polsku, byśmy się zbliżyli. Podeszliśmy blisko. Zamarliśmy w bezruchu, okrutnie ciekawi, co usłyszymy.

—Wspaniałomyślny Adolf Hitler da każdemu, kto spośród nas zapisze się do SS-manów i pójdzie bić polskich, ruskich i żydowskich bandytów, broń, ubranie i wspaniałe jedzenie. Będziecie żyli jak królowie. Ochotnicy wystap! — zawołał on gromkim głosem zeskakując z taboretu.

Wstyd się przyznać, paru spośród nas wystąpiło z tłumu: — My zgłaszamy się na ochotników.

Odsunęliśmy się od nich jak od zapowietrzonych i ponuro czekaliśmy, co będzie dalej. '

Kazali tym ochotnikom stanąć według wzrostu. A gdy ci stanęli, kazali im po kolei wchodzić na ten taboret. Gdy stawali na tym taborecie, przybysze wołali do nas:

—Patrzcie, bracia, tak wyglądają świnie. My im damy SS!

I dali. Po ich zniknięciu ochotnicy mieli mordy spuchnięte, oczy podbite, nosy krwawiące i wyszczerbione zęby.

Po tym incydencie do końca mego pobytu w Dachau nic godnego uwagi się nie zdarzyło. Któregoś tylko dnia, dla zabicia czasu i uczucia głodu, kiedy deklamowałem wspaniałe strofy z „Pana Tadeusza”, przy opisie dworku szlacheckiego, co stał nad brzegiem ruczaju, o ścianach tym bielszych, że odbitych od ciemnej zieleni topoli... ujrzałem je, jak rosły wzdłuż alei biegnącej przez obóz. Były strzeliste, wysokie, liście miały szerniałe. Ich jesienna szata, ich strzelistość i bezmierny smutek tego krajobrazu jeszcze dziś mnie prześladowuje. Uczyniły na mnie wrażenie szerniałych świec gromnicznych. Przestałem lubić topole. Biedne drzewa.

W dniu 24 września 1944 r. kazano nam rozebrać się do naga i udać się na plac apelowy. Tam, po ustawieniu nas w szeregi, rozpoczęła się selekcja. Polegała ona na tym, że lekarz, taki sam więzień jak my, tylko w białym fartuchu, w asyście dwóch cywilów, idąc wzdłuż szeregów, w dość przyzwoitej od nas odległości, wskazywał na więźnia laseczką i wykrzykiwał: „Gesund!” — albo — „Krank!”

Najczęściej padało słowo „Gesund”. Znalazłem się wśród zdrowych. A potem przydzielono mnie do komando we Frankfurcie n. Menem.

36

Dr Alfred Steiner, rodem z Francji, aresztowany przez gestapo w 1942 r., przebywał najpierw w Buchenwaldzie, następnie w Hamburgu, aż w końcu października 1944 r. wylądował w naszym komando we Frankfurcie n. Menem jako lekarz więzienny. Z zawodu był dentystą. Miał około 35 lat, wysoki, dobrze zbudowany. Cerę miał śniadą, nos

prosty, usta ładnie zarysowane, raczej łagodne, brwi gęste, a włosy kruczoczarne. Energiczny, opanowany. W szybkim czasie zorganizował refrir, a jeszcze szybciej zżył się z Polakami.

Było nas wtedy 999 mężczyzn, gdyż tysięczny zmarł w kilka dni po naszym przybyciu z Dachau. Pochodziliśmy wszyscy z Warszawy lub jej najbliższych okolic. Wiek nasz wahał się od 11 do 65 lat.

Ubrani byliśmy w najlichszego gatunku płócienne pasia-ki, a głowy mieliśmy ostrzyżone do nagiej skóry. Na no-gach drewniaki zwane „holenderkami”. Do naszego osobis-tego zaopatrzenia należały fajansowe, litrowej pojemności miski, których strześliśmy jak żrenicy oka, gdyż stłuczenie takiej miski kosztowało kije i pozbawienie posiłków. Łyżek nie mieliśmy w ogóle.

Dr Alfred przybył do nas ubrany w pasiak bawełniany, szyty na miarę. Włosy miał nie ostrzyżone. Tylko przez środek głowy wygalano mu wąski pas. Później i niektórym z nas, a między innymi i mnie, czyniono to samo. Miało to oznaczać, że należymy do szczególnie niebezpiecznej ka-tegorii „bandytów”.

W porównaniu z naszym komando pobyt w Dachau wy-dawał się nam utraconym rajem. Przywieźli nas do Frank-furtu n. Menem w dniu 27 września 1944 r. o godzinie 8 rano. Wprost z dworca, gdzie wysiedliśmy z wagonów to-warowych, obficie wysypanych wapnem, piątkami pod eskortą SS-manów poprowadzono wypalonymi ulicami do kompleksu zabudowań fabrycznych „Adler Werke”. Okazało się, że kupujący nas w Dachau przedstawiciel tej firmy okłamał „uczciwego” sprzedawcę, twierdząc, że przy-gotowano już dla nas wspaniałe pomieszczenia, gdzie bę-dziemy mieszkali w luksusowych warunkach.

Więc staliśmy pod strażą na wielkim placu fabrycznym do godziny 19, czekając, aż otworzą nam podwoje. Ale podwoi nie otworzyli. Natomiast przeprowadzili nas przez kilka wypalonych hal, a następnie wąskimi schodami, wałąc bykowcami po plecach, zagnali jak bydło do podziemi fabryki.

Mieściły się one, jak obliczyłem, co najmniej dziesięć metrów pod. powierzchnią placu. Były podzielone na kamery o powierzchni 60 do 70 m². Kamery ziały pustkami. Zaczęli szybko nas tam upychać. Po stu chłopa do każdej. Trafiłem do piątej setki. Gdy bity, podobnie jak inni, bykowcami po głowie i plecach, wbiegłem do kamery, znalazłem się po kostki w wodzie. Na szczęście zimnej. Panowała nieprzenikniona ciemność. Zaczęliśmy się po omacku nawzajem tratować. Jęczyliśmy, przeklinaliśmy i krzyczeli.

opólnocy dzięki inż. Witoldowi Sz. z Saskiej Kępy zorganizowano ekipę elektryków i pod nadzorem SS-manów zainstalowano oświetlenie elektryczne.

Przy jego blasku ujrzałem kłębowisko ludzi ziejących do siebie nienawiścią. Wielu potratowanych leżało na wpół żywych w wodzie. Dwaj chłopcy liczący niewiele ponad 11 lat, oparci o swych ojców, płakali, jak płaczą dzieci. W innych kamerach było jeszcze gorzej. W tej, gdzie znalazł się mój kolega szkolny, temperatura powietrza dochodziła do 35°C powyżej zera, a na betonowej posadzce nie można było stanąć bosą stopą. W innych było piekielnie zimno.

Po kilku dniach zaprowadzili nas na czwarte piętro jednego ze skrzydeł wypalonego budynku fabrycznego. Była to wielka hala o wyrwanych ramach okiennych i zrujnowanych urządzeniach sanitarnych. Żadnego sprzętu tam nie było. Spaliliśmy na betonie. Nim upłynął tydzień, stworzono grupy robocze, powołano władze obozowe, mianowano kapo i Lager-Altetera i zaczęła się mordercza praca w fabryce. Dwaj malcy zostali mianowani „Lauframii”. Mniejszego i bardziej tęgiego SS-mani nazywali Churchillem, szczuplejszego, wyższego wzrostem, Stalinem. Któryś z dowcipniśców dla wica zaopatrzył ich w odpowiednie wywieszki. W ten sposób z daleka można było widzieć, kto biegnie, popędzany trzcinką: Churchill czy Stalin. Początkowo traktowaliśmy to obojętnie. Ale później, gdy kolejność i liczba uderzeń trzcinką zaczęła się zmieniać i ciągle wykazywała tendencję zwykłą na niekorzyść „Małego Stalina”, pojęliśmy, że są to swoiste komunikaty z frontu. A gdy po

jakiejś porażce Anglików na froncie zachodnim „Mały Churchill” otrzymał od SS-manów dodatkową pajdkę chleba, stało się oczywiste, że nasi dozorczy mszczą się w ten sposób na tych dwóch malcach za klęski Hitlera.

Przez pierwsze 10 dni pobytu na czwartym piętrze postawiono nam prycze drewniane, dwukondygnacyjne. Spaliśmy na deskach zamiast na betonie. Noce były zimne. W oknach dalej nie było szyb. Wody do mycia się również nie było. Ale Niemcy kochali czystość, więc bili „brudasów”. Żeby się choć trochę ogrzać, spaliliśmy po dwóch na jednym łóżku. To spowodowało szybkie rozprzestrzenienie się wszawicy. Zaczęliśmy puchnąć i tworzyły nam się bolesne wrzody. Najgorsze na pośladkach i łędźwiach. Mam mnóstwo blizn po nich. A potem przyszły flegmony; jądra nabrzmiały niektórym do rozmiaru dyni.

Na śniałanie otrzymywaliśmy litr czarnej, nie słodzonej i ledwie cieplej lury, zwanej „kawą”. Na obiad dawali nam ślady liści kapusty lub zgniłej rzepy pływające w śmierdzącej, niesionej wodzie. Nim się ją zjadło, trzeba było sikać w spodnie. Na kolację łaskawie przydzielali nam bochenek chleba na pięciu, odrobinę margaryny, czasem twarogu, a niekiedy trzy, cztery niewielkie, czarne od zgnilizny ziemniaki w łupinach i „herbatę”.

Praca w fabryce trwała kilkanaście godzin, z półgodzinną przerwą na obiad. Pracowaliśmy na dwie zmiany.

Po osiemnastu dniach mego pobytu miałem twarz spuchniętą, łędźwie owrzodzone, a nerki chore. Najkoszmarniejsze, zwłaszcza dla mnie, były nocne alarmy. Nie dlatego że bałem się bomb, przyjmowaliśmy je z radością, ale nie miałem siły biec po schodach w górę. A trzeba było kilka razy w ciągu nocy zbiegać i wbiegać po siedem pięter. I przyszły takie noce, że zdążyliśmy tylko zbiec do piwnic i alarm ustawał. Wracaliśmy na górę, a alarm się zaczynał.

W pierwszych dniach do piwnic zbiegałem jako dwusetny, a pod górę jako siedemsetny, a potem zacząłem słabnąć i spadać do ostatniej setki. Czulem, a później wyraźnie słyszałem skrzypienie własnych i cudzych stawów kolano-

wych. Z dnia na dzień było ono głośniejsze i coraz boleśniej-
sze. Do tego dołączyła się potworna wszawica. Byłem jed-
nym z pierwszych, którzy się do tego przyznali. Kolega,
gdy o tym usłyszał, przeniósł się na inną pryczę i spał z in-
nym współwięźniem. Spałem odtąd sam. Opadałem stale
z sił, a więc stawałem się muzułmanem. A muzułmanów, jak
rychło się przekonałem, współwięźniowie nie lubią i prześla-
dują. Postępują tak, jak to jest we zwyczaju u bocianów
przed odlotem, słabszych towarzyszy zabijają.

Niestety człowiek, mimo wspaniałych zalet, jest w zasa-
dzie istotą bezwzględną i okrutną.

Pracowałem na zmianie dziennej. Obsługiwałem cztery
frezarki. Byłem pierwszy na taśmie. Otrzymywałem odlew
wagi 75 kg i przez obróbkę skrawaniem na sucho nada-
wałem mu odpowiednią gładkość. Nie było wyciągów. Pył
metaliczny osiadał na mnie. Byłem potwornie brudny. Nie
mieliśmy odzieży ochronnej. Pracowaliśmy w pasiakach.
W tych samych pasiakach spaliśmy. Musiałem być czysty
i schludny. Przed biciem za niechlujny wygląd ratował mnie
pan Keller, nasz konwojent. Dzięki niemu miałem ręcznik
i mydło. On też czuwał, by mnie majster nie nakrył, gdy
myłem się w kadziach z wodą, niezbędną do jakichś tam celów.

Zmiana nocna była o wiele gorsza, ale ratowały ją częste
alarmy nocne. Więźniowie z tej zmiany mogli wtedy choć
trochę odpocząć i zdrzemnąć się. Gdy rano wracali do obozu,
musieli do obiadu porządkować pomieszczenia, obierać
dla SS-manów ziemniaki lub wyganiani byli na stację kole-
jową do wyładowywania wagonów ze złomem.

Od 27 września do 12 października stan więźniów zdol-
nych do pracy spadł do 800. Ponad 180 leżało na pryczach,
niezdolnych do żadnego wysiłku. Około 20 zmarło z wy-
cieńczenia. Wydawało się nam, że to bardzo dużo. Tak
sądził i pan Keller, gdyż dawał temu głośno wyraz, ubole-
wając, że tak nisko upadł naród niemiecki.

Byliśmy już wszyscy potężnie zawszeni. Strach przed ty-
fusem zmusił SS-manów do przeprowadzenia dezynsekcji.
Trzynastego października wypędzili nas na plac fabryczny

i kazali ustawić się piątkami. O godzinie ósmej przekroczyliśmy bramę i pod silną eskortą udaliśmy się ulicami miasta w nieznaną. Dzień był pochmurny i wietrzny. Po przejściu kilku ulic z domami doszczętnie zburzonymi lub wypalonymi, wkroczyliśmy w aleję wysadzaną lipami. Drzewa były już bezlistne. Pod nogami czuliśmy szelest liści. Niewielu widzieliśmy przechodniów. Nieliczni, którzy nas mijali*, przystawali na krótko. Niekiedy coś tam mamrotali pod nosem. Ale zaraz milkli i szybko odchodzili. Im dalej od śródmieścia, tym mniej domów było zniszczonych i więcej przechodniów nas mijalo. Ktoś nawet rzucił papierosa nam pod nogi. Któryś z naszych podbiegł, schylił się i sięgnął po niego ręką, ale ręka ta wraz z papierosem została przygnieciona do jezdni. Więzień zawył, SS-man wrzasnął, a grupa kobiet, świadków tej sceny, zaczęła wykrzykiwać: „Niegodziwcy, katy, na front!” Eskorta zaczęła nas poganiać. Ledwie wlokłem się w ostatniej piątce, obładowany kocami. Zwalił mi je na plecy jeden z silniejszych kolegów zaraz po wyjściu za bramę „Adler Werke”.

Prosiłem o pomoc. Nikt mnie nie słyszał. Uginając się pod tym ciężarem, szedłem jak małpolud, rękami opierając się o kolana. Kręgosłup bolał strasznie. W głowie szumiało jak w ulu. Przed oczami zaczęły latać niebieskie, czarne, świetliste, a potem coraz kraśniejsze gwiazdki. Pot zalewał mi oczy. Chyląc się coraz niżej i niżej, błagałem kolegów o odrobinę pomocy. Nikt nie drgnął. Nie myślałem wtedy ani o domu, ani o Bogu. Myślałem o ludziach... A jednak stał się cud. Najokrutniejszy z SS-manów, Unterscharführer Lenzian, komendant naszego obozu, który w kilka tygodni później specjalnie przyjechał z innego komanda do nas, żeby własnoręcznie powiesić dwóch Polaków, teraz zatrzymał pochód. Wyciągnął z szeregu dwóch najsilniejszych więźniów, a więc i tego, co mnie obciążał tymi kocami, i kazał im zabrać ode mnie ten potworny ciężar.

Lenzian, jak się później dowiedziałem, doskonale mówił po polsku. Zanim przybył do nas na komendanta, był w Oświęcimiu, a przedtem w Majdanku. Nienawidził nas

strasznie. Był w stosunku do nas tak okrutny, że przezwa-
liśmy go „Tygrysem”. Czynił wszystko, żeby nas jak najwię-
cej zginęło. Najłatwiej tego można było dokonać głodząc.
Zatem głodził. Został w 1945 r. zarąbany łopatami przez
więźniarki.

W końcu dotarliśmy do łaźni. Łaźnia i odkaźnia były
niewielkie. Komory dezynfekcyjne bardzo małe. Urządzenia
natryskowe zniszczone. Woda lodowata. Przepustowość
znikoma. Rozebrani do naga staliśmy, tuląc się jeden do
drugiego, na dworze, czekając swojej kolejki. Trwało to
około sześciu godzin. Wracaliśmy tak brudni, jakby tej
kąpieli nie było w ogóle. Ubrania mieliśmy pozamieniane
i mokre. Za to nieśliśmy do obozu siedmiu nieboszczyków
i ponad dziesięciu półtrupów. Wszy za to nawet kataru nie
dostały. Wtedy SS-mani doszli do wniosku, że trzeba odka-
zić pomieszczenia obozowe. Znalazła się nawet firma specja-
listyczna. W dwa dni później wygnano nas do schronów,
gdzie siedzieliśmy nadzy dwa dni, a na czwartym i trzecim
piętrze, gdzie mieścił się nasz obóz i rewir, zapalono specjal-
ne świece siarkowe. Gdy po dwóch dobach tam weszliśmy,
dwa z nas zmarło, zanim zdążyliśmy pootwierać zakrato-
wane okna, a czternastu w ciągu nocy. Wszy były przez
dwa dni nieco senne, a potem nabrały szalonego apetytu
i wigoru.

Śmiertelność wzrastała, a wydajność naszej pracy malała
prawie do zera. Nie mieliśmy zupełnie sił. Najmniejszy
wysiłek fizyczny zwał nas z nóg. Nie pomagało bicie
i wrzaski SS-manów. Obojętnieliśmy na wszystko. Tylko
potwornie chcieliśmy jeść.

Sprowadzono dodatkowo 300 więźniów. Byli to głodo-
morzy z tysiąca wziętych z Dachau i wywiezionych do
Manheimu tego samego dnia, co my do Frankfurtu n. Me-
nem. Gdy w końcu października Niemcy ewakuowali Man-
heim, niedobitków przywieziono do nas. Ale gdy i ten Zu-
gang zaczął masowo chorować i wymierać, sprowadzili
Niemcy dra Alfreda z Hamburga oraz dra Juliusza i dra
Kosticia z Buchenwaldu. Zatem mieliśmy aż trzech lekarzy:

Francuza, Austriaka i Jugosłowianina.

Dr Alfred zorganizował rewir na trzecim piętrze, tj. pod właściwym obozem. Na rewirze tym mogło pomieścić się najwyżej 60 chorych. Pozostali leżeli w wydzielonej części obozu na czwartym piętrze, zwanej „Schenungiem”. Pod koniec stycznia 1945 r. leżało tam ponad 300 osób. Opiekował się nimi „Jureczek”, fryzjer z Warszawy, były więzień Majdanka. Muzułmanie, którzy tam leżeli, byli z góry skazani na śmierć, podobnie jak i ci na rewirze, gdyż nawet najlepszy lekarz bez środków leczniczych i odżywiania nikogo nie utrzyma przy życiu.

Przydzielony do grupy roboczej, od rana do nocy byłem poza obozem, więc nie wiedziałem w ogóle o istnieniu rewiru. Pierwszego dnia, gdy ustawili nas przy automatach i powiedzieli, że po czternastu dniach przygotowania teoretycznego, polegającego na obserwowaniu, jak pracownik wykwalifikowany je obsługuje, mamy samodzielnie je obsługiwać, nogi pode mną ugięły się ze strachu. Nie lubiłem, nie lubię i nigdy nie będę lubił maszyn i mechanizmów. Uważam je za coś potwornego, bezwzględного i okrutnego. Nie wierzę, że człowiek jest panem tych urządzeń. Jest ich twórcą i niewolnikiem zarazem. Służyć maszynie musi czujnie. Za najmniejszy błąd w jej obsłudze, jeśli nie życiem, to zdrowiem zapłaci. A jak nieostrożnego „pana” schwyci maszyna w swe tryby, zmiele go na miazgę.

Moim bezpośrednim przełożonym był Niemiec, pan M.

Był to mężczyzna koło 60-tki, niewielki wzrostem, o szerokich barach, ale nieco garbaty. Twarzy pospolitej, pooranej bruzdami, ale sympatycznej. Utykał nieco na prawą nogę. Pochodził ze Śląska. Mam wrażenie, że znał polski język, ale nie zdradzał się z tym. Początkowo odnosił się do nas, a raczej do naszych pasiaków, podejrzliwie, ale później zaobserwowałem w nim odruchy litości.

Instruktorem moim był młody Ukrainiec, robotnik cywilny, złapany w Donbasie i przywieziony tu na roboty przymusowe. Z nim od razu nawiązałem przyjazne stosunki. Ja go uczyłem chiromancji, a on mnie wprowadzał w „taj-

niki techniki”. Nie opierał się na zaleceniach zawartych w instrukcji obsługi, a nauczony przez swego poprzednika Francuza, porobił dyskretne rysy na kadłubie automatów i według tego skrawał półfabrykaty. Ta metoda okazała się później dla mnie zbawienna. Gdyż jak się dowiedziałem, będąc już na rewirze, mój następca, który posługiwał się instrukcją oficjalną, został powieszony za sabotaż. Automat bowiem był niesprawny i dlatego trzeba go było obsługiwać na wycucie.

Gdy teraz cofam się pamięcią do tych czasów, dreszcz mną wstrząsa i jednocześnie nasuwa się głębokie przeświadczenie, że miałem kolosalne szczęście. Tak, chyba miałem kolosalne szczęście. I nie tylko tam. Trafiałem bowiem w momentach najbardziej dla mnie krytycznych na ludzi, którym w sposób bezbłędny mówiłem, co w ich osobistym losie stanowiło najgłębsze przeżycie lub zdarzenie nieodwracalne. Zyskiwało to mi przychylność i pomoc tych ludzi, więc możliwość dalszego życia na ziemi.

Pierwszego dnia po przydzieleniu mnie pod nadzór pana M., ten zapytał mnie niezbyt uprzejmie:

—Co potrafisz robić?

—Umiem czytać z dłoni — odpowiedziałem na to.

Spojrzał na mnie jak na wariata.

—Chiromanta? — w pytaniu tym była złośliwość i lekceważenie.

—Właśnie.

Odruchowo wyciągnął do mnie otwartą dłoń. Większość ludzi to czyni.

—To odczytaj, co tu napisano.

Spojrzałem na jego dłoń nieco z góry. Nie dotykałem jej. Nie miałem żadnej wizji. Nigdy takiego czegoś nie miewam. Ale odpowiedź, jakiej mu udzieliłem, do dziś mnie zdumiewa:

—Miałeś trzech synów. Dwóch zginęło na wojnie.

Od tego dnia minęło przeszło ćwierć wieku, a scenę tę widzę, jakbym ją na nowo przeżywał. Wielka hala fabryczna. Obrabiarki. Transporter rolkowy. Przy maszynach robotnicy cywilni i więźniowie. Naprzeciw mnie stoi Niemiec

i płacze. Instruktor Ukrainiec, stojący opodal, gapi się na nas zdumiony. Inni, znajdujący się dalej od nas, podchodzą. Zbiera się tłum.

—Mój Boże, to prawda — szepcze majster. — Nikt o tym nie wie. Nawet żona.

Patrzył na tę swoją spracowaną, szeroką dłoń i mówił jakby do niej przemawiał:

—Zginęli obaj w jednym miesiącu na froncie wschodnim. Wezwali mnie i powiadomili o tym w przeddzień ewakuacji. Czyż naprawdę to wszystko jest tu wypisane?

Opuścił rękę i głośno powiedział:

—Jesteś wielkim człowiekiem.

—Co tu się dzieje? Rozejść się.

Był to nasz konwojent. Na szczęście Keller. Na jego widok szybko przystąpiliśmy do pracy. Majster otarł chusteczką oczy. Spojrzał na naszego konwojenta niechętnie

1chciał się oddalić, ale ten go zatrzymał i zapytał:

—Co ten więzień panu uczynił, że pan płakał?

—Nic mi nie uczynił.

—Nie rozumiem.

Odeszli razem. O czym mówili, nie wiem. Jednakże od tego dnia bardzo zmieniła się moja sytuacja. Majster przynosił mi papierosy, a Ukrainiec chleb. Dostarczyli mi papier i ołówek. Ukrainiec rozstawił mnie wśród swoich kolegów i koleżanek, więc przychodzili po kryjomu do mego stanowiska pracy, żeby im spojrzeć na dłoń. Patrzyłem na te dłonie. Niektórym zaś pisałem horoskopy. Horoskopy te pisałem w schronie w czasie alarmów lotniczych. W takiej właśnie chwili zetknąłem się po raz pierwszy z drem Alfredem. Ja to i spotkanie potraktowałem jako zwykły epizod i szybko o nim zapomniałem. W miarę zdobywania klientów w fabryce, wracałem do sił. Papierosy i chleb czyniły mnie „potentatem”. Za chleb, a szczególnie za papierosy, można było u nas w obozie wszystko kupić: od dolarów do torby papierowej, którą wkładało się pod koszulę jako ochronę przed zimnem.

Instruktaż miał trwać 14 dni, ale po 7 dniach wszystkich

robotników cywilnych, Ukraińców i Rosjan powołano do wojska. Do oddziałów Własowa. Mój instruktor, żegnając mnie, płakał. Nie zdążyłem nauczyć go chiromancji, ale on jednak wtajemniczył mnie dostatecznie, jak obsługiwać te obrabiarki, aby nie zostać powieszonym za sabotaż. Nie darmo detale obrabiane na nich nosiły nazwę „trumien”.

37

Pociąg stanął. Przez szpary wagonu dojrzeliliśmy zarys jakichś niewielkich budynków. Usłyszeliśmy rozmowę i zbliżające się liczne kroki. Zachrobotało i powoli rozsuwane drzwi towarówki zaczęły rozchyłać się. Otwór robił się coraz większy. Napłynęła fala świeżego powietrza, ale równocześnie usłyszeliśmy okrzyki:

—Donnerwetter, Donnerwetter! — i szybko, prawie biegiem oddalające się kroki.

Ostrożnie wychyliłem głowę na zewnątrz wagonu. Grupka SS-manów stała dość daleko od wagonów z chusteczkami przy nosach. Fetor rozkładających się ciał oraz odchodów uwięzionych od sześciu dni w wagonach ludzi musiał ich zamroczyć. My, którzyśmy jeszcze żyli, przywykliśmy. Nas odurzało świeże powietrze.

Peron był niewielki, odkryty. Niebo nad nim bezchmurne, wysokie, błękitne. Słońce zbliżało się do zenitu. Na zegarze peronowym była godzina 13. Dzień, pamiętam go dobrze, 23 marca 1945 r. Napisu na wyjściu z peronu nie widziałem. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas przywieźli. Usłyszeliśmy wezwanie do opuszczenia wagonów. Byłem trzecim w kolejności, który o własnych siłach wagon ten opuścił. Kiedy już nikt z niego nie wysiadał, a wszystkie wagony dostatecznie wywietrzały, Niemcy zaczęli do nich zaglądać. Widziałem, jak niektórzy z nich chwyтали się za głowy, wyrażając w ten sposób swoje zdumienie. W każdym wagonie leżały zwaly trupów. Tylko środek był wolny, nie licząc kału. Nie poganiano nas. Z mego wagonu, liczącego w dniu wyjazdu z Frankfurtu n. Menem, tj. 17 marca 1945 r., 60

więźniów, o własnych siłach wyczołgało się 10, 12 obłożnie chorych wynieśliśmy, pozostałych 38 pozostało w wagonie, nie żyli. W innych wagonach, na skutek angielskiego nalotu, sytuacja była jeszcze gorsza.

Wyładunek i układanie na peronie tych na wpół umarłych szły nam niemrawo i czas włókł się powoli. Niemcy jednak nie zdradzali zniecierpliwienia. Stali w grupkach i patrzyli, jak my się męczymy wywlekając tych biedaków. Nie byli nawet specjalnie uzbrojeni. Co poniektóry tylko miał krótką broń.

W naszej grupie znalazł się szczęściarz, posiadający papierosy. Niestety nie mieliśmy zapalek. Nikt nie śmiał zwrócić się po ogień do Niemców. Jednakże widok papierosa

i narastające pragnienie zaciągnięcia się jego dymem zdopingowało mnie i choć mocno drżały kolana pode mną, podszedłem do grupki najbliższych stojących żołnierzy. Byłem bez czapki, więc odpadła konieczność zdejmowania jej z głowy. Ubrany byłem, tak jak i moi współtowarzysze, w mundur armii jugosłowiańskiej. Przebrali nas w te mundury, gdyśmy opuszczali pod grozą bomb amerykańskich Frankfurt n. Menem. Na piersiach i plecach mieliśmy wszystkie pasiaste płótno z więziennymi numerami. Głowy nam ostrzyżono, a przez środek wygolono pas szerokości 2 cm dla podkreślenia, jacy to z nas groźni i niebezpieczni bandyci. Na nogi włożyli nam drewniane holendry, na bosa stopy.

Stałem na baczność i poprosiłem o ogień.

Spojrzeli na mnie jak na powietrze. Milczeli. Stałem więc i czekałem, kiedy mnie któryś kopnie. Ale kiedy nie reagovali na moją obecność, powiedziałem: „przepraszam”, zrobiłem w tył zwrot i zacząłem powoli oddalać się ku naszym. A kiedy Uszedłem kilka kroków, usłyszałem okrzyk: „Halt!” „No już po mnie” — pomyślałem i stanąłem w miejscu. Poczulem, jak schwytano mnie z tyłu za kołnierz i prawie uniesiono w powietrze, potrząsając jak wiatr gruszą.

—Ty świński ryju, ty wszo przekłeta! — krzyczał ten ktoś, a cicho mówił: „Nie wchodźcie do samochodów. Kto

może iść, niech idzie, choćby na czworakach. Słabych nieście”. — Raus! — wrzasnął i kopnął mnie, wrzucając mi jednocześnie jakiś przedmiot za koszulę. Kopnięcie było dość bolesne i nadało mi taki pęd, że gdyby mnie koledzy nie schwycili w locie, wałnąłbym głową w wagon.

Kiedy oprzytomniałem i spojrzałem w stronę Niemców, stali nadal zbici w grupkę. Powiedziałem kolegom, com usłyszał, ale mi początkowo wierzyć nie chcieli. Dopiero jak któryś z nich wydostał mi zza koszuli wrzucony tam przez Niemca przedmiot, który okazał się paczką papierosów, doszli do wniosku, że mówię prawdę. Wiedzieli przecież, że papierosów nie miałem.

Po jakimś czasie od grupki Niemców odłączył się jeden i z miłym uśmiechem podszedł do nas. Podał nam pudełko zapalek i powiedział:

—Lada moment przybędą po was samochody. Kto nie ma sił iść, niech do nich wsiada. Osobiście radziłbym, żebyście wszyscy zajęli w nich miejsca. Są wygodne i bardzo szybko dostaniecie się na miejsce przeznaczenia. Ale kto nie chce jechać i ma siłę, może iść piechotą.

Ośmieleni jego „serdecznością” zapytaliśmy, dokąd mamy iść. Odpowiedział ochotczo, że do Belsen-Bergen. A widząc, że nazwa ta nic nam nie mówi, poinformował nas, że dostaniemy się do luksusowego, największego w Niemczech obozu koncentracyjnego dla chorych i zmęczonych pracą więźniów.

—Tu nie ma pracy — powiedział. — Dobre odżywianie, lekarze i odpoczynek. A jak nabierzecie sił, pojedziecie znowu do pracy. Kto tu się dostanie, ten wygrał wielki los. Po tygodniu już was tu nie będzie. Tu szybko wraca się do zdrowia.

Niektórym z nas aż oczy zalśniły z radości.

—Chwała Bogu! jesteśmy uratowani. Zanim wrócimy do zdrowia, już będzie po wojnie.

—Ja potrafię symulować, więc mnie tak prędko nie wyleczą — śmiał się poniekiedy, rad ze swego dowcipu.

O godzinie 15 nadjechały kryte wozy. Ułożyliśmy w nich

beznadziejnie chorych i wtedy wbrew naszym ostrzeżeniom wskoczyli do środka i zdrowi. Wozy zatrzaśnięto i co sił w koniach mechanicznych ruszyły spod peronu. Nas, około 100 ludzi, ustawiono piątkami i ruszyliśmy za przewodnikami, chronieni po bokach przez resztę eskorty. Początkowo szliśmy polem, potem opłotkami jakiejś osady, aż weszliśmy w uliczkę biegnącą przez środek kolonii domków jednorodzinnych, a następnie zaczęliśmy mijać bloki koszarowe. Za kolczastymi drutami tych koszar stali angielscy jeńcy wojenni. Patrzyli na nas z przerażeniem w oczach. Musieliśmy wyglądać okropnie. A gdyśmy minęli koszary, przed nami zamajaczył słup żółtego, jakby oleistego dymu, który po wzbiciu się wysoko w górę rozkładał się wachlarzem i powoli rozpływał się we wszystkie strony. O, zaiste, nie był to słup ognisty, który wiódł Mojżesza i jego lud do Ziemi Obiecanej.

, Poczuliśmy przykrą woń. Powiało na nas grozą. Szliśmy bardzo powoli, a mimo to owo tak straszne miejsce wciąż stawało się bliższe. Aż doszliśmy. Zatrzymano nas przed bramą. Trwało to bardzo krótko. Eskorta przekazała nas, a straż obozowa przejęła.

Wkroczyliśmy do P i e k ł a.

Nie słyhać tu krzyku, nie widać bieżaniny. Leżące wokół pokotem trupy i straszny zaduch. Przed sobą widzieliśmy szeroką, błotnistą drogę. Na jej końcu niewielki budynek z kominem, z którego wydobywał się ten dym.

Na prawo od drogi rozciągał się wielki plac, a na nim, jak belki drewna, poukładane jeden na drugim trupy. Po lewej – ogrodzone drutem kolczastym rzędy baraków. Między nimi pokoty trupów i snujące się cienie żywych kościotrupów.

Wszystko to ogarnąłem jednym spojrzeniem. Ujrzałem nawet wielki kołowrót do czerpania wody, poruszany mięśniami nóg więźniów. Weszliśmy między baraki. Przed 18 zatrzymano nas. Ustawiono piątkami. Potem rozdzielono na dwie grupy po pięćdziesięciu w każdej. Ja zostałem w grupie ulokowanej w baraku 18, inni poszli do 23. Z naszego baraku przeżyło siedmiu, z tamtego tylko jeden, nie-

jaki pan Strzelecki.

Naszym blokowym został Hipolit, chłop wielki jak dąb. Z zawodu był rzeźnikiem, a rodem z Poznania. Podobno w poprzednim obozie był wielką świnią, tu, ostrzeżony przez członków obozowej organizacji podziemnej, zmienił się na lepsze.

Obóz był częściowo skanalizowany, ale większość bloków urządzenia higieniczno-sanitarne miała zdewastowane. Ale w jednym z baraków była woda bieżąca. Jak wyczuliśmy tę wodę, nie wiem. Może tak, jak wyczuwają ją spragnione zwierzęta na pustyni? Nim upłynęła godzina po pierwszym apelu, kilku z nas było już przy tej wodzie. Dowiedział się o tym Hipolit. Kazał mnie i jeszcze dwóm względnie silnym więźniom udać się tam i siłą sprowadzić spragnionych.

—Cholera jasna — kłął — ta woda jest zatruta. Tu wszystko jest zatrute. Tyfus murowany.

Gdyśmy do tego baraku dotarli, ujrzeliśmy naszych kolegów siedzących pod ścianą z brzuchami wzdętymi jak banie. Przy ustach trzymali jakieś brudne blaszaki z wodą. Jednemu z nich wyrwałem to naczynie z wodą i chciałem wyrzucić. Wtedy jeden z naszej trójki, zdaje się Grzywacz, wyrwał mi to naczynie, nappełnił wodą i zaczął pić. Wypił jedną, drugą, trzecią miarkę i wciąż sięgał po następną porcję wody. Ale kiedy dopijał Bóg raczy wiedzieć którą miarkę, odebrałem mu ją i sam zacząłem pić.

O, jaka to była cudowna woda! Im więcej jej piłem, tym większe miałem pragnienie. Pragnienie tak wielkie, że się tego nie da wysłować. Smak jej był niezrównany. Nie mogłem nie pić. Zaczęliśmy się w końcu z tym Grzywaczem bić o to naczynie, a gdy pokonałem go, odkręcił kran, ukląkł pod nim, otworzył usta i połykał strumień spadającej z góry wody. Aż w końcu zwałił się na mokry beton, a woda lała się na niego. Tak nas znalazł Hipolit. Myślę, że gdyby przybył nieco później, zginęlibyśmy na skutek przepicia wodą.

Po kolacji, na którą dostaliśmy kostkę buraczaną, pozwolono nam wejść do baraku. Ale żeby tam wejść, musieliśmy wchodzić pojedynczo, fozebrani całkowicie, a odzienie nasze

kazał Hipolit swojej świcie skrupulatnie zbadać. Twierdzili, że szukają ukrytej broni, noży, żyłek oraz wszelkich przedmiotów, które w rękę więźnia mogą stać się narzędziem walki. Gdy przypadkiem znaleźli kawałek chleba, papieros lub klejnot jaki, zabierali bez dyskusji. Widocznie, ich zdaniem, były to przedmioty również niebezpieczne. Więzień, u którego znaleźli dwudziestodolarową złotą monetę, otrzymał parę razy po gębie, a monetę oddano Hipolitowi, który ją pieczołowicie schował w swoich przepastnych kieszeniach. U mnie prócz wszy nic nie znaleźli.

38

Nasza pierwsza noc w Belsen-Bergen minęła spokojnie. Było nas przecież tak niewiele. Ułożyliśmy się na podłodze, jak komu wygodniej. Było luźno. Noc jednak była chłodna, więc mimo woli zbiliśmy się nad ranem w jedną gromadę.¹ Nie czuliśmy twardej desek. Po makabrycznej podróży w cuchnącym wagonie, przy zwałach rozkładających się trupów, barak wydał się nam pałacem. Poderwano nas na apel o godzinie czwartej rano. Stanęliśmy piątkami na zewnątrz baraku. Było bardzo zimno i mżył drobny kapuśniczek. Dolatujący dym z komina krematoryjnego dusił nas. Drżeliśmy, kuląc się z zimna. A kiedy minęły dwie godziny, niektórzy zaczęli słabnąć. Po trzech godzinach takiego stania dziesięciu omdlałych ułożyliśmy w błocie, również po pięciu w rzędzie, twarzami do nieba. Apel skończył się o godzinie ósmej. »Po apelu na blok nas nie wpuścili. Uzyskaliśmy jednak zezwolenie ulokowania chorych w baraku. W południe już czterech spośród nich nie żyło. Wśród nich znalazł się najsilniejszy z nas wszystkich, pomocnik sanitariusza. Kiedy go rozebrałem do naga i chemicznym ołówkiem wypisałem na piersi jego numer, a następnie wlokłem za nogę na plac, przypomniałem sobie, pełen jakiegoś osłupienia, jego okrzyki we Frankfurcie n.Menem: „...ja Was wszystkich po kolei wyciągnę za nogi do trupiarni”.

Byłem w tej grupie najsłabszy fizycznie i właśnie mnie

przypadło w udziale wyciągać za nogi na spalenie w krematorium najsilniejszego z nas. Potem przestałem dziwić się czemukolwiek. Przestałem myśleć. Trwałem.

Na śniadanie dostaliśmy „herbaty”. Była chłodna i cuchnęła bagnem i zgniłymi burakami. Piliśmy ją jednak chciwie, niby nektar jaki.

O dziesiątej do naszego baraku przybył zugańg w liczbie 70 więźniów, nawet nie wiem, z którego obozu. W tym czasie SS-mani jak błędni pędzili po całych Niemczech tysiące jeńców, więźniów i wszelkiego rodzaju niewolników.

W południe nieco rozpogodziło się. O dwunastej szesnastu z nas, pod wodzą Hipolita, uzbrojonych w kije, udało się pod kuchnię, żeby odebrać kible z zupą. Były to znowu krajane w kostkę, nie dogotowane buraki pastewne. Cuchnęły okropnie.

A potem popłynęły dni za dniami, jeden okropniejszy od drugiego. Z dnia na dzień stawaliśmy się w stosunku do siebie coraz bardziej okrutni. Najkoszmarniejsze były noce. Ułożeni obok siebie jak śledzie w beczce, bo stale przybywali nowi więźniowie, jęczeliśmy przeraźliwie nie mogąc poruszyć się w tym ścisku. Którejś nocy jęki nasze były tak głośne, że spowodowały interwencję jakiegoś bonzy obozowego. Wpadł do naszego bloku jak furia. Przyświecając latarką kieszonkową, od progu wrzasnął: „Gdzie dyżurny?!” A gdy nie otrzymał odpowiedzi, wrzasnął jeszcze głośniej: „Ruhe!” Jęki nie ucichły. Wtedy on, oświetlając sobie „drogę” latarką, wszedł na leżących i zaczął im deptać po gardłach. A kiedy dotarł do połowy baraku, latarka w jego ręku zaczęła się podejrzliwie chwiać, a potem upadła

izgasła. W ciemności słyszałem jęki i okrzyki: „O, Jezu!” A potem wszystko ucichło. Rano przed apelem wyciągnęliśmy dziesięć nagich, zakrwawionych trupów i nim się Hipolit i reszta funkcyjnych obudzili, podrzuciliśmy je do baraku 23, gdzie takie trupy były na porządku dziennym. O bonzę nikt się nie dowiadywał.

Po tygodniu skasbwano u nas apele. Nikt o własnych siłach nie mógł stanąć na nogach. Hipolit zarządził, żeby

chleb, a dali go nam w ciągu 23 dni dwa razy po bochenku na 12 ludzi, lub zupełną podawać tylko tym, którzy sami podniosą rękę do góry.

Było wśród nas dwóch braci. Pochodzili z Warszawy. Byli inżynierami i nazywali się J. Leżeli obok siebie. Młodszy J. zmarł. Starszy J. ułożył go obok siebie i przez trzy dni dyskretnie podnosił jego rękę, i w ten sposób dostawał drugą porcję zupy. Jednakże rozkładający się trup tak zaczął cuchnąć, że sąsiedzi nie mogli tego wytrzymać i zdradzili' funkcyjnemu, że starszy J. oszukuje. Otrzymał za to kilka kijów. Polecono wywlec trupa z baraku.

Na tydzień przed wyzwoleniem obozu w naszym baraku ulokowano, składające się z trzydziestu dobrze odżywionych kryminalistów, tzw. Ordnungskommando. Byli zaopatrzeni w wielkie kije. Latali po obozie i robili „porządek”. Po trzech dniach wszyscy zostali powaleni przez tyfus. Wykończyli się piorunem. Pozostał tylko ich kapo.

Przypominam sobie, że na kilka dni przed wkroczeniem Anglików, Hipolit przyprowadził mnie do niego i kazał mu wróżyć. Spojrzałem wtedy w oczy tego człowieka. Struchlałem. Wydało mi się, że patrzę w źrenice kota. Były klinowate. Później dowiedziałem się, że była to katarakta. Jednakże te źrenice uczyniły na mnie takie wrażenie, że patrząc na jego dłoń drżałem ze strachu:

Linie życia na obu dłoniach miał krótkie, głębokie, czerwone. Linie towarzyszące były pourywane i pełne gwiazdek.

Powiedziałem, że z tych linii nie potrafię odczytać, jaki jest jego los. Po wyzwoleniu schwytano go, osadzono w więzieniu, a następnie przekazano Polsce. Został przez sąd w Łodzi skazany na karę śmierci za potworne znęcanie się i mordowanie Polaków w obozach.

W tym żniwie śmierci, na dnie piekieł, mimo zobojętnienia na wszystko, podświadomo nie notowałem w pamięci różne spostrzeżenia. Między innymi do dziś tkwi mi w pamięci obraz więźniów latających z workami przewieszonymi przez ramię. Dziwne to były worki. Uszyte z koszul po zmarłych więźniach. Ich posiadacze wkładali do nich wszystko, co im

w rękę wpadło. A gdy oni umierali, inni te worki brali i dalej je napełniali. A po nich inni i inni. Aż do obrzydliwości. Nazywałem, je „workami śmierci”. Albowiem kto je brał, ten umierał.

Przyszedł moment, że zacząłem się bać tych worków. Stało się to. wtedy, gdy wyjątkowo zdrowy i rozsądny Grzywacz, który wyśmiewał posiadaczy tych worków, przyszedł do mnie z takim workiem pod pachą.

—Rzuć to świństwo! — zawołałem. — Sam śmiałeś się z tych, którzy te worki noszą.

—Głupi byłem — on na to. — Lada dzień będziemy wolni. Warszawa zniszczona. Nie mogę wrócić do domu z niczym. Tam wszystko będzie potrzebne.

—Przecież w tych workach nic wartościowego nie ma.

—Nie ma? To zobacz.

I zaczął wyciągać z niego: starą koszulę, pasek parciany, but skórzany bez obcasa, kawałek jakiejś gazety.

—Widzisz, co za skarby?

Usiedliśmy przed barakiem i wystawiliśmy twarze do słońca. Wbrek leżał u jego nóg. Przymknąłem oczy. Może zdrzemnąłem się. Zdawało mi się, że trwało to chwilę, ale kiedy otworzyłem oczy, Grzywacz leżał twarzą do ziemi, a jego worek znikł.

Umieraliśmy wtedy jak muchy, dosłownie jak muchy późną jesienią.

Rozebrałem go, na piersi napisałem jego numer, a obok ktoś schwył go za nogi i powłókł do głównej drogi obozowej.

39

Siedział ukryty w krzakach i płakał. Zgiełk bitewny już zamarł. Pogoń i obłędna ucieczka ustały. Nogi miał spuchnięte, stopy poranione. Podarte buty leżały obok brudnego karabinu. W tej chwili, z powodu braku naboju, mniej cenniego niż kij pasterski. Krzewy chroniły go przed wzrokiem ludzkim i spiekotą słońca. Ale śpiewu ptaków nie słyszał. Łzy ciekły mu po policzkach. I kiedy tak rozpaczał nad

własnym losem i nad rozbitym oddziałem, usłyszał starczy głos i zadrżał z przerażenia.

—Płaczesz, synku?

Podniósł głowę. Ujrzał przed sobą nieco schyloną, opartą o sękaty kij, starą Cygankę. Była oberwana i tak jak on zabrudzona ziemią. Włosy miała siwe, rozwiane na wietrze. W oczach jej dojrzał smutek i współczucie. Uklękła przed nim. Brudną, suchą, kościstą ręką podniosła mu podbródek do góry i zajrzała wnikliwie w oczy.

—Nie płacz i nie rozpaczaj. To, co w tej chwili przeżywasz, jest straszne, ale nie tak okrutne, jak to, co sążone ci przeżyć, gdy twój syn będzie miał tyle lat, co ty w tej chwili. Z tego nieszczęścia wyjdiesz i z tamtego wydobędziesz się cało i syna ocalisz.

Cofnęła rękę i wstała z klęczek.

—Wojsko poszło dalej. Posiedź tu do nocy, a wtedy idź. Idź ciągle na zachód. A jak przejdiesz Horyń, dobrzy ludzie zaopiekują się tobą, a nim ta opieka ustanie, nie będziesz tam potrzebny, dokąd teraz uciekają twoi koledzy.

Leżeliśmy w zawoszonym łajnie w baraku nr 18 w Belsen-Bergen. Podłoga była mokra, cuchnąca. Białe wszy pełzły po niej tam i z powrotem. Byliśmy spuchnięci z głodu. Ubrania nasze śmierdziały jak doły kloaczne. Cierpieliśmy na biegunkę, czerwone, dur brzuszny i diabli wiedzą na co jeszcze. Jego syn był siny. Usta miał szeroko otwarte. Odychał z trudem. Ojciec troskliwie tulił go do siebie, jakby sobą chciał go zasłonić przed złem tego miejsca.

—Kiedy oprzytomniałem, staruchy nie było. A może jej w ogóle nie było? Może to był sen? Umiesz przewidywać przyszłość, więc chyba rozumiesz?

Skinąłem głową.

—Wieczorem ruszyłem mocno utykając. Karabin wziąłem, ale buty zostawiłem. Szedłem lasami, opłotkami, omijając wsie. Dopiero po przejściu przez Horyń, a zajęło mi to trzy doby, dowlokłem się do pierwszej z brzegu napotkanej chaty i padłem zemdlony. Zaopiekowano się mną. A gdy po trzech tygodniach zacząłem wracać do przytomności,

przez wieś przetoczył się front w odwrotnym kierunku. A zanim zupełnie wyzdrowiałem, pokój już był zawarty. Wróciłem do Warszawy i w kilka miesięcy później zacząłem pracować u Lilpopa. W 1925 roku ożeniłem się, a w 1926 roku on przyszedł na świat. Jedynak. A pierwszego sierpnia 1944 r. razem z nim poszedłem na barykady Woli. Nie chciałem z niim się rozstać. Wciąż brzmiały mi w uszach słowa tej Cyganki: „Z tego nieszczęścia wyjdiesz i z tamtego wydobędziesz się i syna ocalisz”. A to nieszczęście, w jakim Polska znalazła się, jest straszq, I czy ja z tego obozu wyjdę? A on? Spójrz na niego. On kona. Więc czy ona naprawdę widziała nas obu w takim miejscu? Powiedz cokolwiek. Dodaj mi otuchy. Wiarę tracę.

—Widziała. To była jasnowidząca. Musisz jej ufać. Lada dzień wojna się skończy. Czuwaj dalej nad nim. Z tyfusu wiele osób już wydobrzało.

—Ale jak długo tu jeszcze będziemy? Tyś jasnowidz. Powiedz.

Przymknąłem oczy i siedziałem długo nic nie mówiąc. A potem powiedziałem to samo, co na drugi dzień powtórzyłem inż. Kulikowskiemu.

—15 kwietnia stanie się cud. Dotrwajcie do tego dnia.

Gdy to mówiłem był 11 kwietnia 1945 r., a 15 dnia tego miesiąca, o godzinie 12 Anglicy wyzwolili nasz obóz. Ojciec i syn doczekali tego momentu. A w tydzień później Misja Szwedzka zabrała pierwszą partię beznadziejnie chorych więźniów do swego pięknego kraju.

Niech Bóg błogosławi Szwecji i jej ludowi, albowiem wiele dobrego ten naród uczynił w czasie tej wojny.

Przepowiednia starej Cyganki była jedyną siłą, jaka tego biednego ojca trzymała przy życiu.

40

Dziś, kiedy moja droga ku śmierci jest coraz bliższa końca, poczytuję sobie za zaszczyt, że świadomie i z całą premedytacją stawiając horoskop okłamałem dra Alfreda

Steinera, naszego lekarza obozowego, zapewniając, że jego dwaj synowie, gdy dorosną, będą jego dumą. Okłamałem inż. Alojzego, naszego Lager-Ältester, twierdząc, że po powrocie do kraju przywitany zostanie przez żonę i dwie córki. Nie żyły już, kiedy ten horoskop stawiałem. Sanitariusza G., roztaczając przed nim wspaniałe mirażę na temat jego żony i syna. Nie żyli, gdy ten horoskop stawiałem. Okłamałem jeszcze wielu innych. Ale na Boga, czy miałem im, znajdującym się na samym dnie piekiel, odbierać tę złudną iskierkę nadziei? Iskierkę, która w tym miejscu i czasie miała wartość płomienia.

Szewcowi Tadziowi przepowiedziałem, że w rok po jego powrocie do kraju żona powije mu bliźnięta, ale nie powiedziałem, że rozpije się i wykolei. Memu koledze szkolnemu Sz. powiedziałem, że nim wróci do Polski, będzie już miał syna. Ale nie powiedziałem, że syna tego nie ujrzy.

Ale to oszustwo, jakiego dopuściłem się w końcu października 1943 r. w Warszawie, napawa mnie dumą.

Była szczuplutka, niepozorna. Twarz miała zmęczoną, w oczach przebliski zastraszenia. Ubrana była skromnie, ale gustownie. Włosy miała ciemne. Rysy regularne. Ale cała jej postać, takie odniosłem wrażenie, była otoczona jakby całunem.

Powiedziała mi, że jest sierotą. Ojciec padł na froncie w 1938 r. Matka zmarła pół roku temu. Miała narzeczonego, ale ten zerwał z nią, nie podając przyczyny. Jest kompletnie sama. Czuje się nikomu niepotrzebna. Koleżanki biurowe namówiły ją, by odwiedziła mnie i zasięgnęła porady. A jak jej się sprawdzi, to wtedy i one do mnie przyjdą na wróżbę.

Obejrzałem jej dłonie. Rozłożyłem karty. Siedziałem i patrzyłem w te „obrazki” ponad dwadzieścia minut. Tam była nicość. Liczyłem w myśli dni. Wypadła data 11 listopada. A więc niecałe pół miesiąca miała żyć jeszcze.

„Mój Boże — myślałem — co ja jej powiem? Co ja jej powiem?”

I powiedziałem.

—Jedenastego listopada tego roku nastąpi w życiu pani wielki przełom. Od tego dnia rozpocznie pani nowe, piękne i bardzo szczęśliwe życie. Bez żadnych trosk. Tak, 11 listopada to najszczęśliwszy dzień w pani życiu.

Zwinąłem karty. Byłem bardzo wyczerpany. A kiedy otwierałem jej drzwi na klatkę schodową, dodałem:

—Jest to tak blisko, że dla Skrócenia czasu niech pani, zrywając wieczorem kartkę z kalendarza, myśli z radością, że ten dzień jest coraz bliżej.

15 listopada odwiedziły mnie jej koleżanki biurowe. Powiedziały, że całe biuro z niecierpliwością czekało, co przyniesie 15 listopada. A tego dnia panna Zosia nie stawiała się do pracy. W południe już wiedzieli dlaczego. Tego dnia rano, kiedy panna Zosia śpiesząc się do pracy wychodziła z bramy, została przeszyta kulami z automatu. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że Niemcy pędząc za jakimś mężczyzną, który klucząc uciekał przed nimi, strzelali na oślep.

41

Braunschweig był, jak wiele miast niemieckich, zrujnowany. Idąc autostradą w kierunku Magdeburga, miałem go po prawej ręce. Nie zwiedziłem go. Miałem dość ruin

i nędzy ludzkiej. W przydrożnym kanale, oddzielającym autostradę od fabryki, wykapałem się. Choć była godzina wczesna, przedpołudniowe słońce czerwca 1945 r. już silnie przygrzewało. Po kąpieli, schnąc na trawie, zjadłem kawałek chleba i nieco czereśni, zerwanych poprzednio z drzew rosnących przy szosie, zanim dotarłem nią do autostrady Hanner-Berlin. Możliwe, że trochę zdrzemnąłem się. Na autostradzie nie było ruchu. Wszędzie panowała cisza, jakby na bezludziu. Niedziela. Powoli ubrałem się w swoje pasiaki. Jako okrycie górne, zamiast marynarki, miałem damską bluzę funkcjonariuszek SS. Nad prawą kieszeńią była wyszyta gapa. Odprułem ją, ale ślad pozostał. I było go widać z daleka. Wyglądało to dość zabawnie i karykaturalnie. Składałem się jakby z dwóch części. Góra — SS, dół —

więzień obozu koncentracyjnego. Innego jednak ubrania nie miałem. Wstydzilem się przywłaszczać cudzy dobytek. A może nie wstydzilem się, a po prostu, co jest zgodne z moim charakterem, nie byłem zdolny do tego rodzaju postępków? Nieliczni przechodnie, których spotykałem na drogach, omijali mnie z daleka z lękiem w oczach. Jedni bali się więźnia, inni SS-mańskich bluz, choć były to bluzy damskie.

Wypoczęty, rażno ruszyłem na wschód. Ale kiedy mijałem niewielki domek, położony na wzgórku o kilkadziesiąt metrów od autostrady, nie wiem, dlaczego stanąłem nagle. Jakiś dziwny impuls pchał mnie do tego domku. Nie zastanawiając się więc, dlaczego to czynię i jak usprawiedliwić najście na ten domek, szybko ruszyłem ku niemu.

Domek był ogrodzony siatką. Furka w bramie otwarta. Przekroczyłem ją i znalazłem się na podwórku. Było pusto. Alejką ruszyłem do frontowego wejścia. Wszedłem po trzech stopniach na niewielką werandę i zajrzałem przez oszklone drzwi. W pokoju nie było nikogo. Poruszyłem lekko klamką i bez trudu znalazłem się w nim. Był słoneczny, umeblowany skromnie. Stałem niezdecydowany. I kiedy tak stałem, do uszu moich doleciał czyjś płacz. Gdzieś w głębi domu, jakby z góry. Przeszedłem pokój, otworzyłem nowe drzwi i znalazłem się w niewielkim holu. Stałem nasłuchując. Tak, płacz dolatywał z góry. Wąskimi schodami, starając się iść cicho, zacząłem wchodzić po stopniach na piętro. A kiedy tam się znalazłem, odgłosy płaczu doleciały do mnie wyraźnie. Na pięterku było troje drzwi. Otworzyłem pierwsze i stanąłem na progu niewielkiego pokoiku. PrzyV>krażliwym stole siedziały dwie dość młode jeszcze niewiasty, bardzo do siebie podobne. Domyśliłem się, że są siostrami. Przy starszej stało dwoje dzieci. Chłopiec lat może dwunastu i dziewczynka, piękna jak aniołek, lat najwyżej sześciu. Tuliły się do niej. Wszyscy mieli zapłakane oczy. Na mój widok płacz urwał się, a oni patrzyli na mnie jak na straszną zjawę z innej planety. Czulem, że moje wejście przeraziło ich potwornie. Nic dziwnego. Rysy mam wprawdzie egzotyczne i może w okresie kamienia łupanego

uchodziłbym za Adonisa, ale w tej bluzie SS-mańskiej, pasiakach więźnia i w porwanych butach, przy twarzy spuchniętej jak bania i ogolonej głowie, wyglądałem okropnie.

Przez kilka minut patrzyliśmy na siebie. A przerażenie w nich stale narastało. Przemówiłem pierwszy. Powiedziałem po niemiecku, starannie dobierając słów:

—Dlaczego jesteście smutni? Dlaczego płaczecie? Nie bójcie się. Nie uczynię wam nic złego. Idę na wschód, ale coś mnie zmusiło, żebym tu wszedł.

A kiedy wciąż milczały, wskazałem palcem na tę, przy której stały dzieci i powiedziałem:

—Ich bin Hallseher. Twój mąż żyje, więc dlaczego płaczesz?

Pierwszy raz w życiu nazwałem siebie jasnowidzem. A ona, gdy to usłyszała, zemdląła. Gdyśmy ją ocucili, młodsza siostra powiedziała mi, że jakąś godzinę temu wszedł do nich mężczyzna. Podał się za przyjaciela męża. Powiedział, że udało mu się uciec z niewoli. Ale mąż siostry zginął od bomby. Przed śmiercią, widocznie przeczuwając ją, prosił go, że jeśli ujdzie cało z Berlina, niech powiadomi żonę i dzieci o jego śmierci.

—Jak on się nazywał, ten przyjaciel męża siostry pani?

—Nie przedstawił się nam. Wszedł, powiedział, że szwagier nie żyje i zaraz się oddalił.

„Wdowa” wracała do równowagi. Dzieci zaczęły znowu płakać. Odruchowo pogłaskałem dziewczynkę po głowie, a chłopaka poprosiłem, żeby mi podał szklanekę zimnej wody, bo mi się nagle zachciało pić.

Panie poprosiły mnie, żebym usiadł. Usiadłem, a one błagalnie patrzyły na mnie. Wyciągnąłem z chlebaka zwykle karty do gry. Potasowałem je i kazałem „wdowie” przełożyć je na trzy kupki. Na widok kart i tej manipulacji w oczach ich zajaśniała nadzieja. Albowiem ludzie na całym świecie odczuwają potrzebę wróżenia, wierząc, że przyniesie ono im ulgę. Poczulem, że nabrały do mnie zaufania i że zawdzięczam to kartom. A kiedy po rozłożeniu kart wskazałem jej palcem na waleta i króla kier stojącego obok damy kier i powiedziałem, że to są ona i mąż śpieszący do domu i że

lada dzień tu przybędzie, wykrzyknęła pełna wdzięczności:

—Gott sei Dank!

Powiedziałem jej kilka zdarzeń z jej przeszłości i jeszcze raz solennie zapewniłem, że mąż żyje, wróci do niej i nigdy jej już nie opuści.

Tej drugiej przepowiedziałem, że za dwa lata wyjdzie za mąż i że będzie szczęśliwa. Uwierzyły mi bez zastrzeżeń.

A kiedy opuszczałem ten domek, pozostawiając jego mieszkankom swój adres w Warszawie, w przekonaniu, że do swego mieszkania wrócę, chciały mi płacić. I sędzę, że oddałyby wszystko, czego bym zażądał, ale odmówiłem. Wypiłem tylko szklanek zimnej wody. A kiedy usłyszały odmowę, po raz wtóry w moim życiu, kobieta ucałowała moją rękę w podziękę za wróżbę.

Minęło wiele już lat. Miałem mnóstwo ciekawych ludzi u siebie i dziwne rzeczy im przepowiadałem, ale tego impulsu, co mnie zmusił do przekroczenia progów tego domku, wytłumaczyć nie potrafię. Wiem jednak, że w owym momencie byłem jasnowidzem.

42

Kiedy w 1945 r. stanąłem na peronie dworca kolejowego w Poczdamie, dowiedziałem się, że zostałem wyprzedzony przez pana Bolesława Bieruta, przyszłego Prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Podobno jego przybycie narobiło trochę szumu, natomiast moje, et, szkoda mówić.

Stacja wydała mi się niewielka i, o dziwo, nie zniszczona. Kilku żołnierzy radzieckich, tak pod pięćdziesiątkę, siedziało przy kotle z zupą i zajadało smacznie. Poczulem się bardzo głodny, co pchnęło mnie, mimo zażenowania, w pobliże tej grupy.

Oparłem się o barierkę i udając, że nie patrzę w ich stronę, czekałem, aż skończą jeść. Po pół godzinie nasycili się. Czknęli, wytarli wąsy i wyprostowali się. Po chwili zaczęli przeszukiwać swoje kieszenie. Wtedy z małego plecaczka, do którego składałem skrzętnie zbierane na

autostradzie od Hanoweru do Magdeburga pety, wyjąłem większego, wsadziłem do lufki i z wielką powagą zapaliłem.

Wonny dymek dotarł do nich. Spojrzałem kątem oka. Wyprostowali się i chciwie ten dymek łowili nozdrzami. Jeden z nich zaczął się zbliżać do mnie. Dmuchałem dymem jak ruszająca stara lokomotywa.

—Obywatelu, wy skąd rodem?

—Z miasta K.

—A niech to diabli wezmą. Towarzysze — zwrócił się do siedzących — czy wiecie, z kim rozmawiam? — A gdy milczeli, wołał: — z r o d a k i e m ! Rozumiecie, z rodakiem. Kochanym rodakiem.

—Przy której ulicy mieszkałeś?

—Na Fajansie.

—A ja na Józefówce.

—No, to rzeczywiście jesteście rodakami.

Podaliśmy sobie uroczyście dłonie. Zaprowadził mnie do kotła. Usiadłem wśród nich. Oni mi dali łyżkę, kromkę chleba, a ja im plecaczek z petami. Palili, ja zaś jadłem jak wilk. Potem dał mi jeszcze na drogę słoniny i bochenek chleba, wsadzili na statek i poprzez Waansee popłynąłem do Berlina.

Statek był biały, niewielki. Jezioro spokojne. Siedziałem na pokładzie, a słońce grzało mi twarz, lekki zaś wiatr muskał mi skronie i rozwiewał odrastające włosy na głowie.

Dziwaczne są niekiedy koleje losu. To był rzeczywiście rodak. Nazywał się Michał Korecki. Chodził do tej samej szkoły co ja. Przepadał za Daniłą Łukowiczem Ilczukiem, jak i ja przepadałem. Ale pojęcia nie miał, że siedział dwie ławki za mną i że to ja go pokonałem, kiedy „fajansowcy” bili się z „józefowcami”. Wołałem tych szczegółów mu nie przypominać.

Siedziałem na tym stateczku i myślałem.

Dwa dni temu siedziałem na brzegu Łaby po stronie zachodniej i zastanawiałem się, jak przedostać się na wschód. Wraz ze mną koczowało na łące kilkadziesiąt osób z zamiarem przedostania się do strefy radzieckiej. Przez most

przechodziło tysiące Rosjan, wracających do ojczyzny z niewoli niemieckiej, z obozów koncentracyjnych i łagrów pracy przymusowej. Nikomu poza nimi przez ten most nie wolno było przechodzić. A jeśli ktoś się włączył w nurt powracających Rosjan, rozpoznawano go, wyciągano z szeregów i delikatnie zawracano do Magdeburga. Anglicy obojętnie patrzyli na kandydatów do przejścia na stronę radziecką. Więc ci kandydaci rozłożyli się obozem na brzegu rzeki, zagospodarowali się tam, i co jakiś czas organizowali przeprawę przez rzekę. Niektórzy, jeśli mieli czym zapłacić przewoźnikowi, przepływali łodzią, niektórzy, a zwłaszcza tacy jak ja, przepływali rzekę żabką, kraulem lub po kozacku na rozpaszkę. Kiedy do tej gromady koczowników przybyłem, po nieudanej próbie przedostania się przez most, i zapoznałem się z terenem, doszedłem do wniosku, że inaczej jak wpływ nie przedostanę się na drugą stronę. Łaba nie uczyniła na mnie imponującego wrażenia, mimo że na moich oczach, jak na oczach wielu innych, utonęła w jej powolnym nurcie młoda dziewczyna. W porównaniu z Wisłą, zwłaszcza w okolicach Grudziądza w czasie nagromadzenia wód deszczowych, czyniła wrażenie rzeczulki. Płynęła leniwie. Woda w niej wydawała się czarna. Zachodni brzeg, na którym siedzieliśmy, był wzniesiony, suchy, wschodni, na który pragnęliśmy się przedostać, był płaski, a nad samą rzeką rosły gęste łożyny, przez które nie mogliśmy dojrzeć, co się tam dzieje. Cała ta strona, na którą miałem zamiar przedostać się, wydała się pusta i bez życia, tajemnicza.

Ci, co przepływali rzekę, ubierali się na jej brzegu, wkraczali w łożynę i ginęli nam z oczu. Jakby zapadali się pod ziemię.

Około południa, mimo nawoływań ostrzegawczych, nadawanych przez głośniki w języku rosyjskim, polskim, czeskim i niemieckim, żeby nie przepływać przez rzekę, gdyż jeszcze nie została oczyszczona z min, postanowiliśmy ją sforsować. Było nas dwunastu odważnych i dwie śmiałe. Miałem tylko obozowe ubranie na sobie, stare rozdeptane buty i plecaczek, w którym przechowywałem dwie znalezione w

zburzonym domu książki niemieckie z zakresu zielarstwa i niedopałki papierosów. To był cały mój majątek. Oni zaś, nie wyłączając niewiast, byli obładowani bagażem. I czego oni nie dźwigali? Kolarz, chwalcący się, że ma młodą żonę i siedem krzyżyków na grzbiecie, dźwigał ciężki jak cholera stary dywan, pomocnik maszynisty poza walizką, której za nic w świecie nie udźwignąłbym, taka była ciężka, troskliwie tulił w ramionach głowicę maszyny do szycia marki „Singer”, a inni, nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co za skarby nieśli w tych tobołach i walizkach. Wynajęli dużą łódź, a mnie, skoro nie miałem czym zapłacić, pozwolili z łaski umieścić na niej odzienie i ten plecaczek, rzekę musiałem przebyć w pław.

Woda była zimna i choć niebo pogodne, wiał silny wiatr, a prąd, jak się przekonałem, był szparki. W niektórych miejscach trafiały się wiry. Jakoś szczęśliwie dotarłem do drugiego brzegu nie natrafiając na miny.

Tak więc w piątek, o godzinie 12.45, dnia 29 czerwca 1945 r. stanąłem na polskiej ziemi i do dziś na niej stoję, i do końca moich dni stać będę. Nigdy tego nie żałowałem i nie żałuję. A szczerze mówiąc, był to akt wielkiej odwagi, gdyż potężnie nas straszili wysłannicy z Zachodu, twierdząc, że każdy Polak, który wróci do kraju, zostanie wywieziony na Syberię, a stamtąd już nie ma powrotu.

Łódź przybiła do brzegu. Wyładowano rzeczy. Ubrałem się. Moi współtowarzysze nie chcieli zapłacić przewoźnikowi. Po burzliwej wymianie przekleństw przewoźnik odpłynął, a my jak przekupki kłóciliśmy się o to, czy mamy w tę łozinę iść śpiewając „Międzynarodówkę” i nieść czerwony sztandar, czy w zbożnym skupieniu odmawiać: „Pod Twą Obronę Ojczyznę na Niebie”?

—Ja jestem starym komunistą — darł się jeden z tych, którzy dźwigali potężne walizy i odmówili zapłacenia, przewoźnikowi— i będę śpiewał...

Nie dowiedzieliśmy się, co będzie śpiewał, gdyż z krzaków wyszło dwóch czerwonoarmistów, na widok których zatkało nas. Byli młodzi, prawie chłopcy. Uśmiechali się

do nas od ucha do ucha.

—Chodźcie, bracia. Nie krzyczcie, bo ryby się spłoszą.

Poszliśmy za nimi. Za pasem łoziny ciągnęła się dość szeroka podmokła łąka. Przeszliśmy ją. Wspięliśmy się na wał ochronny. Za wałem biegła droga. Za nią rozciągało się wielkie pole. czarne, zaorane i dziwnie puste. Wzdłuż drogi biegły druty kolczaste, a w niektórych miejscach widniały włazy do okopów czy schronów, nie bardzo się na tym wyznawałem. Biegła również linia telefoniczna. Na zboczu wału ochronnego siedziała grupa przybyłych przed nami ludzi. Ich bagaże leżały obok. Niektórzy opalali się, jeszcze inni spożywali posiłek. Kilku żołnierzy radzieckich stało na uboczu, paru siedziało wśród przybyłych, rozmawiając wesoło.

Usiedliśmy wśród przybyłych przed nami ludzi, a ten, który tak się wydzierał, że jest starym komunistą, nie omieszkiał powiadomić o tym żołnierzy, domagając się, aby pozwolono mu iść jego drogą, gdyż nie ma zamiaru siedzieć wśród nas.

Jego wystąpienie nie wzruszyło żołnierzy. Usłyszałem, jak jeden z nich mruknął.

—Teraz co drugi to komunista — i splunął odwracając się do niego tyłem.

Więc zamilkł i siedział osowiały.

Siedzieliśmy na tym wale do zachodu słońca i stale nas przybywało. A kiedy słońce zaczęło kryć się za czarnym polem, kazano nam wstać, wziąć bagaże, ustawić się czwórkami. A gdy to wykonaliśmy, dwóch żołnierzy pod bronią stanęło na naszym czele, a dwóch innych zamknęło pochód, ruszyliśmy wzdłuż wału w nieznane.

Ciemność zapadała szybko. Droga była mokra, grunt gliniasty. A gdy nas przeprowadzono przez druty i zaczęliśmy iść przez ugory, ziemia czepiała się naszych nóg tak mocno, że niektórym buty w niej pozostawały. Ciężar walizek i innych tobołów stawał się nieznośny. Pierwszy spasował stary kolejarz i cisnął dywan do diabła. Po nim w miarę upływu czasu coraz to inny pozbywał się ciężaru.

Ostatni z płaczem rzucił ogromną walizę „stary komuni-
sta”. I szliśmy, i szliśmy przez to przekłęte pole.

Świt ukazał nam czyściutką, schludną i przytulną stacyj-
kę kolejową. Przeczytaliśmy napis. Brzmiał „Bendorf”.
Weszliśmy na peron. Były ławki. Rzuciliśmy się na nie.
Żołnierze zasalutowali nam, życzyli „lekkiej podróży do Ber-
lina” i odmaszerowali. Spojrzeliśmy na siebie. Myślę, że
niejeden z nas pomyślał wtedy, iż przysłowiowy święty tu-
recki w porównaniu z nami to magnat. Tylko pomocnik
maszynisty tulił do łona głowicę maszyny do szycia marki
„Singer”, ale walizki też nie miał. Porzucił ją w polu jak
pozostali.

Byłem strasznie głodny, a pociąg, jak się dowiedziałem,
miał odejść o godzinie ósmej rano. Zawiodowca poradził
mi, abym udał się do komendantury radzieckiej mieszczą-
cej się kilka domów dalej. Tam otrzymam skierowanie do
wójta z poleceniem wydania mi kartki na chleb i wędlinę.
Poinformowałem o tym kolegów, ale ci byli tak zmęczeni
nocną wędrówką i przejści utratą bagażu, że pogardliwie
machnęli ręką i drzemali dalej, przeżywając swój ból w
milczeniu.

W komendanturze na mój widok wydano okrzyk, nie
wiem — ze zgrozy czy z podziwu. Byłem przecież usma-
rowany błotem jak nieboskie stworzenie. Komendant, mło-
dy podoficer, po ochłonięciu zapytał, kim jestem i czego
chcę. Jego pomocnik, jeszcze młodszy wiekiem cywil, patrzył
podejrzliwie na mój plecaczek.

Powiedziałem, że jestem z Warszawy, wracam do niej
i że jestem głodny.

—Dokumenty masz?

—Nie, nie mam. Dali mi tylko zaświadczenie Anglicy,
że byłem w obozie koncentracyjnym w Belsen-Bergen.

—Pokaż.

Pokazałem. Obejrzał, postawił pieczęć na odwrocie, podpisał.

—Teraz w porządku. Nie będziesz miał kłopotów.

—A co masz w plecaku? — wtrącił się cywil.

—Książkę—ja na to.

—Pokaż.

Wyciągnąłem ten „Handbuch” i podałem mu. Obejrzał starannie i podając komendantowi, powiedział:

—Ot, durak.

Komendant starannie przekartkował książkę, na niektórych stronach dłużej się zatrzymał i oddając mi ją, odpowiedział pomocnikowi:

—Nie durak, a wracz, panimajesz?

A do mnie:

—Gdzie reszta bagażu? Od Anglików przychodzą na tę stronę przeważnie obładowani tobołami. Sam przeszedłeś?

Opowiedziałem mu wtedy, jak przeprawiliśmy się przez Łabę, jak nas prowadzili i ile czasu to trwało. W miarę jak mówiłem, twarz komendanta i jego pomocnika coraz bardziej weselała, a w końcu obaj ryknęli takim śmiechem, że nie proszony usiadłem na wolnym krześle.

—Bracie — komendant walnął mnie pięścią w kolano — jak długo żyję, nie słyszałem o czymś podobnym. Siedem kilometrów szli całą noc. Nie zabrano im nic i nic nie mają. Cha, cha, cha!

Śmiałem się i ja. A potem znalazła się na stole butelka wódki, trzy szklanki, małeńki ogórek i skórka chleba. Wąchaliśmy tę skórę, lizaliśmy ogórka i szklanki wódki znikwały w naszych brzuchach. Do Poczdamu, wsadzony przez komendanta do pociągu, przybyłem w stanie nieważkości.

43

Z Mistrzem Łączyńskim osobiście zetknąłem się po raz pierwszy w 1936 r. Kiedy mi go przedstawiono, doznałem rozczarowania, które w miarę trwania tej znajomości wzrastało. Jedyłą jego siłą jako hipnotyzera była niestety tylko czarna broda i krzaczaste brwi. Wiele razy próbował mnie uspić i mu się nie udało, choć ja naprawdę chciałem być uspiony. Nie miał talentu. Był ograniczony. Głos miał niemły.

Przekonałem się, że największą siłą magiczną, jaką człowiek rozporządza, jest jego głos i barwa tego głosu. Do

roku 1952 nie zdawałem sobie z tego sprawy, sądząc, że sukcesy jako pseudojasnowidz zawdzięczam tylko zdolnościom parapsychologicznym. W 1952 r. musiałem podsumować naradę jednego ze zjednoczeń przemysłu spożywczego. Podsumowanie to trwało ponad 75 minut. Norma wszelkiego typu mówców. O czym mówiłem? Szczerze mówiąc, nie wiem. Milczenie, nieruchome postacie na sali konferencyjnej, uparcie utkwione we mnie osiemdziesiąt par oczu i mój głos rozlegający się w sali wprowadzały mnie jakby w trans. Czuję, że mój stan psychiczny zlewa się z ich stanem. Słuchacze i ja tworzyliśmy jakby jeden organizm. Kiedy skończyłem, jakiś czas panowała cisza, a potem rozległa się salwa oklasków. Kiedy żegnałem Pszenno, inż. Lasko, jeden z uczestników tej narady, ściskając mi rękę, powiedział:

—W imieniu własnym i wszystkich uczestników narady dziękuję panu. Pana przemówienie wstrząsnęło nami.

Polechtany tym uznaniem, zapytałem, udając skromność: — A co mówiłem, że panowie doznaliście takiego wrażenia?

—Co pan mówił? Jak Boga Kocham, nie wiem. Ale wiem, że przemówienia tego do końca życia nie zapomnę. Było wstrząsające.

A kiedy wychodziłem z podobnej narady w Lublinie, woźny, który cały czas siedział przy drzwiach sali obrad, powiedział do mnie:

—Ale pan ma gadkę, ho, ho.

Prawdziwego cudu dzięki głosowi dokonałem w zimie 1965 r. Byłem wtedy panem kierownikiem administracyjnym w specjalnym ośrodku wychowawczym dla tak zwanych dzieci trudnych. Ośrodek mieścił się w lesie i składał się z prymitywnych baraków, rozmieszczonych tak, że trzeba było stale biegać po kilkaset metrów od jednego do drugiego. Wychowanków było około 60, sami chłopcy z piekła rodem, w wieku od 7 do 14 lat. Potomkowie pijaków, syfilietyków, przestępców i prostytutek. Niektórzy przypominali mi moich kolegów z internatów. I ja bardzo ich lubiłem.

Dyrektorem ośrodka była kobieta. Przez władze zwierzchnie nazywana „Nowym Korczakiem”, a przez wychowanków: „Rybią pupą na kaczycich nogach”. Ta druga nazwa była nadzwyczaj trafna. W dwa tygodnie po objęciu przeze mnie tam pracy, wyjechała do rodziny w Rabce i przez bite pół roku, symulując chorobę, bawiła się tam setnie.

Owej fatalnej zimy nawiedziła nas grypa. Z wyjątkiem pana Ozimka, „Złotą Rączką” zwanego, bo umiał wszystko zrobić, i intendentki, cały personel wychowawczy i pomocniczy poddał się tej zarazie. Władza zwierzchnia, poza zachętą: „Walczcie, towarzysze”, w tej dramatycznej chwili nic nam nie pomogła. Musieliśmy sobie sami radzić. Za to bachory były zdrowe i kpiły sobie i ze mnie, i z grypy. Rozpacz. Musiałem pilnować ich i w dzień, i w nocy. Obierać ziemniaki i udawać pedagoga. Po kilku dniach wyglądałem jak z krzyża zdjęty. A najgorzej było w nocy. Chłopaczyska nie chcieli spać. Rozrabiali, bili się między sobą i na golasa uciekali do lasu.

I kiedy zdawało mi się, że już nie wytrzymam, nawiedził mnie jeden z najgenialniejszych pomysłów w moim życiu.

—Jestem albo nie jestem cudotwórcą? Jeśli dorośli dają się czarować, to dzieci tym bardziej. Będę ich usypiał sugestią.

Szykując się do tej batalii, zacząłem sobie przypominać wszelkie teorie pedagogiczne, jakie mi wpajano na studiach. Ale żadna z nich nie odpowiadała obecnej sytuacji. Postanowiłem działać, jak chwila dyktuje.

Chłopcy spali po dziesięciu w sypialniach. Najmłodszy w drugim baraku odległym o jakieś pół kilometra od centrum ośrodka, kuchni i szkoły. Przydzieliłem ich intendentce pani Marii. Średnich, stosunkowo zrównoważonych, panu Ozimkowi, a najstarszych, istnych diabłów, wziąłem pod swoją opiekę. Podczas kolacji powiedziałem swojej grupie, że po kąpieli, jeśli będą grzeczni, opowiem im bajkę. A oni odpowiedzieli na to, że w d... mają moje bajki.

—To są takie bajki, że się sfajdacie ze strachu—ja im na to.

—My się sfajdamy?

—Zobaczycie. Do kąpieli — rozkazałem swojej grupie.

odziwo, bez szemrania usłuchali. Mimo wszystko byli ciekawi, co to będzie za bajka, po której mogą się sfajdać ze strachu. Kąpiel odbyła się w piorunującym tempie. Nie potrzebowałem ich popędzać ani pilnować, żeby mi urządzeń sanitarnych nie popsuli. Ubrani w piżamy wpadli do sypialni i chcieli siedząc na łóżkach słuchać tych strasznych bajek.

—O nie — powiedziałem. — Kładźcie się wygodnie i przykryjcie kocami. Zgaszę światło i po ciemku będę opowiadał. Zgoda?

Powiedzieli, że tak. Ułożyli się wygodnie. Zgasilem światło.

—Uważajcie: jak powiem raz — zamkniecie powieki, jak powiem: dwa — podniesiecie powieki. Zaczynamy.

I zacząłem monotonna skandować: „raz, dwa, raz, dwa”. Po pięciu bodajże minutach przerwałem skandowanie. Było cicho.

„Czyżby te łobuzy udawały, że śpią” — pomyślałem i zapaliłem światło, żeby się o tym naocznie przekonać. Ani jeden nie zareagował na to. Przyjrzałem się ich twarzom. Były spokojne i pogodne. Oczy zamknięte. Oddychali miarowo. Jednego z nich lekko dotknąłem — nie poruszył się. Spali jak susły.

Wyszedłem z sypialni. I wtedy dopadł mnie pan Ozimek.

—Niech pan idzie do mojej grupy. Nie chcą spać. Rozrabiają. Żądają, żeby pan przyszedł i powiedział im bajkę.

Udałem się tam. Wrzask i rozróbka w sypialni dosięgała szczytu. Jeszcze chwila, a zaczęliby nago pryskać do lasu.

Na mój widok wrzasnęli: „Gadaj, dziadu, bajki!”

Kazałem im się uspokoić, przykryć i słuchać. Podobnie jak poprzedniej grupie, zgasilem światło. Ale metody sugestii użyłem innej. Zacząłem mówić, że jadą pociągiem. W wagonach ciasno. Nie ma na czym usiąść. Jest duszno. Duszą się. A potem wyprowadziłem ich z tego dusznego, smrodliwego wagonu na łąkę. Ułożyłem ich pod drzewami na wonnej trawce. Słyszeli śpiew ptaków. Szmer liści. I czuli wielką błogość i tak im się strasznie spać chciało, tak chciało...

Trzecią grupę zawiozłem do mamus. Straszne to były

mamusie, ale ja im wmawiałem, że są aniołami, że ich kochają i tulą do snu. Ta grupa najszybciej zasnęła.

A podczas śniadania chłopcy opowiadali dziwne o swoich snach.

44

Czy są ludzie pechowi? Na ogół uważa się, że tak. Ale co to jest pech? Nie wiem. Znam jednak kilka dziwnych przypadków, w których pojęcie „pechowość” nabierało jakby cech rzeczywistości. W latach sześćdziesiątych zawiadomiono mnie, drogą telegraficzną, że na jednej z budów nasz pracownik zginął przy pracy. Zanim tam dojechałem, a depeszę otrzymałem z dwudniowym opóźnieniem, minęła dostateczna ilość czasu, żeby trafić na uroczystości pogrzebowe. Nie wypadało mi, jako władzy nadrzędnej, uchylać się od wzięcia udziału w tej uroczystości. Wprawdzie, jak zapewniał miejscowy czynnik społeczno-gospodarczy, nieboszczykowi niewiele to pomoże, ale jego rodzicom może sprawić przyjemność, że w pogrzebie ich syna bierze udział sam pan naczelnik ze stolicy. Może to również wpłynąć dodatnio na psychikę robotników. Doda im otuchy, że jeśli zginą przy pracy, pogrzeb ich zostanie uświetniony, jeśli nie obecnością naczelnika, to przynajmniej inspektora. Dobrze i to Grunt to dodać ducha. To o wiele lepsze od zabezpieczeń i szkolenia. Słuchając tego, robiłem dobrą minę do złej gry. Bałem się, żeby mnie nie spotkało to samo, co kilka lat temu, kiedy wiceminister kazał mi pisać na poczekaniu mowę pogrzebową na okoliczność tragicznej śmierci trzech hutników. Napisałem ją w ciągu dziesięciu minut, ale on jej nie wygłosił, bo miał swoją już gotową, choć, moim zdaniem, o wiele słabszą od mojej.

Kiedy zziąjani stanęliśmy przed trumną, zamiast ceremonii żałobnej zobaczyliśmy biegających po kościele ludzi. Okładali onr parasolkami luł} czym popadło krzyczącą wniebogłoso dziewczynę. Ksiądz dobrodziej starał się temu zapobiec, ale na próżno. Dopiero jak ta biedaczka uciekła

z kościoła, ksiądz mógł przystąpić do odprawienia egzekwii.

Wracając z cmentarza, dowiedziałem się, że ofiarą napaści była narzeczona nieboszczyka.

—A za co ją tak okładali? — zapytałem.

—Za pecha — odpowiedział mi przewodniczący rady zakładowej. — Był to trzeci jej narzeczony. Pierwszy na tydzień przed ślubem, wracając motocyklem z pracy, wpadł na zakręcie na stara i poniósł śmierć na miejscu. W rok potem, na tydzień przed ślubem, drugi jej narzeczony zamiast wskoczyć do wagonu, wpadł pod koła pociągu. Nawet kosteczek nie mogli wszystkich pozbiierać.

—Az tym trzecim, kiedy miał się odbyć ślub?

—W tę niedzielę.

—Jak z depeszy wynika, zginął w poniedziałek?

—Właśnie. Na tydzień przed ślubem. Gdyby nie ona, na pewno by żył.

—I pan to mówi poważnie?

—Naturalnie, panie naczelniku — wtrącił się do rozmowy dyrektor. — Wszyscy w to wierzymy.

—A jakie były okoliczności wypadku?

—Żadnych okoliczności nie było — wykrzyknęli wszyscy jednogłośnie. A dyrektor ciągnął dalej. — Ekipa naszych monterów odgramiała browar. W sobotę zakończyli budynki. W poniedziałek, choć był przymrozek i trochę gołoidź.

warunki atmosferyczne pracy były dobre. Postanowili zdemontować starą instalację na kominie fabrycznym i na jej miejsce założyć nową. Komin na oko wyglądał solidnie. Pierwszy wszedł po zewnętrznej drabince brygadzysta. Próbował odkręcić śruby wokół linki opasującej koronę komina. Palce mu zesztyniały, więc zszedł. Po nim poszedł drugi i też nie mógł dać sobie z tym rady. I wtedy poszedł przysły nieboszczyk. Nawet śrubokrętu ze sobą nie zabrał. Wlazł na samą górę. Zabezpieczył się odpowiednio. Krzyknął, że zaraz będzie po wszystkim i szarpnął za linkę. Linka pękła, obręcz opasująca koronę komina pękła, bo była cholera przeżarta rdzą, a korona się zwała i pociągnęła za sobą narzeczonego tej pechowej baby.

—Przyjechałem, żeby zbadać nie tylko okoliczności, ale i przyczynę wypadku — ja na to, ale oni mnie zakrzyczeli:

—Co pan będzie badał? Przecież pan widział, co się działo w kościele. Przyczyna jest jasna jak na dłoni: pechowa narzeczona.

Ja jednak zmusiłem ich, żeby pojechali ze mną na miejsce wypadku.

45

W dniu 9 marca 1971 r. złożyła mi wizytę starsza pani. Kiedy usiedliśmy naprzeciw siebie, popatrzyła na mnie i zapytała :

—Pan mnie poznaje?

—Przykro mi bardzo, nie—ja na to.

—Zmieniłam się bardzo. A pan niewiele. Przychodzę do pana z wielką prośbą.

—Jeśli tylko będę mógł, chętnie ją spełnię.

—Musi mi pan przyrzec, że napisze pan swój pamiętnik. Ja wkrótce już umrę. Wiele spośród tych, którym pan przepowiadał, a przepowiednie były to niezwykle, już nie żyje. Pan też umrze. Taka już kolej losu. Po nas przyjdą inni. Może lepsi, może gorsi, ale takich jak pan już nie będzie.

Nie powiedziałem jej, że już od przeszło dwóch lat męczę się nad tym nieszczęsnym „Pamiętnikiem jasnowidza” i przeklinam ten dzień, kiedy go zacząłem pisać.

—Poznałam pana w 1942 r. I od tego czasu wszystko w moim życiu działo się tak, jak pan przewidział. Nawet taki szczegół, jak przyczyna powstania raka. Lekarz bowiem po zbadaniu mnie powiedział, że rak powstał na podłożu pobicia. A pan 29 lat temu powiedział: „Będą panią maltretować i bić, i stanie się to kiedyś przyczyną nieuleczalnej choroby, którą lekarze nazywają rakiem”.

Moja pamięć odżyła. Cofnąłem się w te odległe lata. Przypomniałem, że mówiłem jej, iż posiada duszę artysty, a ona była malarką. Że będzie przez kilka lat żyła podwójnym

życiem. Będzie pośród złodziei i oszustów. Środowisko to przypomina bagno. Będzie w nim zanurzona powyżej kostek, a mimo to pozostanie niezbrukana. Jej dom będzie schronieniem wielu w przyszłości wybitnych ludzi. Ale kiedy przyjdzie ich czas, zapomną o niej. Przyjdzie czas, że będzie zniesławiona i bezdomna. Zrehabilitują ją, ale nie to jest znamienne. W rodzinie jej, zanim upłynie kilka miesięcy, pojawi się kobieca. Jest to istota, która życie ma już poza sobą, przed sobą zaś śmierć. Ale zanim umrze, stanie się przyczyną śmierci dwóch mężczyzn, w tym młodzieńca.

Jeśli człowiek naprawdę decyduje o swoim losie, powinna uczynić wszystko, żeby tej niewiasty w dom swoich bliskich nie wpuścić.

Jak przyznała po 29 latach od tego momentu, niewiele z tych określeń do niej docierało, ale słowo „niewiasta” skojarzyła z siostrą bratowej. Po wyjściu ode mnie udała się do brata do Zielonki, żeby go uprzedzić i spowodować, aby nie przyjął w swój dom siostry żony.

Kiedy zaczęła brata uświadamiać, ten wyśmiał ją i poradził udać się do psychiatry. Bratowa zaś mściwie powiedziała :

—Wiem, że mnie i mojej rodziny nie lubisz. Powiedz mi, gdzie ten jasnowidz mieszka, a jak tylko moja siostra przyjedzie, a jest już w drodze, pójdziemy do niego i dowiemy się, co on naprawdę powiedział, o ile w ogóle potrafi coś powiedzieć.

Dała jej mój adres. W dwa tygodnie później podobno obie zjawiły się u mnie. Powiedziały potem, że musiały długo czekać w przedpokoju, gdyż mistrz był zajęty, a przed nimi w kolejce czekały jeszcze trzy „ofiary”. W końcu mistrz raczył wyjść do przedpokoju. Na jego widok poczuły rozczarowanie. Niczym znamienitym się nie cechował.

—Jestem już bardzo zmęczony — powiedział patrząc na nie — i obawiam się, że nie będę mógł nic paniom powiedzieć.

A gdy zaczęły upierać się, żeby je przyjął, powiedział, że spróbuje, ale tylko trzy osoby przyjmie i wskazał na nie palcem, pomijając siostrę bratowej. Ta zapytała, dlaczego jej nie chce przyjąć, wtedy spojrzął na nią i powiedział:

—Nie mam pani nic do powiedzenia.

—Jak to nie ma pan nic do powiedzenia? A skąd pan wie, że nie ma mi nic do powiedzenia?

—Dlatego, że życie już poza panią — odpowiedział opryskliwie.

To ją tak rozwścieczyło, że razem z siostrą wdarły się do pokoju poza kolejnością i żądały postawienia kabały.

Kabała wypadła jednakowa dla obu. Z tą chyba różnicą, że bratowej powiedziałem, że przez kobietę straci syna i męża, a jej siostrze, że życie już poza nią, ale zanim umrze, spowoduje śmierć dwóch mężczyzn, tak jak spowodowała śmierć swego męża.

Wyszły przerażone. W domu dostały ataku hysterii. Musiano wezwać lekarza. Lekarz po zbadaniu siostry bratowej powiedział, że należy ją niezwłocznie wysłać do sanatorium lub izolować od otoczenia, gdyż jest chora na gruźlicę.

Słuchając tej relacji, mimo że od tego czasu upłynęło tyle lat, i to jakich lat, zrobiło mi się bardzo ciężko na sercu. Albowiem, jeśli to rzeczywiście powiedziałem, to byłem potworem.

Wybuch powstania warszawskiego zastał rodzinę jej brata w stolicy. Przez dziesięć dni kryli się u znajomych, a potem zostali zagarnięci i wygnani do Pruszkowa. Stamtąd, dzięki pomocy z zewnątrz oraz z uwagi na ciężką chorobę płuc krewnej, zostali przetransportowani do Częstochowy. Bratu odnowiła się rana otrzymana w czasie kampanii wrześniowej. Chłopak czuł się również źle. W Częstochowie dostali mały pokój o powierzchni najwyżej 6 metrów kwadratowych i nie mając dosłownie nic, sypiali we czwórkę na podłodze, za posłanie mając wiązkę siana. Nikt im nie pomagał i nie umieli tej pomocy zdobyć. Kiedy zawitała zima, nie mieli nawet na opał. Pierwszy zmarł chłopak na galopujące suchoty, następny, w styczniu 1945 r., mąż, a w początkach lutego siostra.

Nieszczęśliwa matka i wdowa jakoś przetrwała i po kwietniu 1945 r. wróciła do swego mieszkania w Zielonce. Odnalazła bratową i przeprosiła ją. Powiedziała przy tym: „Jeśli

ten jasnowidz żyje, a odnajdziesz go, przeproś w moim imieniu i powiedz, że gdybym była go posłuchała i wysłała siostrę, tak jak radził lekarz, do sanatorium, moi najdrożsi żyliby jeszcze”.

—A jak potoczyły się pani losy — zapytałem starszą panią.

—O, moje dzieje były niezwykle, co pan genialnie odczytał z kart, a czego początkowo nie rozumiałam.

Ale nie było to podwójne życie. Żyła naraz w trzech światach. Znana była jako plastik i to niezbyt tęgi. Często widywano ją w kawiarniach z ludźmi jej pokroju. W domu stworzyła schronienie, gdzie w każdej chwili mogli znaleźć dach nad głową ci, którym gestapo deptało po piętach. Byli wśród nich późniejsi znani mężowie stanu i ludzie wybitni. Ale istniało jeszcze inne życie. Najbardziej zdumiewające.

Ten trzeci świat to przestępcy. Dziś nazywalibyśmy ich szkodnikami społecznymi, paserami, złodziejami i licho wie, kim jeszcze. Wtedy, nie zdradziła mi, w jaki sposób, zorganizowała z nimi „spółdzielnię”. Naczelnym zadaniem tej organizacji była kradzież na skalę hurtową wszystkiego, co hitlerowcy dostarczali na front i do Trzeciej Rzeszy. Przed wszystkim zaś zmontowała dostawę węgla dla mieszkańców stolicy, ale węgla kradzionego. Prowadziła to „przedsiębiorstwo” wzorowo. Przez cały czas okupacji, aż do wybuchu powstania, nie miała ani jednej reklamacji od klientów. Ktokolwiek potrzebował węgla, dostawał go w najlepszym gatunku i w terminie ustalonym. Powstanie rozwiązało „spółdzielnię”. Po wojnie wróciła do swego zawodu. Otworzyła szkołę plastyczną. Poświęciła się tej działalności całkowicie, nie widząc poza nią świata. Aż pewnego dnia padł grom. Została aresztowana i oskarżona o „sabotaż i działanie na szkodę państwa” przez udział w szajce zajmującej się kradzieżą węgla. Sądziła, że chodzi tu o jej działalność okupacyjną, ale prokurator rozwiął jej złudzenia. A na procesie dowiedziała się, że chodzi o działalność przestępczą świeżej daty. Wszyscy dawni jej „podwładni i udziałowcy” sprzed powstania zeznali, że powrócili do swojego „zawodu” i nadal kradną, tylko że tym razem nie okradają

hitlerowców, a naród. Zeznali, że ona również należy do ich szajki.

W końcu wyszła zrehabilitowana, ale szkoły już nie prowadzi. Jest chora. Lekarze stwierdzili raka.

Żegnając się ze mną jeszcze raz powiedziała:

—Niech pan zbiera materiały i pisze. Nie musi to być dzieło literackie, ale niech cośkolwiek z tego, co pan ludziom przepowiadał, zostanie umieszczone na papierze.

46

Nie lubię zbyt często stawiać kart tej samej osobie. Niestety, jest wielu ludzi, którzy bez kabały co najmniej raz na kwartał źle się czują.

Łatwiej jest mówić, jeśli chodzi o mnie, ludziom z Wyższym wykształceniem, niż tym, którzy posiadają zaledwie podstawowe. Gdyby jednak stale przychodzili pacjenci o jednakowym poziomie wykształcenia, zmanierowałbym się. Konieczność dostosowania się do różnych indywidualności, choć sprawia dużo trudności, pobudza do samokształcenia się i pogłębiania znajomości charakterów ludzkich.

Niedostosowanie się do poziomu umysłowego pacjenta niejednokrotnie było przyczyną zabawnych nieporozumień. Pamiętam, jak kiedyś przez telefon zapytała mnie jedna z interesantek.

—Co to znaczy, proszę pana, Marsjanin?

—Istota z Marsa.

—To ja według pana mam za pół roku wyjść za mąż za taką istotę.

—Nie rozumiem.

—Byłam wczoraj u pana na wróżbie i pan mi powiedział, że nim minie pół roku, wyjdę za mąż za syna Marsa.

—Syn Marsa, to nie Marsjanin.

—A czy to nie wszystko jedno. Nie znam żadnego syna Marsa.

—Szkoda, że pani od razu mi tego nie powiedziała, że pani nie rozumie, o czym mówię.

Bo wstydziałam się i byłam bardzo przejęta. Ale teraz, kiedy z mamą omówiliśmy tę sprawę, chcę wiedzieć, co to jest?

—Syn Marsa, to taki mężczyzna, który lubi wojsko, z zamiłowaniem służy w wojsku i chętnie idzie na wojnę.

—O, chwała Bogu — zawołała po drugiej stronie telefonu. — To mój Edek. On chodzi w mundurze — służy w wojsku i lubi wojsko. Jeśli ja za niego wyjdę za mąż, to niech on sobie będzie synem Marsa.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zadowolona z wyjaśnienia, pomyślałam sobie, że w przyszłości trzeba używać określeń niedwuznacznych. I rzeczywiście w miarę możliwości staram się mówić jasno i zwięźle. Ale niekiedy nie można. Szczególnie wówczas, gdy układ kart może zaszkodzić bezbronnym.

Pamiętam, kiedyś natrafiłem na taki układ kart, z którego nieodparcie nasuwał się wniosek, że siedząca przede mną kobieta jest oszukana. Podejrzewa, że to oszustwo. Pragnie, żebym to potwierdził, a jednocześnie drży z obawy, że jej to powiem. Gdyż gdzieś tam w głębi serca pragnie, żeby temu oszustwu karty nadały rangę prawdy.

Z kart wynikało, że jest stroskaną mamą. Syn jej związał się z niewiastą lekkich obyczajów. Owocem tego związku jest wnuk. Panna po urodzeniu dziecka przyniosła je do niej i po zakomunikowaniu, co myśli o jej synu, o niej i jej ciotkach, zostawiła bękarta i poszła. Mija już osiem miesięcy. Dziecko chowa się dobrze. Jest wesołe, zdrowe i na widok babci szaleje z radości. Ale czy to jest naprawdę jej wnuk, czy kukulcze jajo?

Patrząc w te karty pomyślałem:

—Jeśli ten łobuz, jej syn, nie jest ojcem tego dziecka, a ta podła ladacznica, jak wiele jej podobnych, porzuca dziecko, to na miłość boską, w imię czego ta biedna istota ma cierpieć? A głośno powiedziałem:

—Z układu kart wynika niezbicie, że jest to wnuk pani. Krew z krwi pani. Najlepsza w przyszłości dla pani podpora.

Żegnając się ze mną, powiedziała:

—Pan jest mądrym człowiekiem. Dziękuję panu. Coraz silniej kocham to dziecko i bałam się, że pan wyczyta z kart,

że mój syn nie jest ojcem tego dziecka.

Po jej wyjściu pomyślałem, że jeśli nawet w stosunku do niektórych dojrzałych moich pacjentów byłem niezupełnie moralnie w porządku, to kłamstwo, w imię dobra dziecka, nieco łagodzi moje winy.

47

Mr. Stanley S. powołując się na swego ojca, któremu ponoć podczas wojny udzielałem „światłych i zbawiennych rad”, przysłał mi do wglądu i skomentowania swój horoskop.

Horoskop ten został opracowany przez komputer w Chicago w 1975 r.

Nie znam się na astrologii, ale na podstawie ogólnie dostępnych charakterystyk astrologicznych, a jest ich chyba ponad 1500, łatwo stwierdziłem, że ci, którzy programowali komputer, wiedzą swoją z tego zakresu nie zaimponowaliby ani Abdul Hanimowi działającemu na tym polu w latach trzydziestych we Lwowie, ani Womuthowi z Krakowa, ani tym bardziej sławnemu Szyller-Szkolnikowi w Warszawie.

Wprawdzie Abdul Hanim za swą działalność na tym polu znalazł się w zasięgu długiego ramienia sprawiedliwości i musiał się kryć przed jej okiem, a Szyller-Szkolnik zbankrutował, tym niemniej byli to nasi rodzimi prekursorzy masowej produkcji horoskopów, choć bez użycia komputerów.

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym bankructwo tego ostatniego przypisał nieudolności w produkowaniu prognoz astrologicznych. Przyczyna bankructwa była zupełnie inna.

Każdy z nas ma jakieś swoje skryte marzenie, jakąś utajoną wizję życia. Pan Szyller-Szkolnik miał ją również.

Pan Eugeniusz B., który znał w Warszawie wszystkich cudotwórców, o Szyllerze-Szkolniku, a zwłaszcza o jego grafomaństwie na temat okultyzmu wyrażał się pogardliwie, nazywając go Szyllerem-Szkodnikiem. Kiedy usiłowałem go bronić, uśmiechnął się kiedyś lekceważąco i powiedział :

—Niech pan cierpliwie poczeka, za kilka dni zobaczy

pan tego mistrza, a widok ten, mam nadzieję, ucieszy pana niezmiernie.

Borykając się z biedą i ćwicząc mimowolną głodówkę, co, jak twierdzą wtajemniczeni, wywiera wspaniały wpływ na rozwój intuicji, czekałem na zapowiedziane spotkanie z człowiekiem, którego demoniczna twarz widniała na prospektach przyrzekających wprowadzenie na „Ścieżkę jogów”

Pan Eugeniusz dotrzymał słowa. Ale byłem nieco zaskoczony jego słowami:

—Niech pan się ubiera. Mam dwa bilety do kina na Hożej. Dają tam pierwszorzędny film z Rin-Tin-Tinem, a po filmie odbędzie się wspaniała rewia.

W owych czasach byłem tak biedny, że nie stać mnie było na bilet do porządnego kina i do tego z rewią. Jeśli bywałem czasem, to przeważnie w kinie mieszczącym się w budynku stojącym na rogu ul. Długiej i Kilińskiego na Starówce, w tym miejscu, gdzie obecnie zbudowano piękną szkołę zawodową.

—Miał mi pan pokazać Szyllera-Szkolnika — powiedziałem zawiedziony — a pan mnie prowadzi do kina?

—Wszystko w swoim czasie. Szyller-Szkolnik nie zając, nie ucieknie nam.

Kino było niewielkie i nawet niezbyt przepełnione. Zajęliśmy środkowe miejsca i gdy się rozpoczął seans, śledziliśmy z zapartym tchem przygody tego mądrego psa. A kiedy skończył się seans i światła zabłyśły na sali, pan Eugeniusz wziął mnie za rękę i zaprowadził do pierwszego rzędu krzeseł, tuż przed ekranem, a raczej estradą, na której miały się rozpocząć popisy artystów rewiowych. Zauważyłem, że wszyscy widzowie przysunęli się również do przodu.

Światła ponownie zgasły, a reflektor oświetlił estradę. Uchyliła się kurtyna i jakiś młodzieniec ubrany jaskrawo wyskoczył z głębi sceny i w lansadach, szurając nogami, obwieścił rewię.

Była to pierwsza rewia w moim życiu.

Po konferansjerze wbiegły na scenę dwie panienki ubrane bardzo skromnie i, podnosząc wysoko nogi przy dźwiękach

„Ja się boję utyć”, pokazywały nam, gdzie i jak można to osiągnąć.

Po paru takich lub podobnych kawałkach pianista walnął w klawisze, aż pianino zajęczało, i konferansjer gromko, jak czynią to obecnie w Opolu, zawołał:

—Oto on! Mistrz i ulubieniec publiczności! Dziś będzie śpiewać wasze ulubione kuplety rewolucyjne.

Rozległy się głośne oklaski, a nawet gwizdy. Na scenę wszedł artysta. Na jego widok struchlałem. Był ubrany jak ruski chłop. Szerokie opadające na cholewy butów spodnie, wyszywana długa koszula, przepasana w biodrach pasem szerokim i wyszywanym i charakterystyczna furazerka, oto był jego strój. W ręku trzymał bałałajkę. A ta twarz...

—O, panie Eugeniuszu. Kto to jest? Wspaniale ucharakteryzowany na Szyllera-Szkolnika. Zadziwiająco.

—To właśnie on we własnej osobie.

—Nie wierzę. Naprawdę nie wierzę..

—Ależ tak. Jego namiętnością i marzeniem całego życia jest być artystą. Cały swój majątek ulokował w tym kinie po to tylko, by móc występować przed publicznością w roli „artysty”. Każdy ma swego hyzia. Ale niech pan słucha, zaraz rozlegną się jego pienia.

A mistrz stanął na brzegu estrady, brzdąknął w struny bałałajki, a potem zapytał:

—Nu to co wy dziś chcecie, bym zaśpiewał?

—„Kurcze pieczone”, „Kurcze pieczone!” — darła się część widzów, a druga część jeszcze głośniej: „Kradka!” „Kradka!”.

—Nu, niech będzie-„Kurcze pieczone” dla tych, którzy go pragną i „Kradka!” dla tych, co nie życzą sobie „Kurcze pieczone”. Charoszowo pa niemnożku.

W niecały rok po tej rewii (ciągle miałem wątpliwości co do autentyczności kuplecisty) pan Eugeniusz powiadomił mnie, że miłość do sztuki ostatecznie pogrążyła mistrza. Kino zbankrutowało, rewia rozleciała się, wspólnicy oszukali...

Mr. Stanley S. otrzymał komentarz do horoskopu. Bite trzy strony maszynopisu.

Do pewnego czasu sądziłem, że moje przepowiednie są wynikiem pewnych uzdolnień telepatycznych. Po prostu w bezpośrednim kontakcie z interesantem chwytałem pewne jego myśli i wysnuwałem, kierowany być może pewną dozą sprytu, ogólne wnioski. Interesant zaś, zasugerowany moimi stwierdzeniami w zbliżonej do moich przewidywań sytuacji bezwiednie czynił coś takiego, że w konsekwencji stawało się to jego przygodą, odpowiadającą przepowiedni.

Były przypadki, że ze względu na ponure układy kart odmawiałem wróżenia. Prawdą jest również, że kilka osób spośród tych, którym odmawiałem czytania kart, w krótkim stosunkowo czasie po wizycie u mnie zmarło. Ale nie jest prawdą, że nie chcę stawiać kart dlatego, że dana osoba ma wkrótce umrzeć. Miewam bowiem takie okresy lub dni, że nie mogę nic z tych kart powiedzieć. W takich okresach, po rozłożeniu kart na biurku, siedzę i patrzę na nie, i nic z nich nie promieniuje na mnie. Są one wtedy obojętne, jak każdy papier nie zapisany. Ale są również ludzie, których absolutnie nie wyczuwam. I są tacy, którzy podświadomie narzucali mi swoją wolę i tym osobom mówiłem to, czego w skrytości ducha najbardziej pragnęły dowiedzieć się. Osoby te wychodzą ode mnie pod wrażeniem, że jestem prawdziwym jasnowidzem. A ja? Ja zostaję kompletnie wyzuty z sił i chęci do życia. I wiem, że te przepowiednie nigdy się nie spełnią. I nie spełniają się. Przy tym zauważyłem rzecz zdumiewającą. Pewnym typom ludzi wszyscy wróżbici mówili to samo. Później czytając Katza „Żniwo wędrówek” natknąłem się na wspomnienie autora, który pisze, że na wszystkich kontynentach, gdzie zetknął się z czarownikami, jasnowidzami, szamanami, znachorami i wróżbitami — wszyscy oni jak jeden mąż przepowiadali mu to samo.

Zatem wniosek oczywisty, każdy wróżbita posiada szczególną wrażliwość na odczucie myśli tego, komu przepowiada. A więc przepowiednia nie zawsze może być obiektywna.

Byli i tacy interesanci, którzy budzili we mnie odrazę. Sądzę, że ja u nich wywoływałem to samo odczucie. Wobec niektórych odczuwałem obawę, a nawet paniczny lęk. Tym osobom z zasady nie wróżyłem. Ale trafiały się i takie osoby, którym na pierwszy rzut oka nieba chciałbym przychylić.

Trafiają się osoby, które w układach kart występują jakby marginesowo lub na wylocie z układu. Doświadczenie nauczyło mnie, że są to ludzie skrzywdzeni — nie przez los, a ludzi, i to przeważnie tych, którym poświęciły całe swoje życie. I kiedy mówiłem im o tym, były wstrząśnięte brutalną prawdą.

W okresie wojny, jeśli miała nastąpić nowa ofensywa na froncie, nie mogłem dojrzeć słońca w układach moich interesantów. Przed wielkimi łapankami w mieście mówiłem moim klientom, że zbliża się zło zbiorowe i ostrzegałem przed wychodzeniem z domu. Niekiedy na utyskiwanie jednostki, nie wiadomo dlaczego, stawałem się zły i mówiłem brutalnie, że przejmuje się byle głupstwem, wtedy gdy lada dzień będzie nowa wielka tragedia zbiorowa,

Przed burzą z piorunami tracę całkowicie wyczucie. W dzieciństwie i młodości przed burzą i w czasie jej trwania włosy mi stawały sztorcem i iskrzyły. Trzykrotnie omal nie zginąłem rażony piorunem. O, jak ja się potwornie boję burzy.

Jeśli jestem zdenerwowany, rozdrażniony i zły, układy kart są chaotyczne i przeważnie dla bohatera kabaly nieżyczliwe. Staram się w tych przypadkach nie wróżyć.

W czerwcu 1970 r. przeżywałem jeden z takich stanów i dlatego po rozłożeniu kart jakiejś tam interesantce szybko je zwinąłem i powiedziałem, że nie mogę nic jej powiedzieć. Zapytała, czy może przyjść następnego dnia. Opryskliwie odpowiedziałem, żeby na wróżby w ogóle nie chodziła, bo to zwykła błaga. Ona jednak upierała się, prawie błagała, żebym jednak choć cokolwiek powiedział. Rozgniewany powiedziałem : „Panią mogę oszukać, ale siebie nie. Nie będę pani wróżył ani dziś, ani innego dnia”.

W kilka godzin później rozległ się sygnał telefonu. Podniosłem słuchawkę. Usłyszałem głos męski. Jakiś pan chciał rozmawiać z Mustafą. Powiedziałem: „Słucham”. Przedstawił mi się jako pułkownik Chiliński, twierdząc, że mnie doskonale zna. Poznaliśmy się w 1943 r. Chciał się dowiedzieć, dlaczego odmówiłem postawienia kabały jego kuzynce, która była u mnie kilka godzin temu? Jest teraz u niego okropnie zdenerwowana i sądzi, że dlatego jej nie wróżyłem, że musiałem coś okropnego w jej kartach zobaczyć. Moje zapewnienie, że nigdy nic nie widzę w kartach, gdyż nie jestem jasnowidzem, wydało mu się mało przekonujące. Na dowód, że jestem jasnowidzem, przypomniał mi historię,

októrej dawno zapomniałem, a której on był świadkiem właśnie podczas naszego spotkania w 1943 r.

Był wrzesień. Niedzielne popołudnie. Przy ul. Wilczej na I piętrze zebrało się grono osób, wśród których był, z nieodłączną fajką w zębach, dziś, nieżyjący już, znakomity dramaturg Jerzy Szaniawski. Zebraliśmy się, żeby wysłuchać koncertu pięcioletniej dziewczynki o fenomenalnym głosie. Była to siostrzenica wielkiej śpiewaczki operowej, która, dla zabicia czasu po doznanych klęskach uczuciowych, zaczęła ją uczyć śpiewu. Wielka artystka cała w czerni usiadła przy pianinie. Rozległy się pierwsze takty walca Straussa i to maleństwo przemieniło się w słowika. Takiej koloratury nie usłyszałem już nigdy więcej. Co czułem i co musieli odczuwać pozostali, tego wysłowić się nie da. Siedzieliśmy jak w krainie baśni. Dziewczynka była cała w bieli, a jasne loki puszystych włosów spadały jej na ramiona.

Przymknąłem oczy. Jakiś czas słyszałem jeszcze cudowny trel tego dziecka, a później ujrzałem fotel... a w nim z pochyloną głową wielką artystkę martwą. A później zobaczyłem dziewczynkę przemienioną w tęgą, rozrośniętą, pospolitą i rozkapryszoną aż do obrzydliwości kobietę. Ochryplym głosem bełkotała jakąś, piosenkę.

Wrażenie było potworne. Powiedziano mi później, że w najtrudniejszej partii utworu pokonywanej przez cudowne dziecko wstałem nagle, jakby mnie kto do tego siłą zmusił i

wyszedłem z salonu. Po koncercie pani domu podeszła do mnie. Przy panu Chilińskim powiedziała, że jest zaskoczona moim zachowaniem.

—Czy pan nie zdaje sobie sprawy, że to dziecko wyrośnie kiedyś na fenomenalną śpiewaczkę?

—Przykro mi bardzo — odpowiedziałem na to — musiałem wyjść. Ujrzałem coś okropnego.

Opisałem moją wizję prosząc jednocześnie, żeby o tym nikomu nie mówili. Może Bóg da, że to się nie stanie.

W tydzień później wielka artystka zmarła nagle. Z dziecka, a wiem o tym dobrze, wyrosła pospolita kobieta, która nawet gamy nie potrafi zagrać poprawnie.

49

Wiele ponurych zdarzeń przepowiedziałem ludziom, a jeszcze więcej usłyszałem od ludzi.

W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych pracowałem w jednym pokoju z panem O. On prowadził „Dział Inwestycji”, ja „BHP”, później „Wydział Organizacji i Kadr”, naturalnie—jako „Pan Naczelnik”. A jeśli ktoś w to nie wierzy — mam jeszcze legitymację służbową, w której jak byk stoi: „Naczelnik Wydziału”. Ha!

Pan O. należał do tak zwanych kpiarzy i pędziwiatrów, a na kobiety był tak łasy jak głodny pies na dobrą kość szpikową.

Jego uroczą żonę musiała mieć z nim nie lada kłopot na tym tle. Ja go jednak rozgryzłem. Był wrażliwy, czuły, bardzo kochający żonę i synów. Był dumny ze starszego — Z., a narzekał na młodszego — W., lenia, nieroba i utracjusza, ale w tym rozpaczliwym utyskiwaniu nie było do syna nienawiści czy złości. Myślę, że w głębi serca był i z niego na swój sposób dumny. Gdyż był on zarówno somatycznie, jak i psychicznie wierną kopią... taty.

Postronnemu widzowi lub słuchaczowi pan O. wydawał się złośliwym i cynicznym człowiekiem. Niektórzy, zwłaszcza dyrektorzy podległych zakładów, nie lubili go. No, bo

jakże można lubić człowieka, który na nasze górnołotne wywody, uzasadnienia i rację mówił po prostu: „Dyrektorze, przestańcie pleść dyrdymały, gdyż naprawdę to jest tak a tak, i nie ma co zawracać Wisły kijem”. A do tego, rzecz niebywała — nie pił z nimi, co nagminnie czynili wszyscy nasi inspektorzy, za co musiałem wypisywać im nagany i upomnienia. Albowiem zanim wrócili z terenu do biura — ci, z którymi pili — składali telefoniczne meldunki na swoich gości. Przy jednym z takich meldunków — naturalnie na piśmie, jako załącznik przysłano piękne zdjęcie, jak trzech pracowników zakładu niesie nieprzytomnego z opilstwa przedstawiciela władzy zwierzchniej.

W młodości pan O. nie odznaczał się pilnością i żądzą wiedzy. Skończył zaledwie jakieś tam prywatne gimnazjum. W czasie wojny, wzięty do niewoli i umieszczony w obozie jenieckim przy granicy holenderskiej, tuż przed napaścią hitlerowców na Francję jeszcze z dwoma oficerami polskimi uciekł z niewoli. Nie wiem, czy historyk zajmujący się ucieczkami jeńców polskich z obozów niemieckich odnotował ten fakt w swoich kronikach, jeśli nie — to powinien to niezwłocznie uczynić, albowiem jest to jedna z bardziej fantastycznych historii, niż na pozór się zdaje. W powstaniu brał czynny udział i dostał się do obozu w Stutthofie. Od niego dowiedziałem się, co się tam naprawdę działo.

Gdy urzędowaliśmy w jednym pokoju, pan O. rozpoczął pracę od wypicia kawy, wypalenia papierosa i... zasypiał w fotelu. Byłem nawet z tego zadowolony, mogłem spokojnie pracować. Tylko od czasu do czasu odrywałem się, żeby go obudzić, gdyż zaczynał tak chrapać, że słychać było na korytarzu.

Wszyscy w biurze wiedzieli o tym, że O. połowę dnia roboczego przesypia, podśmiewali się, ale nie robili z tego użytku. Szczerze mówiąc, myślałem o tej metodzie pracy pana O. niezbyt pochlebnie, lecz czas pokazał, o czym nikt nie pomyślał, że był on po prostu beznadziejnie chory.

Bywały dni, że pan O. był wesoły i żartował. Lubił robić kawały. Mnie też zrobił kawał. Kawał, przez który jako

kadrowiec mogłem wylecieć z pracy. Przez wiele tygodni pojęcia nie miałem, że za „moją zgodą” pan O. założył w biurze sklep monopolowy z wyszynkiem.

Pewnego dnia poprosił mnie z niewinną miną, żebym pozwolił mu przechować przez kilka dni w podręcznym magazynie z papierem cztery duże pudła, które przysły z Marsylii jako przesyłka od syna. Nie może ich odtransportować do domu, bardzo ciężkie, a w magazynku jest dość miejsca, a on po troszeczkę zawartość paczek przeniesie stopniowo do domu. Magazynek mnie podlegał, więc powiedziałem intendentowi Maciejczykowi, żeby wygospodarował tam miejsce i pozwolił panu O. w każdej chwili wchodzić dla zabrania zawartości paczek.

Potem się okazało, że pan O. wysłał synowi do Marsylii cztery wielkie paki polskiej wyborowej, Francuzi nie uznali tego za prezent, nałożyli takie cło, że synek czym prędzej kazał odesłać do tatusia ten dar z powrotem. Pan O. paczki odebrał, umieścił je w wymienionym magazynku, a wiedząc, że co drugi inspektor, nie wyłączając sekretarza, to moczymordy, postanowił z tego skorzystać. W momencie, w którym mi doniesiono, że pan O. handluje wódką i ma jej pokaźny zapas, wódki już nie było. Została do cna wypita, a prawie połowa naszych pracowników była u niego zadłużona po uszy. Kiedy doszło do konfrontacji, wszyscy jak jeden mąż powiedzieli, że pan O. jest czysty jak kryształ. Żadnej wódki w biurze nie sprzedawano i w ogóle co za bezczelność, podejrzewać tak pilnych i dobrych inspektorów o pijaństwo i do tego w czasie pracy. Pamiętają przecież pismo prezesa Rady Ministrów, że pić w czasie pracy nie wolno.

Zanim zaangażował się do naszej „wzorowej” instytucji — pan O. pracował w wielu innych, jeszcze bardziej „wzorowych” jednostkach, a nawet był dyrektorem jednej z nich. W owym czasie, jak opowiedział mi w przystępie dobrego humoru, żona stroskana jego stanem zdrowia, a zwłaszcza uczuć, zdobyła mu miejsce w sanatorium w Kudowie-Zdroju. Zaopatrzyła go w gotówkę i obdarzając wieloma uściskami

wepchnęła do pierwszej klasy pociągu pośpiesznego, i, życząc mu pomyślnej podróży i powrotu w kwitnym zdrowiu, wyprawiła do tej-„krynicy zdrowia”.

Zanim pociąg dobiegł do Łodzi Kaliskiej, pan O. trzymał czule za rękę siedzącą obok niego w przedziale panią, która jak i on udawała się do tego samego „źródła”. Zanim dojechali do Wrocławia, mówili już sobie po imieniu. W Kudowie-Zdroju tuląc się do siebie szli, ale nie w stronę sanatorium. Pani prowadziła go do willi koleżanki. Przedstawili się jako małżeństwo. Przywitano ich serdecznie. Wynajęli piękny pokój z całodziennym utrzymaniem.

Kiedy po 23 dniach pan O. wrócił z sanatorium do domowych pieleszy, żona załamała ręce z rozpacz. Mąż był chudy jak derwisz, zielony na twarzy jak łazarz, nogi pod nim uginały się, jakby były z waty, a głos urywał się w krtani.

—Omóję Boże. Waciu, co się stało?—miała łzy w oczach.

—To te bicze wodne...

—Bicze wodne? Co za bicze?

—Lekarz kazał mi trzy razy dziennie dawać silne natryski wody.

—A konował, a zbrodniarz, a... Idę do ministra zdrowia.

I zaczęła się gorączkowo ubierać.

—Podam do prasy. Pokażę mu twoje zdjęcie... Nie daruję.

Cudem udało mu się uspokoić żonę. Mówił mi, że był w nie lada strachu. Bał się, że się wszystko wyda. I, niestety, wydało się.

Opowiedział o tej przygodzie przyjacielowi, a ten, chcąc się przydobać jego żonie, która była jego przełożoną w biurze, nie omieszkał jej o tym „subtelnie” poinformować. No cóż, są ludzie, którym nie wolno się zwierzać. Co innego ja.

Teraz coraz mniej ciągnie mnie poza Warszawę. Od kilku lat urlop spędzam w Warszawie. W lipcu i sierpniu miasto jest prawie wyludnione. Kawiarnie i restauracje gościnne

i nie zatłoczone. O trzeciej rano wychodzę z domu i wędruję po wspaniałych dzielnicach, od Śródmieścia po Służewiec Przemysłowy lub do Huty Warszawa, albo na Okęcie, czy wzdłuż Wisły w górę i w dół. Cicho jeszcze w tych godzinach, a wśród zieleni śpiewają ptaki lub słychać świergot wróbli, gruchanie gołębi. W powszedni dzień w „Błękitnej” jest mroczno. Cicho w łagodnym powiewie wiatru jest pod drzewami Łazienek. A gdy siąpi deszcz, przytulnie jest w muzeum.

Kocham Warszawę i kocham jej mieszkańców, szczególnie tych, których pospolicie uważa się za stukniętych. Niektórzy z nich wierzą w moje wróżby i twierdzą, że spełniają się im. Niektórzy zaś uważają mnie za dobrego doradcę, choć nie zawsze moje rady są dla nich zbawienne. Ale na szczęście dla mnie ci, którym moje rady nie dają pożytku, nie mnie, a innych o to obwiniają.

Ta pani przez dziesięć lat co pół roku odwiedzała mnie, prosząc o poradę. Chodziło jej o różne sprawy, najczęściej jednak chciała wiedzieć, jak postępować, żeby jej kotki, a miała ich chyba pół setki, i czuć ją było z dala kotami, nie denerwowały męża.

Witając się ze mną mówiła niezmiennie: „Pokój temu domowi i tobie, Mistrzu”, ja zaś skromnie opuszczałem powieki udając, że jestem zachwycony jej odwiedzinami. A potem zaczynała opowiadać swoje sny, domagając się ich interpretacji, albowiem, jak twierdziła, są to sny zaiste prorocze. W snach tych najczęściej występowały koty i ona jako wcielenie Izdy. Cierpliwie tłumaczyłem te sny, starając się nie urazić jej w niczym.

Ale w miarę upływu lat cierpliwość moja topniała, jej zaś wiara w moją niezawodną intuicję rosła. Byłem zrozpaczony i nie wiedziałem, w jaki sposób, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej trochę zmniejszyć częstotliwość jej odwiedzin u mnie. I kiedy już zbliżałem się do całkowitego rozstroju nerwowego, los zlitował się nade mną i zesłał jej taki sen, po którym, dzięki mojej radzie, straciła do mnie zaufanie i więcej się już nie pojawiała.

—Mistrzu — powiedziała, siadając po drugiej stronie biurka — tej nocy objawił mi się we śnie święty Jerzy walczący ze smokiem. Zamiast miecza miał kawał zielska, a smok był podobny do grzyba atomowego. Zupełnie jak ten na Bikini. I jak ten smok chciał atakować świętego, to święty ciach go tym zielskiem i smok malał i karłał. Strasznie się bałam, ale wtedy święty Jerzy mnie ujrzał i rzekł: „Owieczko pokorna. Ciebie wyznaczam na zbawcę ziemi. Przypatrz się temu zielu. Posiada ono cudowną moc, niszczy skutki bomb atomowych. Po wybuchu takiej bomby wystarczy pomachać tym zielem, a promieniowanie atomowe zniknie jak ten smok. Zapamiętaj nazwę tego ziela. A gdy się obudzisz, idź da władz i zmusz je, żeby dały ci sztab ludzi, szoferów i samochody. A jak będzie wojna atomowa, będziesz z tym sztabem jeździć po świecie i docierać tam, gdzie spadną bomby i tym zielem unieszkodliwisz ich wredne działanie. Idź i czyń, jak ci przykazałem”.

—Jak się nazywa to ziele? — zapytałem ciekaw wielce.

—Tego mi zdradzić nie wolno. Ale to pospolita roślina. Wszędzie jej pełno. Gdy tylko wojna wybuchnie i zaczną spadać na Polskę bomby atomowe, mając samochód, będę jeździć po kraju i machać tym zielem i unikniemy zagłady. I właśnie przyszłam po radę, do kogo, mistrzu, mam się udać, żeby stworzyli dla mnie sztab antyatomowy i dali szoferów i samochody? Pan jest taki mądry, więc poradź.

Przymknąłem oczy i udałem głębokie zamyślenie.

„Może ją posłać do Ligi Przyjaciół Żołnierza? A może do...” — i przyszła mi zaiste genialna myśl. — Pójdzie pani do generała B. Opowie mu pani swój sen, a on po wysłuchaniu go już będzie wiedział, co z tym problemem zrobić.

Wyleciała ode mnie jak jaskółeczka.

Po trzech dniach przyszła zasepiona.

—Zawiódł mnie pan. Posłał mnie pan do człowieka, który nie posiada ani odrobiny wyobraźni.

—Nie chciał pani przyjąć?

—Przyjął bardzo serdecznie. Kazał mnie nawet poczęstować kawą. A kiedy poprosiłam, żeby zamknął szczelnie

drzwi i sprawdził, czy nas nie podsłuchują, zrobił to, co kazałam. A kiedy powiedziałam mu, że posiadam wielką tajemnicę wojskową, aż podskoczył na krześle i powiedział, że zamienia się w słuch. I rzeczywiście słuchał mnie, jakby był zamieniony w słup soli. A kiedy skończyłam, westchnął głęboko, milczał długo, a potem zadał mi to głupie pytanie : „Czy pani zna najsłynniejszy fragment kazania księdza prawosławnego Owsieja?” Powiedziałam, że jestem szczerą katoliczką, więc nie znam kazań księży prawosławnych, ale że nic co ludzkie nie jest mi obojętne, chętnie go posłucham. „Ksiądz Owsiej powiedział: «Kiedy nie było ni ziemi, ni nieba, tylko stał jeden płot...»” Nie dałam mu skończyć. Zapytałam, a na czym on stał, ten płot? A wtedy ten generał na to: „A gdzie pańi narwie tego zielska, żeby nim machać na promienie radioaktywne, po wybuchu choćby dwóch średnich bomb? Lepiej — dodał złośliwie — niech pani zaśnie i wyśni, jakich trzeba użyć ziół, żeby rozbrajać bomby atomowe, zanim one wylęgną się w mózgach ludzkich”. Otworzył drzwi gabinetu, uklonił mi się nisko i kazał sekretarce, żeby mnie przekazała wartownikowi, a ten będzie wiedział, co robić.

Kiedy znalazłam się w wartowni, przed gmachem stał samochód i tym samochodem odwieźli mnie aż pod mój dom.

—To był ładny gest—ja na to.

—Co mi po geście. Zachował się jak ci uczeni z Akademii Francuskiej. Ale ja nie spocznę, zanim swego nie osiągnę. Będę miała Sztab Antyatomowy.

I osiągnęła. Tak długo chodziła, aż umieścili ją w Ośrodku Zdrowia Psychicznego. Podobno czuje się tam bardzo dobrze i sam pan profesor codziennie tłumaczy jej sny. Nie zazdroszczę mu.

Rozłożyłem karty i struchlałem. Widziałem w nich dotychczas wiele dziwnych zdarzeń i losów ludzkich, ale tego ustawienia liczb, jak to, od 20 przeszło lat nie widziałem.

Zwinąłem karty.

Pani siedząca naprzeciw mnie zapytała przerażona:

—Czy pan się źle czuje? Tak pan dziwnie zbladł.

—Nie, proszę pani. Czuję się dobrze. Tylko ten obraz...

—Błagam pana, niech mi pan powie, co pan tam ujrzał?

Popatrzyłem na nią i nie wiem, dlaczego bez ogródek powiedziałem:

—W moich kartach nie ma szubienicy. A ja ją ujrzałem.

Wstrząsnąłem się. A ona? Zaczęła płakać.

—Mój Boże! — zawołałem teraz ja z kolei — czy uraziłem panią?

—Pana karty mówią prawdę. Nie widać tego po mnie. A przecież przybyłam tu przeżywając rzecz straszną. Wczoraj mój syn został stracony.

—Stracony?

—Wyrokiem sądu. Wiem, że był winien. Wiem, że na to zasłużył. Wiem, że sprawiedliwości musiało się stać zadość. Wiem, że sędziowie rozważyli wszystko, co było w ich mocy, żeby znaleźć choć cień, choć włos, za pomocą którego można by było uratować go od stryczka i... nie znaleźli. Wszystko to wiem, ale dlaczego, dlaczego to mój syn urodził się, żeby umrzeć zbrodniarzem. Co za straszna siła kierowała jego losem, żeby go zawieść na stracenie? Był normalny. Uczył się dobrze. Był czułym synem. I raptem znalazł się w kręgu ludzi złych. I dał się w to zło wciągnąć.

I grzął w nim jak w bagnie. Dlaczego?

Wolałem na to nie szukać odpowiedzi w kartach.

Do lat sześćdziesiątych byłem, że się tak nieskromnie wyrażę, „wróżem Warszawy”. Później „sława moja” objęła kraj, przekroczyła jego granice i dotarła nawet na antypody... Niekiedy, jak twierdzą klienci, pomogłem im. Kto wie, czy komu nie zaszkodziłem. Nie wiem.

Przychodzili do mnie różni ludzie. Wzywany na MO w charakterze świadka dowiadywałem się, że numer mojego telefonu znajdowano w notesach lichwiarzy, szalbierzy i oszustów, niekiedy u ofiar śmiertelnych wypadków drogowych itp.

Gdy kiedyś zapytano mnie, czy znana oszustka T. nie naciągnęła mnie, zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie znam jej i że mnie nie naciągnęła, myśląc równocześnie, że jeśli owa T. kiedykolwiek była u mnie, to, zgodnie z powszechną opinią — ja ją naciągnąłem. Zapłaciła przecież za wróżenie. A wszelka wróżba, w powszechnym rozumieniu, to kupowanie przysłowiowego kota w worku.

Większość moich interesantów przychodziło do mnie z tymi samymi troskami. Ale każdemu trzeba było inaczej je naświetlić i innej udzielić rady.

Przekonałem się, że Polki niczym nie różnią się od Włosek, Hiszpanek, Szwedek czy Arabek; tak samo kochają

i cierpią tak samo. Nienawidzą tak samo. Ale nie tak samo swoją miłość i nienawiść objawiają.

Człowiek, przekonałem się, niewiele zmienił się od czasu delfickich wróżb. Jak hołdował, tak i w jakimś stopniu ciągle hołduje przesądom. Jak wierzył, tak i wierzy w cuda. Nie wiem, czy może się tych cech wyzbyć.

Nie wiem. Wielu rzeczy nie wiem. „O, nieszczęsna ciemnoto jasnowidzów!”—powiedział przed wiekami poeta. Te słowa mogłyby być moim hasłem.

W każdym razie zawsze troskałem się i ciągle dbam o to, by być raczej złym jasnowidzem niż złym człowiekiem.

Cena zł 220.—

Ali-Baba

ISBN 83-205-3511-0